

**NADINE
GORDIMER**



**ZROZUMIEĆ
ŻYCIE**

NAJNOWSZA KSIĄŻKA LUREATKI NAGRODY NOBLA

Nadine Gordimer

Zrozumieć życie

Z języka angielskiego przełożył
Marek Fedyszak



*Jakaż władza czyni
Życie tak zaskakującym?*

W H. Auden, *Morze i zwierciadło*

1.

Dziecinna igraszka

Tylko zamiatacz ulic, machający miotłą, żeby wybrać opadłe liście z rynsztoka.

Sąsiedzi być może widzieli, ale rankiem w środku tygodnia wszyscy byli w pracy lub wyjechali z innych powodów związanych z codziennym życiem.

Była tam, kiedy przyjechał, przy bramie, na podjeździe prowadzącym do domu rodziców, gotowa uśmiechnąć się do niego i szybko wyczuć zachętę, by śmiać się z tej dziwnie absurdalnej (i jedynie tymczasowej) sytuacji, w której nie mogli się do siebie przytulić, i się z nią pogodzić. Uścisk, jakiego sobie odmawiamy, słabiej porusza uczucia niż rezygnacja z próby objęcia ramieniem. Wszystko wygląda zwyczajnie. Zamiatacz przechodzi obok, pchając przed sobą koniec lata.

Promienny.

W dosłownym znaczeniu. Z tą tylko różnicą, że nie emituje światła, jak święci przedstawiani na obrazach z aureolą, ale emanuje niewidzialnym niebezpieczeństwem z niszczącej substancji, która ma odeprzeć atak wyniszczający jego organizm. Przeciąg zaciskającą się na jego szyi pętlę. Rak tarczycy. W szpitalu trzymali go w odosobnieniu. Całkowitym – na jakiś czas stracił głos, oniemiał. Zaatakowane struny głosowe. Nie ma i przez pewien okres nie odzyska kontroli nad sobą, będzie narażał innych ludzi i przedmioty na promieniowanie, które emituje bez względu na to, z kim lub z czym się zetknie.

Wszystko musi być zwyczajne.

Rozmowa przez telefon z okna drugiego samochodu: Czy pamiętała o tym, żeby zabrać jego laptop? I kasety? I jego adidas? I książkę o zachowaniu słoni przeniesionych w nowe środowisko, której lekturę przerwał, gdy wrócił do szpitala? Berenice – Benni (czemu rodzice obarczają swoje dzieci wymyślnymi imionami?) – spakowała mu torbę. Płakała, dokonując wyboru za niego, wkładała jedną rzecz, wyjmowała drugą. Ale nie tylko pamiętała. Dzięki wzajemnej zażyłości wiedziała, czego będzie potrzebował, a czego będzie mu brakowało. W jednej z książek znajdzie jej fotografię, którą szczególnie lubił, zrobioną, zanim ich romans przerodził się w małżeństwo. Jest też zdjęcie chłopca w wieku niemowlęcym.

Ze szpitala odebrała go matka. Otworzył tylne drzwi samochodu, żeby usiąść na siedzeniu z tyłu, od początku musi się przecieź zachowywać w określony sposób, musi mu to na razie wejść w nawyk, ale jego matka jest taka jak on (chyba że to odwrotność odziedziczonych cech) i w odpowiedzi na zagrożenie, jakie stwarza syn, przyjęła własny kodeks postępowania. Nachyla się, żeby otworzyć drzwi z przodu, i rozkazującym gestem klepie fotel pasażera.

On ma żonę i dziecko.

Czyje życie, czyje bezpieczeństwo jest mniej warte od ich życia, od ich bezpieczeństwa?

Rodzice są odpowiedzialni za sprowadzenie na świat – świadomie albo przez nierozwagę – potomstwa, a ich niepisany obowiązek jest wyżej cenić życie dziecka i, przez dziedzictwo, wnuka niż życie przodków.

Tak więc Paul (to on, syn) wrócił do domu – dla odmiany na razie, a jakże! – do dawnego domu, domu swoich rodziców.

Lyndsay i Adrianowi daleko jeszcze do starości. Drabina starzenia się została bardzo wydłużona, odkąd medycyna, rozsądnie dawkowany ruch oraz zdrowa dieta pozwalają ludziom ociągać się ze starością i dalej wspinać się po jej nienickających w chmurach tajemniczych szczeblach. („Odejdzie” to eufemizm, ale dokąd odchodzimy?) To nie

do pomyslenia, żeby syn udał się tam przed nimi. Jego pełen wigoru sześćdziesięcioletni ojciec ma właśnie przejść na emeryturę z dyrektorskiego stanowiska w wytwórni maszyn rolniczych. Jego matka, sześćdziesięciolatka wyglądająca na lat pięćdziesiąt, przez długi czas odznaczająca się naturalnym pięknem i niemająca ochoty na lifting, zastanawia się, czy powinna zostawić wspólników z kancelarii prawnej i dołączyć do swojego drugiego „wspólnika” na tym nowym etapie życia.

Pies skacze i wyciąga do niego łapy, wciąga nosem gryzący szpitalny zapach jego torby i obwąchuje dostarczoną Paulowi walizkę pełną tego, co – zdaniem jego żony – mogłoby być mu potrzebne tutaj, na tym etapie życia.

– Który pokój?

Nie ten, co dawniej, ale pokój siostry przekształcony na gabinet, gdzie jego ojciec będzie się oddawał różnym zainteresowaniom, które powinien mieć, szykując się do emerytury. Tych dwoje urodziło się w odstępie zaledwie dwunastu miesięcy, a wszystko za sprawą przesadnej młodzieńczej ufności w antykoncepcyjne skutki karmienia piersią. Lyndsay wciąż śmieszy jej własna ignorancja i doraźność tego szybkiego rozmnażania się! Są jeszcze dwie siostry, urodzone w większych i korzystniejszych z biologicznego punktu widzenia odstępach czasu. Paul nie ma brata.

Jest jedyne w swoim rodzaju.

Ten, który sieje śmierć. Trędowaty. *Trędowaty nowego typu*, tak właśnie myśli o sobie z nonszalancją szydercy. Tę deskę ratunku zawdzięcza przypuszczalnie łatwości dobierania odpowiednich słów – umiejętności, jaką nabył, przebywając w towarzystwie kolegów i koleżanek Benni z branży reklamowej.

Paul Bannerman jest ekologiem, który zdobył kwalifikacje na uniwersytetach i w instytucjach naukowych w Stanach Zjednoczonych i Anglii, a także dzięki praktyce w lasach, na pustyniach i sawannach Afryki Zachodniej oraz Ameryki Południowej. Pracuje w fundacji na rzecz ochrony środowiska w afrykańskim kraju, w którym się urodził, obecnie zaś przebywa na wydłużonym zwolnieniu chorobowym. Benni/Berenice jest autorką tekstów reklamowych awansowaną na kierownicze stanowisko w jednej z międzynarodowych firm reklamowych, która prowadzi swoje kampanie na całym świecie i jest równie znana jak gwiazdy muzyki popularnej, zachowując swoją nazwę, występującą we wszystkich językach w formie niewymagającej tłumaczenia. Zarabia oczywiście więcej od niego, ale to nie zakłóca równowagi w stosunkach małżeńskich, ponieważ obsadzanie mężczyzny w roli żywiciela rodziny wyszło już z mody – taką cenę płać kobiety za feministyczną wolność. I zapewne dzięki odmiennym warunkom i różnym praktykom życia zawodowego zachowują zmysł niewiadomej, nawet w sensie erotycznym, który zwykle po kilku latach małżeństwa gubi się w przyzwyczajeniu. Zażyłość. Jeśli znała go tak dobrze, by odgadnąć jego codzienne potrzeby, nie oznaczało to, że nie różnili się przeczuciami, rozumieniem, czym jest świat i jak funkcjonuje. Zawsze było o czym rozmawiać, zawsze można się było podzielić swoim zniechęceniem, osiągnięciami zawodowymi, zawsze był w tym pierwiastek obcości, każde z nich dostrzegało „trzecim okiem” coś w orbicie drugiego.

To ona odebrała telefon wczesnym rankiem, gdy za pośrednictwem lekarza ogólnego, który był ich rówieśnikiem i należał do grona przyjaciół, nadszedł wyrok od specjalisty onkologa.

Paul codziennie pierwszy wstawał z łóżka, przyzwyczajony do wczesnego rozpoczynania pracy w terenie. Przyszedł z łazienki i zastał Benni wspartą plecami o poduszki. Łzy strumieniami spływały jej po policzkach, jakby coś w niej nagle pękło. Zatrzymał się w otwartych drzwiach. Powiedziała mu, zanim zdążył się odezwać. Nie ma co liczyć na zwłokę w przekazaniu takiej... no właśnie, czego? Wiadomości, informacji.

– To rak. Tarczycy. Stan ostry. Jonathan nie potrafił sprawić, by zabrzmiało to choć trochę bardziej optymistycznie. – Łzy spływały jej na wargi, drżały na podbródku.

Paul stał w progu sypialni. Usta mu drgnęły, jakby chciał coś powiedzieć. Stał sam. Taka informacja należy tylko do osoby, której ciało było jej źródłem. Potem zacisnął wargi w krzywym uśmiechu, próbując jakoś wyrazić, że dostrzega jej obecność.

– Cóż. Mógłbym wpaść pod autobus. Kiedyś trzeba umrzeć...

Jego świeżo opalona twarz lśniła piękną opalenizną z tygodniowej podróży po nadmorskich bagnach, z której wrócił przed kilkoma dniami, rezygnując z bezczynnego oczekiwania na decyzję lekarzy w sprawie wyników badań.

Ale w wieku trzydziestu pięciu lat! Skąd to się wzięło? W kartotekach medycznych jego rodziny nie odnotowano przypadków zachorowań na raka. W żadnej postaci! Zdrowe dzieciństwo, bez chorób... W jaki więc sposób? Dlaczego? Berenice, nie mogąc się powstrzymać, wyrzucała z siebie oskarżenia.

Usiadł na łóżku obok ukrytej pod pościelą bryły jej nóg. Przez chwilę kręcił głową w wyrazie negacji, nie rozpaczy, po czym wstał odruchowo, zdecydowany, i naciągnął spodnie na skąpe slipy, w których mieściła się jego – nienaruszona w każdym razie – męskość. Ubierając się, zapytał leżącą Berenice:

– Co zatem, zdaniem Jonathana, należy zrobić?

Poprzestał na tym pytaniu, ale wszystkim wiadomo, że lekarze, nawet bliscy kumple, nie sformułują wyraźnego wyroku śmierci.

- Będą operować. Należałoby to zrobić natychmiast...

Oboje stali w obliczu dowodu do zakwestionowania, wobec czegoś, co odroczy wszystkie działania składające się na to chirurgiczne okaleczenie. Spójrzcie na tego człowieka, na ten wyraźny architraw klatki piersiowej mieszczącej pod płatami mięśni życiodajne tchnienia, na zarys gładkich i twardych bicepsów, na mocne, smukłe przedramiona – pełna, stworzona w procesie ewolucji konstrukcja natury dla wszystkich funkcji. Istnieje na to zgrabne określenie, które wyszło już z użycia: okaz zdrowia.

Nie mógł nic na to poradzić, że gdy się ubierał, zapinając pasek od zegarka, Berenice utrzymywała jego obecność niczym pomnik w wyobraźni. Skazaniec jest prowadzony na szafot – kiedy brak strażników więziennych, czynią to lekarze – bez tej, która go kocha. Niedopuszczonej do niego. Musi więc coś dla niej zrobić. Odwrócił się w stronę łóżka, pochylił na miękkie elastyczne poduszki, żeby ją objąć, i pocałował w oba mokre od łez policzki. Ona jednak szorstkim ruchem uwolniła ręce i chwytając Paula za głowę, mocno przywarła ustami do jego ust, po czym rozchyliła jego wargi sztywnym językiem. Ich pocałunek miał się stać namiętnym preludivum, gdy usłyszeli z sąsiedniego pokoju pełne pretensji wołanie swojego dziecka. Paul odsunął się, niezdarnie rozpletli uścisk i Benni bosobiegała odpowiedzieć na natarczywe wezwania życia, które pewnej nocy przedłużyli w tym łóżku.

Wszystko rozwija się w następne niezbędne działania. Odbyły się dodatkowe konsultacje u specjalistów, nowe badania laboratoryjne i mądry ludzie w białych chirurgicznych kitlach, jeśli nie mędrzy czytający z gwiazd ani uzdrowiciele wróżący z kości, podjęli decyzje. Człowiek sam musiał jedynie się do nich zastosować, pokazać swoje ciało. Stało się ono własnością ludzi w białych kitlach (w rzeczywistości jeden z tych specjalistów to kobieta, zajmuje się więc nim inaczej, niż przywykł, w aseksualny sposób. Czegoś takiego zdrowy młody mężczyzna jeszcze nie doświadczył!). Kiedy dokonywano wstępnych zabiegów przedoperacyjnych, on i ta prawdziwa

kobieta, Benni, kochali się co noc. Tylko nocą i tylko w ten sposób mogli pogrzebać strach. To, co niewiarygodne, staje się jednym ciałem.

Jej rodzice byli rozwiedzeni i dodatkowo rozdzieleni przez morza rozciągające się między półkula południową a północną. Benni nie wiedziała, czy napisać do jednego z nich, czy też do obojga o tym, co zakłóciło jej spokój – na pewno o swoim strachu – ale odłożyła próbę napisania takiego listu na później. Matka wracająca samolotem do kraju przeżytej przeszłości, żeby wesprzeć córkę – ta myśl wywołała odrażający obraz lotniska, gdzie pojawi się ta postać utkana z jej dzieciństwa i matczynej nieobecności. Jej ojciec, oto on, odczytujący trzeciej żonie list córki będącej owocem nieudanego epizodu w swoim życiu, która zawarła – tak by uznał,..? (w taki sposób sobie z tym radził) – niefortunne małżeństwo z jakimś facetem, który w wieku trzydziestu kilku lat okazał się poważnie chory.

Lyndsay i Adrian. Jego rodzice. Rodzice. Benni musiała przyznać przed sobą i przed nielicznymi bliskimi znajomymi, którym była skłonna wyjawić, co spadło na Paula niczym gniew Wszechmocnego, w którego żadne z nich nie wierzyło: jego rodzice byli cudowni. Chociaż to Paul był ich synem, to zarówno ona, jak i on utrzymywali z nimi równie bliskie stosunki, a jego spotkania z nimi nie były ani bardziej serdeczne, ani częstsze niż wtedy, gdy widywali się z nimi we dwójkę, głównie przy okazji spotkań rodzinnych, urodzin, świąt Bożego Narodzenia, przyjęcia w restauracji lub przy rodzinnym stole, z rodzeństwem i ich bliskimi, w miejscach, gdzie dorastał Paul i jego siostry; następne pokolenie, wnuki nakłaniane do wspólnej zabawy ponieważ były przecież dla siebie kuzynami. Stosunki z jego matką i ojcem naprawdę nie były bliskie. Ale teraz, jakby w życiu istniał jakiś normalny ciąg zdarzeń przewidywany w kontaktach bliskich sobie osób, Lyndsay i Adrian zaproponowali – zaczęli i stworzyli je – praktyczne rozwiązania, do których ich syn i jego żona nie mieli głowy. Lyndsay opuściła biura kancelarii prawnej, w której nazwie figurowało jej nazwisko, i zajęła się dzieckiem. Odbierała je codziennie z przedszkola, żeby troszczyć

się o nie do wieczora w domu, gdzie jego ojciec przed laty dokazywał w tym samym wieku, a tymczasem Benni, która powierzyła innym swoich klientów, komputery i autorów tekstów reklamowych, towarzyszyła Paulowi w poczekalniach klinik i laboratoriów patologicznych, gdzie dokonywano obrzędów badań poprzedzających operację.

Gdy już doszedł do siebie po operacji, nazywanej fachowo tyroidektomią, pozwolono mu wrócić do zwykłego życia, czyli do Benni, synka i pracy Rekonwalescencja: cztery tygodnie obowiązkowego oczekiwania na terapię jodem radioaktywnym, która, jak stwierdzili z pomocą tomografu lekarze, była potrzebna, żeby usunąć resztki tkanki rakowej. On, Benni i jego rodzice, pod milczącym, niekwestionowanym zwierzchnictwem człowieka zagrożonego utratą życia, przeżyli ten okres tak, jakby to był zwyczajny ciąg codziennych, normalnych zajęć. Paul zaplanował podróż w teren, z której wrócił na dzień przed stawieniem się do szpitala na terapię jodową.

Jemu i jego żonie powiedziano, najbardziej taktownie, jak tylko można przekazać takie kosmiczne zalecenia, że gdy wypuszczą go po kilku dniach całkowitej izolacji w szpitalu, nadal będzie źródłem promieniowania i zagrożeniem dla osób mających z nim styczność. Benni przyjechała, żeby powiedzieć to Adrianowi i Lyndsay, którzy przebywali w domu rodzinnym, dawnym domu Paula. Ani przez chwilę nie trzeba było się zastanawiać, co zrobić. Lyndsay odezwała się od razu, za siebie i męża, i właśnie w zmarszczonym czole Adriana i jego ponuro znieruchomiałych oczach było widać, że na pewno mówi w imieniu ich obojga.

– Będzie mieszkał u nas. Dopóki stwarza zagrożenie.

Rzecz oczywista.

Przedstawianie im wiążącego się z tym ryzyka byłoby trochę nachalne – najwyraźniej ta ostateczna ze wszystkich spraw, kwestia wartości życia i śmierci, już dawno została przedyskutowana dogłębnie, w cztery oczy, i rozstrzygnięta między nimi. Tylko nie

popłacz się z wdzięczności. Jakiej innej decyzji powinna była oczekiwać od matki i ojca? Jakie zatem wyobrażenie o swoim rodzicielstwie miał ich syn i jego żona?

Dopiero gdy odprowadzili ją do samochodu, odwróciła się nieświadomie, jakby chciała zabrać jakąś pozostawioną u nich rzecz, i objęła Adriana – pierwszy raz po pięciu latach cmokania w oba policzki w Boże Narodzenie i dni urodzin. Głową sięgała mu zaledwie do piersi. Później Lyndsay, dwie kobiety tulące się przez chwilę do siebie. Na ścieżce prowadzącej z domu do samochodu nie odzywali się do siebie. Ostatnie słowa zamienili, gdy Adrian cofnął się, żeby przepuścić je w drzwiach domu. Zapytał, kiedy Paul może być wypisany ze szpitala, a ona odparła, że chyba zostanie tam jeszcze przez dwa dni.

Lyndsay osłaniała oczy przed słońcem rozczapierzoną dłonią.

– Cóż, gdy tylko się tego dowiesz... odbiorę go ze szpitala.

To logiczne, już była gotowa do radzenia sobie z rzeczywistością, którą sobą reprezentował.

Benni z niespieszną precyzją zawartą w swoich ruchach zapięła pas, przekręciła kluczyk w stacyjce, wrzuciła bieg i zwolniła hamulec ręczny. Nic więcej nie musiała robić. Samochód miał napęd automatyczny, natychmiast ruszył po żwirze z odgłosem, który przypominał zgrzyt piasku między zaciśniętymi zębami, drzwi zamknęły się z trzaskiem. Wykluczona z procesu, który nim zawładnął, sama zatrzymana w więzieniu własnego bezpieczeństwa. Nie mogła sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała taka izolacja. Po raz pierwszy, odkąd odebrała telefon, w którym przekazano, jak brzmi diagnoza lekarska, myślała nie o Paulu, ale o sobie, o sobie samej. Gdyby teraz płakała podczas jazdy, roniłaby łzy nad sobą.

Dom nasłuchuje. Od czasu do czasu przerywa to nasłuchiwanie dobiegający z ciepłej kuchni szum lodówki, włączającej się, żeby utrzymać w swoim wnętrzu zimową temperaturę. Zamierzał wstać i zjawić się na śniadaniu, ale – jak widać – lekarze nie chcieli go zniechęcać informacją o tym, jak śmiertelnie zmęczony będzie się czuł nawet po wczesnym udaniu się na spoczynek i ośmiu godzinach snu. Jego członki, bicepsy i ramiona, uda i łydki, nie były skłonne się ruszyć. Nie potrafił nawet zadrzeć z wysiłku; nie było sił, które mógłby zebrać.

– Po prostu odpoczywaj.

Wysunięta ukradkiem twarz Adriana w drzwiach. Odezwał się dopiero wtedy, gdy syn otworzył oczy. Zagładająca zza pleców męża Lyndsay. Na tym przecież polega powrót do zdrowia. Podejście lepsze niż poparte wiedzą przekonanie lekarzy, że badania potwierdza, czy usunięcie gruczołu i oślepiający blask inwazyjnej terapii jodem radioaktywnym pokona oportunistyczny atak w innym miejscu. Pogratulowali sobie, że struny głosowe nie uległy poważnemu uszkodzeniu. Pacjent mówi normalnym głosem, nie jak kastrat, nawet tembr głosu się nie zmienił. Leżąc w łóżku poza czasem, w tej przyćmionej, drzemiącej półświadomości, myśli o tym, co musieli z nim robić na sali operacyjnej, gdy był zupełnie nieprzytomny, i widzi wówczas, jak kilka pojedynczych komórek błyskawicznie uchodzi z życiem spod skalpela, a później umyka przed promieniotwórczym jodem, żeby założyć nową bazę na tym, co w odczuciu Paula stanowi terytorium jego ciała. To jeden z filmów ze scenami pościgów samochodowych, które zawsze skłaniały go do przełączenia telewizora na inny kanał. Lekarze z zadowoleniem zauważyli, że poczucie humoru Paula jest czynnikiem pozytywnym, przejawem ducha potrzebnego, żeby wytrzymać to, co go czeka zgodnie z wyrocznią tomografu.

Rodzice wyjechali – ona do biur X, Y, Z i Partnerzy z plikiem dokumentów dotyczących prowadzonej przez nią właśnie sprawy, on na zebranie zarządu swojej firmy.

Lyndsay urządziła „kwarantannę” w taki sposób, aby on, Adrian, i ona sama byli jej jak najmniej świadomi i jak najmniej zażenowani sytuacją. Ma specjalny kosz – pamiątkę z dawnej podróży na konferencję prawniczą w kraju, gdzie kupowało się takie wyroby rękodzielnicze na lotnisku i nikt potem nie wiedział, jak je wykorzystać – który teraz służy jako pojemnik na pościel i rzeczy Paula odkładane do osobnego prania (resztę prała Primrose). Jeden z kupionych w supermarkecie plastikowych pojemników z przegrodami zawierał jego sztucce, trzymane osobno ze szklankami i filiżankami w szafce opróżnionej z kiczowatych prezentów (pozostałości po gościach), których wyrzucenie wydawało się wprawdzie rzeczą niestosowną, ale które nigdy nie były używane. Talerze: zniszczenie po rekonwalescencji Paula, w celu niezbędnego zabezpieczenia, porcelany z pięknymi, malowanymi ręcznie motywami z Włoch, zamówionej pewnego roku w niewytłumaczalnym przyпыlywie ekstrawagancji, byłoby niepotrzebnym marnotrawstwem (poświęceniem). (Komu mogło się wówczas w tym pięknym miejscu śnić, że nadejdzie czas na odmiennego rodzaju hiperbole, opisującą wydatki znacznie przekraczające ramy programów opieki medycznej.) Zgromadziła zapas papierowych talerzy na potrawy z grilla, wystarczająco grubych, by serwować na nich gorące posiłki. Za pośrednictwem znajomego przemysłowca o bez wątpienia podejrzanym koneksjach w branży telekomunikacyjnej Adrian natychmiast zainstalował telefon i linię telefaksową w przydzielonym synowi pokoju, a dokładniej na stojącym tam w zasięgu ręki stoliku nocnym.

Mógł dzwonić do Benni. Do pracy. Albo na jej telefon komórkowy, gdy jechała samochodem. Ciekawe, czy używa aparatu z wtykaną do ucha słuchawką, na którego zakup należał w czasach, kiedy sądzili, że jedyna groźba promieniowania, jakie może na nich oddziaływać, kryje się ponoć w starych telefonach zakładanych na ucho. Nie mógł jednak podnieść słuchawki, żadne urządzenie

milenijnych bogów telekomunikacji nie było w stanie pokonać bezmiaru przestrzeni dzielącej go od biurek z konsolami, krzeseł będących wiernymi kopiami projektów Le Corbusiera, skórzanych kanap dla klientów, fachowo przygotowanych aranżacji kwiatowych, powiększonych wizerunków nieziemsko pięknych lub słynnych ludzi oraz rajskich krajobrazów z wyróżnionych nagrodami kampanii reklamowych; Berenice święci niezwykle sukcesy. Faks – do kogo? Członkowie jego zespołu, Thapelo i Derek, dostarczają danych mieszkańcom obszaru, gdzie trzeba się sprzeciwić zamiarowi budowy na afrykańskim pustkowiu reaktora jądrowego ze złożem usypanym. Biuro Berenice w mieście nie istniało dla niego, tak jak jego dzikie obszary nie istniały dla niej, gdy siedziała przy biurku w tej miejskiej przestrzeni.

I żadne z nich nie istnieje. Oba równie nieosiągalne. To on się wycofał. On sam. Daleko.

Samoloty mogą lądować pod kontrolą automatycznego pilota. Paul wstał i poszedł do zarezerwowanej dla niego łazienki. Substancje promieniotwórcze są przenoszone w moczu i kale. Gdy sika, przychodzi mu do głowy pytanie, czy kiedyś znowu obudzi się z erekcją.

Nie zostawili go zupełnie samego. Jest służąca, teraz nazywana gosposią. Poza tym Paul jest sam, z dala od wszystkich. Jego myśli nadal chaotycznie i niedorzecznie wędrują. Wywożone do innych krajów psy trzyma się w kwarantannie całymi miesiącami, zabezpieczenie przed przeniesieniem wścieklizny z Afryki. Biedny piesek. Lekarze orzekli, że w jego wypadku potrwa to około szesnastu dni, łącznie z kilkoma pierwszymi w szpitalnej izolatce. Później będzie zdrowy, czysty.

Najpierw zapewniali, że usunięcie gruczołu wystarczy do wyleczenia, że będzie zdrowy, czysty.

Następnie musieli przyznać, że czasem po operacji zostają szczątkowe tkanki tarczycy. Czasem mógł to być zabieg celowy – żeby zachować coś z normalnej funkcji tarczycy, czasem był jednak

nieumyślny. Jak było w jego wypadku, nie chcieli powiedzieć, a zresztą, jaki sens o to pytać.

Ani jego żona, ani rodzice nie zdawali sobie sprawy, że wiedział o usuwaniu pozostałości tkanki złośliwej, zanim usłyszeli o tym od lekarzy. Gdy wczesnym ranem oznajmiono Benni przez telefon, co zaciska mu pętlę na gardle, Paul pojechał tamtego dnia na wydział medycyny miejscowego uniwersytetu i powiedział, że prowadzi badania wymagające skorzystania z biblioteki medycznej. Tam samodzielnie zasięgnął opinii na temat raka brodawczakowatego, najpoważniejszej postaci nowotworu złośliwego tarczycy. Częściej występującego u kobiet i częściej atakującego ludzi młodych. *Jako trzydziestopięciolatek masz zatem spore szanse.* Czytał dalej. Jeśli istnieje podejrzenie, że po tyroidektomii pozostanie tkanka rakowa, trzeba ją usunąć radioaktywnym jodem. Ta terapia jodowa jest niebezpieczna dla osób mających styczność z człowiekiem, który ją przeszedł.

Jodyna, roztwór jodu, nieszkodliwa ciecz, którą smaruje się dziecku podrapane kolano.

Kilkutygodniowa izolacja. Zdrowy, czysty. Teraz oczywiście zapewnienia. Znowu, tym razem.

On musiał wiedzieć, sam z siebie.

Primrose – Pierwiosnek (nie tylko biali nazywają swoje potomstwo w pretensjonalnie niestosowny sposób, królowa w starożytności, kwiat w zrodzonych w wyobraźni ogrodach, z których przybywali bogaci zdobywcy) – zostawiła mu śniadanie, przyrządzone zgodnie z nowymi domowymi zaleceniami. Herbata i grzanki na podgrzewanej elektrycznie tacy, owoce i jogurt, miód, płatki zbożowe, które, ku zaskoczeniu Paula, wciąż istniały; pewnie kojarzyły się jego matce ze wspomnieniami z jego dzieciństwa. Łyżeczka płatków smakuje niczym siano.

Primrose, znająca go oczywiście ze zwykłych odwiedzin u rodziców, nie pokazuje się. Przez okna otwarte, żeby wpuścić poranne słońce (która godzina, czy zegarek naprawdę to wie),

dobiega ciche trajkotanie. W dzieciństwie trzymał w tym domu w klatce papużki faliste, porozumiewały się konfidencjonalnie w podobny sposób – Lyndsay, jego matka, która nie mogła znieść zamykania zwierząt w klatkach, uświadomiła mu, że ptaki są uwięzione. Zapewne je oddał. Ta cicha poranna dyskusja nie była jednak gaworzeniem zamkniętych w klatce ptaków, ale rozmową Primrose i jakichś jej przyjaciółek, spędzających każdą wolną chwilę na pogaduszkach. Nikt mu nie powiedział o problemie Primrose jako domowniczki. Zdał sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy jadł przygotowane przez nią śniadanie i słyszał ją, niewidoczną, w rytmicznym ciągu głosów mówiących we własnym języku Afrykanek.

Adrian i Lyndsay musieli zdecydować, co zrobić – czy w ogóle należy narażać tę kobietę, nieświadomą niebezpieczeństwa, wolną od wszelkiej rodzinnej odpowiedzialności wobec ich syna. Lyndsay obudziła się w nocy po przeprowadzonej wcześniej długiej dyskusji i mówiła głośno, jakby rozmowa nadal trwała. Adrian obudził się i, nie po raz pierwszy, powiedział słuszną rzecz, której nie wzięła wcześniej pod uwagę. (Tyle o jej prawniczym umyśle.) Muszą rozmawiać z Primrose: decyzja o odprawieniu jej z domu nie może być potraktowana jak wygnanie jej z miejsca, które zajmowała w ich życiu, ale musi być podjęta tak, żeby spotkała się z pełnym zrozumieniem i akceptacją gosposi – jako ich obowiązek względem jej bezpieczeństwa.

Wysoka i ociężała kobieta, starzejąca się tykwa wypełniona życiem obfitującym w kłopoty nie zaś delikatny żółty kwiat, choć nigdy wcześniej nie zaproszono jej do salonu na rozmowę z pracodawcami, poświęciła im całą uwagę, której – jej zdaniem – wymagały ich dobre stosunki, odpowiednie warunki pracy i doskonała płaca. Ci biali ludzie nie próbowali żadnych sentymentalnych zbliżeń, co obecnie czyniło w stosunku do czarnych wiele osób, gdy chciały czegoś od ciebie, mama Paula nie zaczęła od gadek w rodzaju „sama jesteś matką”. Nie było także ojca, którego jego tato mógł przyrównać do siebie; mężczyzna, który spłodził Tembise, chłopca, uczącego się w prywatnej szkole opłacanej przez jej pracodawców, już dawno wrócił do swojej żony w Transkei. Najpierw

Adrian szczegółowo wyjaśnił, na czym polega choroba Paula, kuracja i te dziwne następstwa, odmienne od następstw innych chorób. Gdy Primrose nie zrozumiała, ściągnęła usta, policzki powędrowały ku jej wysokim kościom policzkowym, i zapytała:

– Co... co?

Było to zarówno pytanie, jak i wyraz pełnego grozy współczucia. Kiedy był w szpitalu, wypytywała oczywiście codziennie o stan jego zdrowia, kręcąc głową. Bóg dopilnuje, by wyzdrowiał. Musieli wyjaśnić, nie obrażając tej wiary w boską moc, że nie wyzdrowiał całkowicie, jeszcze nie. Z chwilą, gdy poznała fakty, nie było większej potrzeby tłumaczyć, dlaczego Paul nie może wrócić do domu, do swojej młodej żony i dziecka. Uprzedziła ich:

– Musi przyjechać do nas.

Czyż nie wiedzieli, że lubiła zajmować się chłopczykiem, gdy mama sprawowała opiekę nad wnukiem, a jego matka była zajęta wizytami u lekarzy i męża?

Oto propozycja: Primrose pojedzie do swojego domu na nowym osiedlu komunalnym w dzielnicy, w której przyszła na świat, domu, który w rzeczywistości pomogli jej zbudować dla matki, wpłacając za nie zaliczkę.

– Jak długo?

Nie wiedzieli. Adrian uspokoił ją – będzie dostawała całą pensję.

Zamyśliła się, a oni uszanowali tę chwilę wahania, nie wdając się w ponowne wyjaśnienia.

– Zrób sobie krótkie wakacje – spróbował raz jeszcze Adrian.

Primrose zwróciła się do Lyndsay – są bowiem okoliczności, których mężczyźni, wszędzie, w domu jej matki lub w tym, we wszystkim wyręczani, nie rozumieją.

– Jak może pani sobie poradzić?

Lyndsay wydała z siebie cichy gardłowy śmiech.

– Nie wiem. Ale poradzę sobie.

A teraz do Adriana, mężczyzny.

– Jej praca codziennie i papiery, które przynosi do czytania wieczorem. Widzę włączone światło.

„Jak może pani sobie poradzić?” znaczyło „nie odejdę”, po chwili dyskutowali więc we troje w skupieniu, niczym wspólnicy. Jak mogła zostać? Czy można było zaplanować jej obecność, tak jak urządzili gabinet na kwarantannę? Zapewnić, żeby jej obowiązki wymagały absolutnie minimalnej styczności z niebezpieczeństwem przez dotyk, kontakt z odzieżą Paula i naczyniami (kto wie, może i przez wdychane powietrze).

Wszystko jednak zostało przyjęte na zasadzie milczącego porozumienia, że oni – mama i jej mąż – pozwalają jej wystawić się na ryzyko razem z nimi, jedynymi osobami, które mają ku temu powód. Być może ta kobieta przeżyła w swoim życiu tyle, że nie mogła tak naprawdę uwierzyć w zagrożenie, którego źródłem nie były, ich zdaniem, tylko kaszel, kał chorego, ropa lub krew. Coś, co wydzielał, jakieś światło, którego nie było widać.

Co robisz, gdy nie masz celu, nie wolno ci go mieć, możesz tylko, jak ujęła to jego matka, „powracać do zdrowia”? To równie dobry zwrot jak każdy inny eufemizm na... cokolwiek. Możesz zatelefonować przez Internet w dowolne miejsce, co ty na to? Paul naprawdę nie mógł uwierzyć, że będzie musiał umrzeć. Samotne komórki przemieszczały się teraz po terytorium jego ciała; umieranie to sprawa odległa, nierealna, gdy masz trzydzieści kilka lat, przytrafić ci się może jedynie śmierć pod kołami autobusu. Od kuli porywacza. Jego praca ma charakter naukowy, odbywa się we współpracy z najwspanialszym uczonym, naturą, która dysponuje przepisem na wszystko, czy to odkryte, czy wciąż będące tajemnicą do zbadania przez jej samozwańcze najwyższe stworzenie. W bibliotece uniwersyteckiej przeczytał oczywiście o tarczycy, tym

ukrytym guzku w ludzkiej szyi, który mógłby wymacać ręką, gdyby nie został usunięty. Tarczyca to podstawowy czynnik wzrostu, obok przysadki mózgowej ukrytej za czołem. Bez niej nie osiągnąłby wieku dojrzewania, dojrzałości fizycznej i umysłowej. Miejsca te powinny być zaznaczone niczym święte znaki malowane na czołach hindusów. Można więc wykazać, że gruczoł tarczycy ma wpływ na emocje poza niezbędnymi objawami fizycznymi, jeśli postanowi stać się kapryśny, to nadmiar wydzielanych przezeń hormonów powoduje tachykardię, pospieszne bicie serca. Niektórzy dowodzą nawet związku między nadczynnością tarczycy a zdolnościami artystycznymi – szybciej działa też wyobraźnia. Rozumiesz, że o twojej inteligencji decyduje wielkość i budowa twojego mózgu – to wszystko. Są jednak inne ogniska substancji, których alchemia wpływa i ingeruje – właściwie bezpośrednio – w to, kim jesteś. Wiele innych niezrozumiałych szczegółów dotyczących organu, którego brakowało w jego szyi, blizna w miejscu, gdzie kiedyś skrycie funkcjonował i gdzie komórki znarowiły się w procesie szaleńczej proliferacji. Mógł się spotkać z lekarzami na gruncie ich własnych kompetencji naukowych i gdy powiedziano mu, że gruczoł trzeba usunąć, od początku chciał wiedzieć, jak jego życie będzie wyglądało bez niego. Kazano mu się nie martwić. Po prostu zwalczymy nowotwór. Będzie pan zażywał rutynowe leki. To znaczy? Och, coś o nazwie eltroxin, bardzo dobrze zastępuje działanie tarczycy.

Wróciwszy do przydzielonego mu pokoju, słyszy odgłosy czyjejs krzątania, gdy on nie przeszkadza; kobieta gdzieś odkurza. Jest aparatura stereofoniczna ustawiona przez jego ojca, są też kasety, o których Benni nie zapomniała. Z pewnością nie ma takiego poczucia bezcelowości, jakiego nie można zatracić, słuchając ulubionej muzyki. Jest monografia o słoniach oraz inne książki, na których lekturę nigdy nie masz czasu. Laptop. Teczka z dokumentami z badań na bagnach St. Lucia, prowadzonych z Thapelem i Derekiem, do zestawienia i szczegółowego opisanie. I telefon. Cóż powiedzieć osobie na drugim końcu linii?

Co masz robić, jeśli nie masz żadnych obowiązków, żadnych codziennych oczekiwań wobec siebie i innych?

Wydostajesz się z miejsca, w którym jesteś. Zostawiasz za sobą ziejące pustką mury. Nogi poniosły go drogą, z której korzystał w dzieciństwie, przez głęboko osadzone okna w salonie do ogrodu. Jakiś człowiek spulchniał ziemię wokół krzewów, zęby ciężkiej gracy wgrzyzały się w twardey grunt z każdym opadnięciem narzędzia. Zastygł i uniósł rękę w czymś na kształt pozdrowienia, jakie czarny pracownik powinien przekazać białemu, dokończył zamach i graca głośnym stukiem zaświadczyła o jego wysiłku i oporze stawianym przez ziemię. Ktoś, kto nie próżnuje.

Z tyłu nadeszła duża kobieta. Zwykła wełniana, noszona na bakier czapka na jej głowie zadziornie drwiła z napuszonego angielskiego imienia właścicielki.

– Dobrze się pan czuje? Wszystko w porządku?

Z drugiego końca trawnika, dla jej bezpieczeństwa, podziękował gosposi za śniadanie, popisując się powierzchowną znajomością zulu, jedyne go języka afrykańskiego, który w przydatny dla siebie sposób przyswoił do pracy na obszarach wiejskich, uważanego przez białych za rodzaj afrykańskiej *lingua franca*. Ta próba wiązała go niemal z życiem zawodowym, z pracą. Primrose się roześmiała.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Do tego „życze miłego dnia”, wyuczone formułki, które wszędzie w podzielonym świecie wprowadzają zasady pojednania na poziom banalnej grzecznościowej konwencji. Tak jak bezmyślne westchnienia niewierzących do Boga. Ta nowa plebejskość dotarła nawet do tej staromodnej czarnej kobiety, nienoszącej dredów i niemającej na swojej głowie torów utkanych z włosów ani koka z ufarbowanych na żółto sztucznych loków, które Paul często widuje u pięknych feministek z zarządu agencji reklamowej Berenice i eleganckich sekretarek o wypiętych piersiach i zadartych nosach w biurach instytucji rządowych, do jakich trafia w związku ze swoją pracą. W pokoju, z którego wyszedł, dzwoni telefon, ale gdy dociera tam, żeby podnieść słuchawkę, dzwoniący się rozłącza.

Powraca ogromna fala znużenia. Gdy później głośno rozbrzmiewa dzwonek telefonu, Paul znowu leży na łóżku. Dzwoni Benni.

– Próbowałam już wcześniej.

– Byłam w ogrodzie.

– To dobrze.

Lyndsay i Adrian zrezygnowali z oglądania zorzy polarnej na wycieczce morskiej po wodach „wspaniałej Arktyki”. Na szczęście najwyraźniej ani Paul, ani Berenice nie pamiętali, że podróż była zaplanowana, obyło się więc bez protestów, niezbędnych, by przekonywać kogokolwiek, że uczynili to dobrowolnie. Wycieczka była pomysłem Adriana, wyczuł bowiem, że jego Lyn nie bardzo wie, co ów złowieszczy stan – emerytura – będzie oznaczał, jeśli dołączy na niej do niego, a decyzja o podróży dokądś, teraz, w jakieś odległe miejsce, o którym nigdy nie myśleli, dowiedzie, że takie wyprawy mogą być częścią tego nowego stanu. Podróż ta, z krańca półkuli południowej na kraniec półkuli północnej, dałaby wyobrażenie o tym bez potrzeby uciekania się do słów. Tak samo jak Lyndsay musiała wiedzieć o tym, że on ją kocha, że wciąż nawet jej pożąda, tak jak kochał i pożądał, gdy razem zamieszkali.

Rodzice Paula starali się unikać wychodzenia wieczorami, nie pokazując jednak zbyt ostentacyjnie, że zostają w domu ze względu na niego. Gdy odbywał się koncert, którego Adrian szczególnie pragnął wysłuchać, źródłem jego radości z obcowania z muzyką Pendereckiego, Cagea i Philipa Glassa było nieosiągalne dla Lyndsay, głębokie eklektyczne zrozumienie, którego mu zazdrościła – siedł sam, a ona zostawała w domu z Paulem. I w pewnym sensie była to przyjemność, gdy w końcu matka i syn mieli okazję spędzić wspólnie wieczór na osobności. Z małego chłopca, nastolatka, w ich życie nie wolno ingerować zbyt mocno, muszą przenieść swoje uczucia z jednej kobiety na inne, z młodzieńca, z którym łączyła ją dojrzała przyjaźń i wzajemne zrozumienie, wyrósł na męża i ojca. Teraz sami rozmawiali głównie o jego pracy i o tym, co o niej sądził – w głębi duszy, w swojej istocie – tak jak przypuszczalnie rozmawiał tylko ze swoją kobietą, swoją żoną. Jego niemal gniewne zaangażowanie – tyle było wrogich tej działalności sił politycznych i gospodarczych – miało istotny związek z jej pracą, o którym nigdy wcześniej tak naprawdę nie dyskutowali. O tym, jak i które rzeki oraz morza powinno się eksploatować, ostatecznie decydują przepisy

ogłaszane przez rządy. Paul, Thapelo i Derek mogli dowieść, że jedną formą użytkowania zasobów naturalnych w określonym środowisku można kierować z korzyścią dla rozwoju ludzi, zwierząt i roślin oraz dla atmosfery; ścieki będące wytworem tej samej formy eksploatacji w innym środowisku wywołują choroby miejscowej ludności, pozbawiają gatunki fauny zapewniających im pokarm siedlisk, a morza zdolności regeneracji. Ale „wyniki” badań środowiska prowadzonych za pieniądze twórców inwestycji zatwierdzonych przez rządy służą za pewnego rodzaju usprawiedliwienie realizacji tych przedsięwzięć. Mniejsza o niezależnych badaczy (Paulów, Thapelów, Dereków), którzy dowodzą, że jest inaczej – na ich odkrycia zwraca się znikomą uwagę (o tak, projekty przedsięwzięć poprawia się nieco, szukając ustępstw, o czym decydują także zgubne wpływy finansowe). Tak więc ekolodzy dostrzegają potrzebę konsultowania się z prawnikami, którzy wiedzą, jakie luki wykorzystywane przez przedsiębiorców trzeba przewidzieć i ujawnić w czasie, gdy trwają niezależne badania.

Takie konsultacje odbywają się w warunkach kwarantanny. Paulowi nie wolno pić alkoholu i kiedy Lyndsay zapomina o tym, gdy w ferworze głośnej rozmowy znowu się spoufalają i ona proponuje, żeby napili się wina, szybko się poprawia:

– Nie, wstawię wodę, może zaparzę herbatę rumiankową.

Paul uśmiecha się i lekko kręci głową, jakby chciał powiedzieć „ty napij się czerwonego wina”, a ona w milczeniu przechyla głowę w podobnym ruchu, odmawiając z uśmiechem.

Jej syn jest tak wyczerpany rozmową, którą oboje nawiązali w intymnej atmosferze, że musi się położyć, zanim jego ojciec wróci z koncertu.

Są jeszcze inne emanacje oprócz tych, na które Lyndsay była narażona w tym tête-à-tête. Zdarzają się osoby, dla których usłyszana muzyka krąży ożywczo niczym krew w ludzkim ciele i mózgu. Adrian wrócił w tym błogostanie. Nie rodzi go muzyka, którą

można zanucić, którą znała, zanim zapoznał ją z czymś, co otworzyło jej postrzeganie. Ludzie dają sobie wzajemnie rzeczy, których nie da się zapakować na prezent. Tego wieczoru jednak Lyndsay nie przeżywała z nim tej muzyki, nawet na poziomie percepcji, której mogła oczekiwać w wypadku utworów Pendereckiego i Cagea. Poczytał trochę w jej towarzystwie – jedną z autobiografii zrzucających brzemie brzydoty politycznej przeszłości, które przekazywali sobie, żeby przyklasnąć poglądom autora lub spierać się z nimi.

Powiedzieli już wszystko, co było do powiedzenia o wieczorze w domu. „Jak poszło, czy Paul dobrze się czuł?” „Dobrze, myślę, że zapomniał...” „Niełatwo rozmawiać, wiem”. „Nie, rozmawialiśmy. O jego pracy, tak jakby w ogóle jej nie przerwał”.

Nie była to pora właściwa na pozbawianie się możliwości snu dalszą rozmową o tym, co te słowa przywiodły na myśl, o czym stale myśleli: czy kiedyś znowu podejmie tę pracę.

Lyndsay leżała obok męża z zamkniętymi oczami, starając się oddychać w tym samym rytmie, tak jak nadażała za jego dłuższym krokiem na spacerach. Adrian odłożył książkę, zgasił światło. Od dawna mieli zwyczaj żegnać mijający dzień, mówiąc sobie dobranoc po ciemku. Pocałunek pieczętował to życzenie lub prowadził do miłosnego zbliżenia. Adrian miał problemy z prostatą, ale nie potrzebował viagry. Dzisiejszej nocy pocałunek był pieczęcią.

Zasypiał już, gdy ocknął się z przestraczem i usłyszał, jak Lyndsay zanosi się szlochem. Przez chwilę, w konsternacji, wydawało mu się, że ktoś ją atakuje, zdesperowani intruzi wiedzą, jak wyłączać alarmy przeciwwłamaniowe w podmiejskich domach. Uderzył dłonią w ścianę, natrafił na włącznik światła. Nikogo nie było. Przerażliwie wykrzywiona twarz Lyn skurczyła się w oślepiającym blasku. Adrian zgasił światło i w ciemności wziął ją w ramiona. Czuł jej gorące, jędrne i obce ciało.

– Dlaczego musiało do tego dojść, żebyśmy mogli rozmawiać. Rozmawiać. Czemu dopiero teraz? Co my robiliśmy? Czekaliśmy na

to. Co się z nami stało? Czego mi brakuje, że to, co miało być miłością, nie mogło dawać zadowolenia przez mijające lata?

– Lyn... kochanie... robisz wszystko. Wszystko, co możliwe. Dobry Boże, wracasz do domu i ścielisz mu łóżko, sprzątasz jego pokój, pierzesz jego rzeczy. Jesteś jego pielęgniarką, służącą – wzięłaś na siebie większe ryzyko niż ktokolwiek, niż ja... Zgoda, pomogłem mu w kąpeli, gdy był jeszcze bardzo słaby... ale ile kobiet wykonujących wolny zawód zdecydowałoby się robić to, co robisz...

Ciało Lyndsay zaczęło drżeć, gdy zakrztusiła się łkaniem.

– Opieka nad mężczyzną, tak jak wtedy, gdy był niemowłkiem. Cóż można by jeszcze zrobić. Posłuchaj mnie, posłuchaj...

Gładził ją po włosach, po ramieniu, w końcu otarła twarz prześcieradłem i to było dla niego sygnałem, że muszą się dotknąć, pocałować. Gdy penetrowali swoje zmuszone do milczenia usta, zaczął pieścić jej piersi. W obojgu budziło się rozpaczliwe pożądanie. Kochali się, tak jak wcześniej Paul i jego żona grzebiący w swoich ramionach strach, gdy zapadł wyrok, i nie myśleli o swoim synu, pozbawionym tej deski ratunku, tego krótkotrwałego schronienia przed straszną samotnością. W głębi korytarza, w jego dawnym domu.

Okazało się, że to, co niewyobrażalne, może naprawdę stać się rutyną. Przynajmniej na tyle, na ile nakazane są kontakty. Stosunki. Ich nowy charakter, częstotliwość oraz granice. Jeśli więc Paul nie wstaje, żeby zjeść z nimi rano śniadanie – czasem zbyt szybko przypominające im o tym, że gdy jednak do nich dołączy, jego talerz jest z tektury, a sztucce, których używa, muszą kłaść osobno, zanim wyjdą z domu – mają w zwyczaju otwierać drzwi jego sypialni na czułe słowo pożegnania, w którym, jak wie Paul, chodzi tak naprawdę o to, by dyskretnie sprawdzić, w jakim stanie się obudzili. Paul zakłada, że w kuchni musi być jak najrzadziej, chociaż podczas dnia, gdy nie ma Primrose, trzeba tam wejść po wodę lub przekąskę z lodówki. Kiedy je śniadanie lub lunch, może krzyknąć

do dyżurującej za drzwiami Primrose, pytając, co tak wspaniale pachnącego gotuje, i otrzymując na tle donośnego trajkotania i łomotu muzyki popularnej jednej z afrykańskojęzycznych rozgłośni radiowych, jakiej słucha w czasie pracy, dramatyczny raport o najnowszym napadzie z bronią w rękę, o którym właśnie usłyszała w skrócie wiadomości.

– Czorty jedne! Kto ich wydał na świat! Bóg ich pokarze.

Następnie swobodnie przechodząc do informacji o postępach Tembisy w szkolnym sporcie, pragnie znaleźć coś, co zainteresuje młodego człowieka. Później ona i radio znikają.

Berenice dzwoni co rano, gdy tylko dotrze do swojej agencji reklamowej. Albo z telefonu komórkowego, jeśli zmierza na robocze śniadanie, na którym ma przedstawić zarys kampanii ważnemu klientowi. Berenice. Wyobraża ją sobie pod tym imieniem, pod którym przedstawiono ją podczas pierwszego spotkania; później, jak większość ludzi, którzy poczuli do siebie ostrożną sympatię, wykorzystywali rozmowy telefoniczne do podtrzymywania tej sympatii między spotkaniami.

Ten telefon ma być namiastką zwykłej wymiany zdań na temat codziennych trosk i wydarzeń, prowadzonej, odkąd zamieszkali ze sobą – to realia, które oboje muszą zachować. Berenice musi wypełniać chwile milczenia, opisując w zabawnych szczegółach, co się dzieje w jej życiu zawodowym, jakby składała raport zainteresowanej stronie – jeszcze jednej, klientowi z gatunku tych bliskich. Właściwie niewiele ma do powiedzenia.

– Wczoraj wysłuchałem całego *Fidelia*.

– A dziś rano?

– Może ogród.

– Cóż, przyjemne miejsce na lekturę, zanosi się na ładny, bezchmurny dzień. Korzystaj!

Niekiedy kończy rozmowę niezręcznie, bez związku z tematem, słowami: kocham cię.

Z kolei Benni przychodzi często i regularnie po południu. To Benni, a jakże! W nietypowej, cygańskiej w stylu sukience i chustach prezentuje się bardzo dobrze i Paul lubi się przyglądać, jak przywdziewa tę swoją zbroję, gdy wstaje z łóżka, żeby rozpocząć dzień. Kiedy obserwuje ją teraz na tej ziemi niczyjej, bezpiecznym terenie ogrodu, ozywają znieczulone dotąd nerwy, odczuwa rosnące pragnienia, żeby jej dotknąć. Przekroczyć kilka dzielących ich metrów w miejscu, gdzie stoją lub gdzie siedzą na krzesłach z tarasu, które wystawił przed dom, osobno, zwrócenie do siebie twarzami; poczuć pod dłonią jej skórę. Zadzwoiła przez domofon do bramy, Paul nacisnął przycisk pilota, zajechała przed dom, a on jest tam, nie za daleko, nie za blisko, gdy ona wysiada z samochodu i oboje przystają, każde się powstrzymuje. Powitanie przez pustkę, śmiech, czy zapomnieli już o czystej radości, jaką odczuwali na swój widok? Nie kończy się to jednak naturalnie, dotykiem. Tę lukę Benni pospiesznie wypełnia rzeczami, które przywiozła: nowymi książkami, ubraniami, listami (raz kwiatami, ale to, jak oboje spostrzegli, było błędem, jak gdyby był chorym znajomym odwiedzanym w szpitalu). Kto może powiedzieć, do jakiej naprawdę kategorii egzystencjalnej zalicza się Paul?

Matka zawozi go do szpitala na badania ambulatoryjne. Ojciec zastępuje ją, jeśli wizyta zbiega się z rozprawą, na której Lyndsay reprezentuje klienta, ale nie jest tak dobrze jak ona obeznany z procedurami medycznymi, co budzi jej niepokój – nie wiadomo, jak silną więź tworzy ten brak orientacji, ojciec i syn wkraczają, jako dwaj mężczyźni, w wyobcowanie jednego, tak jak mężczyźni tworzą więzi w tradycyjnie męskich okolicznościach wojny. Czy też, w innego rodzaju poczuciu męskiej tożsamości (znowu wyraźnie obecnym w tej szpitalnej poczekalni), gdy dziesięcioletni chłopiec i ojciec siedzieli tak ramię w ramię w hołdzie fizycznej sile męskości na meczu rugby. Jego ojcem jest Adrian, mężczyzna: ta świadomość przestała się liczyć, gdy synowska więź ustąpiła pierwszeństwa więzi z żoną i dzieckiem. Siedząc obok niego w poczekalniach, ów mężczyzna wie, jak ogromnie frustrujące jest patrzeć na swoją

kobietę i powstrzymywać w sobie chęć dotknięcia jej, odetchnięcia jej zapachem.

W pierwszy weekend Berenice przywiozła mu ich dziecko, ale późniejsze odwiedziny trzeba było ograniczyć do tego, że trzyletni chłopiec oglądał ojca z drugiej strony żelaznej bramy – podczas otwartego spotkania nie zdołali zapobiec temu, że malec podbiegł do Paula i objął go za nogi. Później zaś nadszedł dzień, w którym wpadł w gwałtowną furję, płacząc z rękami zaciśniętymi na prętach bramy i krzycząc: „Tatusiu, tatusiu, Paul, tatusiu, Paul”. Ten, do którego tak wołał, musiał wejść do domu, żeby można było przekonać zrozpaczone dziecko, by puściło kraty miejsca kwarantanny. Żadne z dorosłych, którzy przywieźli go na spotkanie z ojcem, nie potrafiło zmienić głęboko chyba ukrytego w nim przekonania, że już nigdy więcej swojego ojca nie zobaczy.

Postanowiono nie narażać chłopca na kolejne urazy psychiczne, chroniąc go równocześnie przed niebezpieczeństwem, którego i tak nie mógłby zrozumieć. Jego matka zastąpiła Paulowi widok syna dużą ilością informacji o nim, przekazywanych w rozmowach telefonicznych i podczas odwiedzin na odległość. O tym, jak ich dzidzius (wciąż nim był) miał pierwszą lekcję nauki pływania (jest wiele niebezpieczeństw, które można przewidzieć), jak się rozzłościł, gdy przyjaciel z przedszkola przyjechał na noc i zmoczył łóżko, jak polubił awokado i zjadał cały owoc jak jabłko. Kiedyś przyniosła rysunek kredkami („Powiedział, że to dla ciebie”). Jest na nim dom, który rysują wszystkie dzieci, wysokie ściany, dwa okna, drzwi, stromy dach. Kilka kresek przedstawiających ptaki na niebie. Unoszący się swobodnie kwiat-latawiec z ciągnącymi się za nim łądźkami. Jego ojciec kupił kiedyś papierowego chińskiego smoka i pewnego sobotniego popołudnia zabrał malca na trawnik, żeby puścić latawiec, ale chłopiec był zbyt mały, żeby nauczyć się nim sterować. Na pierwszym planie, na lewo od domu, jakiś mężczyzna z patykowatymi rękami, ale w starannie naszkicowanych spodniach, z rozstawionymi niczym u Chaplina stopami, ma dużą głowę i wielkie obnażone zęby. W pozdrowieniu? Lub w gniewie.

Primrose zawołała do niego przy śniadaniu:

– Dlaczego Nickie nie odwiedza już swojego tatusia? – I lament:
– Jaka szkoda. Ale musi pan powiedzieć, że wkrótce wraca, dzieci myślą o czasie inaczej niż my.

Pod wpływem odruchu przyniósł z sypialni rysunek syna. Odkład umieścił go przy swoim łóżu boleści, gdzie powinien się znajdować, omijał go wzrokiem. Teraz uniósł dzieło Nickiego do góry, żeby Primrose zobaczyła je z progu drzwi kuchennych.

Adrian i Lyndsay dobrze sobie radzą z kwestią weekendów. Nigdy nie trzeba było tego omawiać, to się rozumie samo przez się, że nie chcą trzymać się od niego z daleka; nawet na tyle, na ile byłoby to możliwe w sytuacji wspólnego zamieszkiwania w domu, który znowu stał się domem rodzinnym. Jedyne wyjątek polega na tym, że Lyndsay, zajmująca się rzeczami, z którymi Paul ma bezpośredni kontakt, ubraniami i pościelą, opiera się chęci pójścia za nim do jego pokoju i ucałowania go na dobranoc, do czego matka z pewnością ma prawo, od dzieciństwa przez całe życie (obaj mężczyźni nie zdawali sobie sprawy z tej potrzeby). Ona sama nie wie, czy powstrzymuje się przed tym ze strachu. Czy istnieje w świadomości coś w rodzaju zdania wtrąconego: „Jak można bać się własnego dziecka?”

Ani Lyndsay, ani Adrian nie uprawiają regularnie żadnego sportu. Adrian lubi zauważać z udawanym żalem: „Jak mogę iść na emeryturę, skoro nie gram w golfa?”. Wizja wieczności jako bezkresnej polaci mieszczącej trawniki, punkty rozpoczęcia gry, pułapki z piasku i niskie flagi w dołkach. Zawsze jednak bardzo bawiło go oglądanie meczów rugby, ponieważ w czasach studenckich był graczem formacji młyna: w soboty zamierza spędzać popołudnie w salonie ze względu na syna, włączając telewizor i zapraszając go pytającym spojrzeniem do wspólnego oglądania.

Adrian i Lyndsay zażywają ruchu na długich spacerach. Zwykle wyjeżdżali gdzieś do buszu co najmniej raz w miesiącu, spędzali

weekend w niewielkim kurorcie, z którego mogli wyruszać z podekscytowanym psem o równie silnie wykształconym poczuciu wolności. Paul wie, że gdy nadchodził weekend, robili to, co najlepiej kojarzyło im się z wypoczynkiem i co poza tym było niezbędne dla starzejących się zdrowych ludzi. Mieszkając dwa pokolenia później z własnym małym dzieckiem, przywykł myśleć o nich jako o ludziach starych, ale w tych dniach wzajemnej bliskości sposób, w jaki jedno lub drugie się poruszało, jak oddziaływali na siebie, gest lub zwrot użyty przez któreś z nich, sprawiły, że z jednostek na powrót stali się tym, kim byli przedtem. Rodzicami. Wbrew swojemu pragnieniu nie może im powiedzieć, że mogą wyjechać i cieszyć się spacerem na wsi, bo z doświadczeń życia z Benni wie, jak – mniejsza o ruch – silna jest potrzeba robienia pewnych rzeczy razem, z pewnością nawet w małżeństwie o tak długim stażu jak ich... *Ile to już lat?* Nie pamięta. Nic mu nie będzie. Uczy się przebywania w samotności na swój nowy sposób, tak jak razem z siostrami uczył się na stary sposób, gdy rodziców nie było w tym domu. Ale nie może poruszyć tego tematu, bo taka logika ujawnia stan niewyobrażalny: dlaczego w ogóle tu z nimi jest. Adrian i Lyndsay, rodzice, którzy teraz są również żarliwymi misjonarzami, tutaj, w tym prywatnym przytułku nie mogą troszczyć się o siebie, dbając o odurzonego lekami trędowatego.

Wieczorami przeważnie słuchają we trójkę muzyki. Adrian ma niezwykle zbiór, nie tylko płyty kompaktowe, ale i rzadkie płyty długogrające, nawet siedemdziesiątki ósemki, oraz zestaw sprzętu, starego i najnowocześniejszego, do ich odtwarzania. Adrian musi zaglądać tu i tam, żeby znaleźć konkretne nagrania, którymi chce uraczyć Paula i Lyndsay – wczesne utwory Klemperera, współczesne dzieła Barenboima – ponieważ regały mieszczące jego zbiór znajdują się w różnych miejscach, nawet w korytarzach. Sprzęt zapewniający zajęcie na emeryturze (od lat obiecywał sobie, że znajdzie czas, aby właściwie skatalogować swoje skarby) musieli usunąć z pokoju, który miał być jego gabinetem, a stał się schronieniem dla syna. Paul oczywiście wie, że może zakłócić towarzyszące słuchaniu milczenie podczas dezercji rodziców w dni powszednie (tak właśnie

Adrian i Lyndsay myślą o swojej nieobecności w biurze i kancelarii prawnej). Czasem próbuje, całe *Fidelio* jako eksperyment, i jeśli nagranie zawiera jedynie głos solisty, Callas ze skurczami i z rozkurczami serca, które dają mu siłę, obecny w tych czterech ścianach, jest to połowiczny dialog z tym, czego brakuje w teraźniejszości Paula. W pełni orkiestralny utwór, który – na co być może liczy Adrian – będzie dla jego syna pobudzającą afirmacją istnienia, jest niepożądanym, zakłócającym ciszę zgiełkiem tłumy. Wolałby, w stanie podświadomej gotowości, wyteńczyć słuch, aby dosłyszeć ewentualne swojskie odgłosy krzątania Primrose w kuchni.

Jego siostra Jacqueline mieszka z mężem (jest księgowym) na innym przedmieściu. Była wychowawczynią w przedszkolu, w którym stosowano metodę Montessori, teraz zaś działalność przedszkolną otrzymującą jej matczyną opiekę zastąpiła dwójka własnych dzieci. Posyła bratu potrawy domowej roboty, które – jak pamięta lub jak sądzi – mu smakują. Rolady z kiełbasy wieprzowej. Raz pudding z pieczonych bananów, według ulepszonej receptury, jak stwierdza dołączony liścik: „z uczt, które kiedyś bardzo lubiliśmy, przy sporej porcji brandy”. Przynosi ofiary do bramy, a Primrose przyjmuje dostawę. Przy pierwszej okazji Paul poszedł przywitać się z siostrą zza krat i Jacqueline rozplakała się na jego widok, później trzymał się więc z daleka. Wtedy jednak powoli wrócił dziwnym krokiem do domu i łazienki, żeby zobaczyć w lustrze to, co widziała Jacqueline. Schudł, ale odniósł tylko wrażenie, że jego twarz wygląda z pozoru niewinnie, młodziej, niż ją pamiętał z porannego golenia – przedtem.

Susan, siostra, która poślubiła hodowcę strusi i stała się niespodziewanie zamożna dzięki ogólnoswiatowemu popytowi na chude steki, nie wie, co mu powiedzieć, i dzwoni do ich matki, żeby dowiedzieć się o postępy w leczeniu. Ukończyła szkołę sztuk pięknych, ale przeniósłszy (odziedziczone po swojej ambitnej matce) ścisłe normy ze sfery profesji do sfery sztuki, spostrzegła, że nie ma dość talentu, by zostać wyróżniającą się abstrakcjonistką, i dzięki ojcowskiej umiejętności przystosowywania się do okoliczności

pracowała jako konserwator obrazów w muzeum, po czym polubiła swojego farmera i jego surrealistyczne ptaki. Emma, owoc spletanego przez biologię figła, siostra Paula, która przysłała po nim na świat tak szybko, mieszka w Ameryce Południowej, gdzie jest korespondentką jakiejś brytyjskiej gazety. Emigracja przydarzyła się jej, jak przydarza się wielu kobietom, ponieważ poślubiła cudzoziemca, brazylijskiego prawnika, poznanego, gdy jej matka zaprosiła go do domu na kolację w trakcie konferencji na temat prawa konstytucyjnego, w której uczestniczył w Afryce Południowej. Ta córka Lyndsay była młodą rozwódką, studiującą wówczas prawo – jedyną z rodzeństwa podtrzymującą zawodowe tradycje rodziców. W swoich e-mailach Emma pozdrawia *swojego niemal bliźniaczego brata* (urodzili się w odstępie zaledwie dwunastu miesięcy), *który ledwie wyskoczył z matczynego łona, gdy ja się w nim znalazłam*. Przychodzą one co kilka dni do przydzielonego Paulowi pokoju i sam dzwonek komputera jest czymś w rodzaju grymasu ożywienia Emmy w reakcji na to, co – jak się to mówi? – mu się przytrafiło. Nie przejawiała nabożnego, pełnego zakłopotania respektu, nie kryła odrazy na myśl o tym, jak znajduje się w tej niewyobrażalnej dla nikogo sytuacji; od razu wyskoczyła z tym pytaniem: *przeokropne, próbuję wyobrazić sobie, jak to znosisz, to musi być takie nierzeczywiste, chyba dobrze, że jestem daleko, bo nie uwierzyłabym w jakieś paskudztwo rodem z literatury fantastycznonaukowej w Tobie, mój braciszku, po prostu bym Cię przytuliła. Nie mogę pogodzić się z tym, że leżysz, emitując promienie z okropnego kosmosu. Najbardziej niewybredny humor w kiepskim widowisku. Uśmialibyśmy się do łez, jak zawsze, odkąd tylko zaczęliśmy gaworzyć. To wszystko to czysty absurd w Twoim życiu. Szaleństwo. Chcesz powiedzieć, że nawet nie możesz sobie podupczyć? Z tej odległości może powiedzieć wszystko – utrzymuje ten dystans, nie dzwoniąc, a Paul to rozumie. Emma po prostu skądś wie, że on nie ma nic do powiedzenia. Czasem wysyła w odpowiedzi krótki e-mail, ona zdaje sobie sprawę, że formułki to wszystko, na co jej brat potrafi się zdobyć: *ucieszyła mnie wiadomość od Ciebie, przyjąłem uściski, kocham Cię*. Gdy Emma zrywa plastry konwenansów z korespondencji o stanie jego zdrowia, Paul odczuwa szaloną ulgę – w*

chwilach, gdy czyta jej słowa i ulega pokusie ponownej ich lektury, słyszy swój głośny śmiech. Ale obnażanie się w ten sposób nic nie da, bo umiejętne postępowanie przejawia się tylko w zwyczajności narzuconej, stosowanej i utrzymywanej dopóty... dopóki on żyje. Orzeczone na podstawie badań koniec. Albo orzeczone na ich podstawie ocalenie. Nigdy więcej promieniowania, nigdy więcej światła.

Wędruje po domowych pomieszczeniach, jakby dla zabicia czasu katalogował rozpoznane przedmioty i rzeczy nabyte, dodane, które nie wryły się w pamięć, reprezentujące okresy w życiu i pragnienia dwojga ludzi opatrujących późniejszą datą chwilę, gdy opuścił ten dom, w którym teraz pojawia się znowu jako emanacja. Rzeczy nieożywione nie otrzymują właściwości ektoplazmy, jedynie żywe istoty są świadome jej obecności. Labrador zażywający ukradkiem sjesty na kanapie podnosi łeb na kogoś, kto zjawił się tam, w pokoju.

Przez głęboko osadzone w murze okna, przerzuciwszy nogi nad parapetem, Paul trafia do ogrodu.

Mężczyzna z wielkimi widłami, łopata lub sekatorem bywa tam zapewne tylko w regularnych, kilkudniowych odstępach czasu. Pozdrowienie – machnięcie trzymanym w dłoni narzędziem. Paul próbował głośno nawiązać jakąś wymianę zdań, ale jedyną odpowiedzią ogrodnika na tych kilka słów skleconych w języku zulu jest tylko szeroki uśmiech, który może wyrażać niezrozumienie (chyba konstrukcja gramatyczna jest śmieszna albo mężczyzna mówi innym językiem). Rozlega się także głośny ptasi śpiew. Ibisy białowąse sfruwają z dachu i wtykają swoje długie, lekko zagięte dzioby w trawnik w poszukiwaniu robaków, jak gdyby Paula w ogóle nie było w ogrodzie.

Siedmiolatek (czy mógł być aż tak młody?), najwyżej ośmiolatek, mierzy z procy wykonanej z gałęzi palisandru i kilku kawałków gumy ze starej dętki od roweru do gołębi, które stale

gruchają żalobnie na rynnach. Polowanie jest zabronione i powód tego zakazu staje się zrozumiałą, gdy trafiony ptak spada bezwładnie, ale jeszcze z błyskiem życia w oku: śmierć jest zakazana. Co się stało z gołębiem? Został ukryty w kubie na śmieci. Nie, sekret wymaga bujniejszej wyobraźni, bujniejszej, niż mogliby sądzić prawodawcy. Ptak został pogrzebany, z namaszczeniem, w obecności towarzysza zabaw, za starą stertą kompostu; wetknęli w ziemię kilka stokrotek.

Nieczęsto dorosły mężczyzna leży na plecach w trawie, są przecież wyplatane z tworzywa sztucznego szezlongi do rozkładania w słońcu lub w cieniu palisandru. Zwróconej ku górze nagiej twarzy nie ukazuje się niebo, lecz przestrzeń. Nie ukazuje się żadna chmura, nadająca jej skalę w białym blasku, żaden nadający głębię błękit. Trawa porusza się pod nim drobnymi drapiącymi szponami. Może są tam chrząszcze i mrówki, wędrujące niepostrzeżenie jak drapieżne komórki na swoim terytorium (ponoć życie jest jedno). Na to uczucie rojenia się spada z głuchym odgłosem jakiś ciężar – to towarzysz zabaw, wywiązuje się pełna chichotów i sapania walka. Gdy z kolei on sam zostaje pchnięty na drażniącą powierzchnię trawy, wybucha płaczem. Rozlega się kłamliwe błaganie o litość: „Gryzie mnie robal!”. Tak więc ta trawa jest sędzią w dzikich chłopięcych bójkach, które również są zakazane. „To tak traktujesz przyjaciół? To nie jest zabawa. Zrobicie sobie krzywdę”.

I o to właśnie chodzi! Żeby beksa musiał uciekać się do interwencji natury, która chroni go przed porażką, podczas gdy przygwożdżony do trawy zwycięzca nigdy nie woła o pomoc. Dorośli kładą kres tym bitwom. Czyżby ten atawizm minął, miał swój czas, razem ze ssaniem kciuka, i tylko hasło kapitulacji – „gryzie mnie robal!” – staje się częścią rodzinnego słownika, gdy w trudnej sytuacji potrzebujesz łaski śmiechu?

Otrześć się z luźnych źdźbeł trawy. Wstawanie wciąż wywołuje dezorientację, to odczucie ustępuje tutaj, w ogrodzie, gdzie zwykle chodzi się wolno, chyba że jest się chłopcem pędzącym, żeby złapać piłkę. Róża reaguje na bliskość delikatną wonią. Lilie: ślimaki, nagie

i w muszlach, są grube rzeźbione łądygi, niektóre od wielu lat trawione zarazą. W akcie pojednania (być może) z towarzyszem zabawy zostaje przyjęta propozycja jednego centa za każdego zebranego ślimaka. Rozgniatanie ich nie było przyjemne i topiono je w wiadrze z wodą. Gorąca? Ślimak to nie ptak. Współczucie zaczyna się od pewnego pułapu, poślednie stworzenia nie zasługują na litość. Oto niewinność, która pozostaje nienaruszona w ogrodzie.

Dobiegający z domu dzwonek zapowiada drugi tego dnia telefon od Berenice. Podniecony głos, słownictwo z gatunku tego, jakim się zwykle posługuje – właśnie otrzymała potwierdzenie zawarcia dużej transakcji, kontraktu obejmującego całą telewizję, radio, prawa do rozpowszechniania w Internecie, a także prasę, z klientami, którzy rozstali się z ogromnie renomowaną konkurencyjną agencją i trafili do jej stajni. Paul zdaje sobie sprawę, że ta egzaltacja łączy się z ulgą, ponieważ prowizja Berenice od takiej umowy będzie dostatecznie pokaźna, by pomóc w pokryciu kosztów badań laboratoryjnych i konsultacji lekarskich.

– A ty? – Inny głos, intonacja tego, co niewypowiedziane między nimi. Może ją poinformować o e-mai-lu od Emmy.

– Och, Emma jest wspaniała! Przeczytasz mi go...? Albo nie, może gdy przyjdę dziś po południu.

W porze wyznaczonej na jego lunch Primrose zostawiła na podgrzewanej tacy sałatkę, świeży chleb i kawę. Telefonuje jego matka, ale troska wyczuwalna w tym głosie jest inna. Przegrała sprawę, wydano wyrok na niekorzyść jej klienta. Nie zawraca mężowi głowy opowiadaniem o tym. Czuli się tylko w obowiązku okazać współczucie. Czemu miały to robić? Od wyroku na Paula (kto wie, czyjego) nie ma odwołania. W imieniu klienta kancelaria
złoży odwołanie.

Zgodnie ze stylem przyjętym w agencji, klienci od razu zwracają się po imieniu do pracowników, nawet starszych ranga, milcząco zakłada się bowiem, że klienta i profesjonalistę, który planuje promocję tego, co klient chce sprzedać, łączą raczej stosunki partnerskie niż wykalkulowana relacja najemnik-płatnik. Berenice: ona ma zwyczaj traktować klienta jak równego sobie, współtwórcę planowanej przez siebie kampanii, bez względu na to, jak bardzo oczywiste jest to, że klient ten nie ma takich zdolności. Ta „Berenice” jakoś daje do zrozumienia, że kampania na pewno jest sprawą wewnętrzną, ona zaś jest częścią rozwijającej się firmy klienta. Jej inteligentne uwagi na marginesie dotyczące gustu ludzi i ujmujące błyskawiczne posunięcia świadczące o jej własnym guście, jej krótkie pauzy, znaki umowne w melodii dialogu agencji z klientem, żeby zaznaczyć wrażliwe zrozumienie, gdy klient waha się pod wpływem jakiejś wątpliwości... Wszystko to, co przedtem przychodziło jej spontanicznie, teraz wydawało się warsztatem profesjonalistki. Mogło powstawać w czasie, gdy człowiek, do którego powinna kierować swoje prawdziwe odpowiedzi, był odcięty, nie tylko w sensie fizycznym, ale również od wszelkiego udziału w codziennej i conocnej egzystencji jej oraz ich dziecka. Dziecko: jakby chłopiec i życie, które sobą reprezentował, byli wszystkim w złożonym życiu kobiety i mężczyzny. Odpowiedzi ucięte w pół słowa. Jak to możliwe, że trzeba było choroby, żeby to zrobić? To wszystko, tylko choroby. Wcześniej, żartując lub fachowo rozwodząc się nad poważnymi sprawami i odwołując się do przenikliwości klientów, nie musiała myśleć o nim, kiedy wyjeżdżał na swoje dzikie obszary, gorąco spragniony tych wyjazdów. Teraz, w potrzebie, jakoś nie potrafiła wykrzesać z siebie zdolności do myślenia o nim w czasie, gdy przebywał w miejscu sporadycznych spotkań rodzinnych, uwięziony w jednym z pokoi. Nie potrafiła przywołać nawet jego głosu w słuchawce telefonu, tego, co mówił o miejscu swojego pobytu, o tym, kim jest. Nawet wspomnień o popołudniowych wizytach na tym innym pustkowiu rozciągającym się między nimi, w ogrodzie jego dzieciństwa, gdzie wskutek napięcia wywołanego jej

bolesną dla niego obecnością-nieobecnością czuła, że panuje nie nad swoją świadomością, ale czyjaś inna, w innym czasie.

Słyszy swój entuzjastyczny głos, przekonujący nastawionych sceptycznie klientów o sensowności jej planu działania, widzi swoje rozcapierzone palce błyskające karmazynowymi paznokciami, bransolety zsuwające się po podniesionych, całkiem ładnych przedramionach. U najbardziej opornych wzbudzała podziw widoczny w rozluźnieniu mięśni twarzy, mimo że nadal pozwalali swoim współpracownikom zadawać dociekliwe pytania. Na miejscu, między jedną a drugą konsultacją z klientami, dochodziło do zwyczajnego przekomarzania się i wymiany prywatnych opinii o ich dziwactwach – plotki agencyjne z koleżankami; teraz kilka z nich miało czarną skórę, zgodnie z prowadzoną we własnym interesie polityką agencji, świadcząca o dostosowaniu się do zasad akcji afirmatywnej (niektórzy klienci pochodzą z nowych firm, będących własnością czarnych), młodymi kobietami identycznymi pod względem stylu ubioru i fachowego żargonu, różniącymi się wyłącznie kolorem skóry i starannym ułożeniem włosów. Jedynie kilka wybranych wiedziało, co naprawdę stało się jej dość seksownemu mężczyźnie, który wiecznie wyjeżdżał gdzieś do buszu, żeby ratować planetę. Niestety jest rzeczą na swój sposób intymną, tak jak miłość. Inni ludzie bywają chorobliwie ciekawscy (sprawy miłosne) lub banalizują je cikliwym współczuciem (sprawy nieszczęścia).

Jej profesjonalne wcielenie, czyniące to wszystko dalej za nią. Potrzeba chwili. Wypiła szampana, który ktoś przyniósł, aby uczcić triumf w negocjacjach, dowcipkowała i śmiała się, dzieląc z innymi dumę. Często wychodziła na kolację ze szczególnie zaprzyjaźnionymi z nią koleżankami, zwykle białymi, jak w czasach poprzedzających akcję afirmatywną (koleżanki z tego naboru miały chyba ciekawsze rzeczy do roboty w czasie wolnym). Przy kolacji, jak zawsze, wszyscy „rozmawiali o sprawach zawodowych” i było rzeczą zupełnie zwyczajną, że ktoś przychodził bez pracującego w innej branży kochanka lub małżonka. Zaczęła przejawiać skłonność do unikania ich wspólnych przyjaciół – trudno było im to wszystko wytłumaczyć,

nie chciała nikogo urazić. Chcieli rozmawiać o Paulu, z niepokojem wypytywali, jak ona się naprawdę czuje, szukali u niej aprobaty dla swojego wsparcia z niejasnego powodu – czy dlatego, że jej mąż, a ich kochany przyjaciel prawdopodobnie jest skazany na śmierć, czy też z powodu niewyobraźalnego stanu odizolowania jej od niego, rozstania, gdy jeszcze gdzieś żył. Czy powinni do niego zadzwonić? Czy mogłaby zawieźć mu książki, filmy dokumentalne i komedie, które nagrali, oraz listy? Jeśli rzeczywiście dostarczyła wszystko, czego nie zapomnieli jej dać, nie otrzymali żadnej odpowiedzi z informacją, czy ich dary przyjaźni i troski o niego cokolwiek znaczą. Może był zbyt słaby, by odpowiedzieć, dano im jednak do zrozumienia, że choć wciąż niedotykalny – jego ciało promieniuje – wraca do zdrowia. Czy też chodziło o to, że stan niedostępności dla innych wytworzył w odizolowanym cechy idealnie dopełniające ów stan: tłumiące zdolność porozumiewania się.

Najgorsze było uznanie, że dziadkowie, w których towarzystwie mały Nickie spędzał czas z taką radością, chyba nie powinni mieć z nim żadnej styczności, chociaż lekarze nie byli pewni, czy bliskość osób, które miały kontakt z promieniowaniem, stanowi jakieś zagrożenie – Lyndsay bywała przecież w kancelarii, a Adrian kontaktował się z innymi członkami zarządu swojej firmy. Z pewnością jednak bez względu na to, jak daleko mógł się znajdować ów snop niewidzialnego światła, niezbliżanie się babci do wnuka było rozsądnym środkiem zapobiegawczym, ponieważ to ona brała do rąk rzeczy, które stykały się z naświetlonym ciałem: ubrania, pościel, naczynia noszące ślady warg i języka rekonwalescenta. Lyndsay i Adrian taktownie zostawiali małżonków samych w ogrodzie, jeśli przypadkiem byli w domu podczas wizyty Benni. Czuli jednak, że żona Paula i oni sami muszą mieć dla siebie osobiste znaczenie, to zaś powinno znaleźć wyraz nie tylko we wzajemnych telefonach. W kontaktach między Adrianem a Benni ryzyko niebezpieczeństwa wydawało się tak znikome – Paul był już wystarczająco silny, żeby kąpać się samemu, jego ojciec nie musiał się już więc narażać, pomagając mu w tym. Pod wpływem impulsu Adrian zadzwonił do Benni do jej agencji z pewną sugestią. Tak więc

sekretarka Berenice przełączyła jej teścia, pragnącego zapytać, co jego synowa sądzi o pomycie wspólnej kolacji – czy miałyby coś przeciwko temu? Nie przypominał oczywiście, że później wróci do domu, do dziecka. Najwyraźniej uznała, że nie ma w tym żadnego ryzyka. Świetnie, bardzo chętnie.

Adrian zapewne rozważył, dokąd powinni pójść. Był wrażliwym mężczyzną, który kochał i cenił płec piękną, i zawsze wybierał taką restaurację, gdzie kobieta będzie się czuła i wyglądała jak najlepiej, lokal w jej stylu, bez względu na osobliwość okazji ku temu. Kiedy Lyndsay tak bardzo zaczęła go pociągać, zakończył słabnący, przebrzmiały dla obu stron romans przy posiłku w ulubionym lokalu tamtej kobiety, a na swój pierwszy posiłek z Lyndsay wybrał restaurację, która – jak instynktownie wiedział – będzie scenerią odpowiednią do tego, by na dobre zajęła miejsce w jego życiu.

Ta młoda kobieta, wybranka jego syna.

Restauracja nie należała do tych kilku lokali, gdzie urządzali rodzinne uroczystości, ponieważ były znane rodzicom, i gdzie mogli liczyć na dobre potrawy i wina. Znajdowała się na przedmieściu, na którym biali urzędnicy państwowi, przeważnie Afrykanerzy, mieszkali kiedyś w porządnie utrzymanych domach skupionych wokół świątyn Kościoła apostołskiego oraz Holenderskiego Kościoła Reformowanego i które opuścili, gdy po upadku ich reżimu czarni uzyskali prawo zamieszkania w sąsiedztwie. Wtedy stało się ono miejscem, gdzie wszystko, co dotąd było potajemne – obcowanie czarnych z białymi, niekoniecznie działaczy politycznych, którzy uzyskali tę wolność – stało się jawne. Ludzie telewizji, teatru, reklamy, dziennikarze oraz wszyscy korzystający z pracy artystów i rzemieślników uczynili je modnym w swoim środowisku. Alternatywą dla elegancji sfer wielkiego biznesu, na jaką i tak nie byłoby ich stać. A oprócz barów z rapem i jazzem oraz restauracji, które geje i czarni darzyli podobnymi względami jak kluby, wegetarianie mogli znaleźć potrawy odpowiadające różnym odmianom ich wyznania, kochankowie różnych ras nie byli czymś egzotycznym, ograniczonym do przedstawicieli nowej czarnej klasy

wyższej oraz ich białych partnerek, będących stałymi klientami eleganckich enklaw starych bogatych białych. Było też coś, czego bogaci przedsiębiorcy nie uważali za część nocnego życia – otwarta do późnych godzin wieczornych księgarnia.

Tak, oczywiście – to jedna z restauracji, w której Berenice miała zwyczaj bywać z kumplami z agencji i czasem z Paulem. Dzielnica tętniła życiem, woń sklepów z ziołami, marihuany i pikantnych potraw spływała na ulice wraz z dźwiękami muzyki. Paul znajdował w pojemnikach z towarem z drugiej ręki cenne stare książki, poobdzierane i nadgryzione przez szczury, wczesne opisy terenu zasiedlonego w czasach przedkolonialnych, biegu rzek oraz informacje o klimacie w epoce przedindustrialnej.

Jego ojciec wybrał coś, co uznał za lokal w jej stylu. Berenice chciała odwzajemnić to pragnienie dogodzenia i zabawienia jej... oraz – tak było – pocieszyć zarówno ojca, jak i siebie, łamiąc się chlebem i pijąc wino w uznaniu tych niewidzialnych zobowiązań, jakie muszą istnieć, nieuświadomione, nierozpoznane w bożonarodzeniowych cmoknięciach w policzek między tym, który spłodził z komórek swojego ciała syna, a tą, która przyjmuje tego syna w swoim ciele. Obecność stojącej z boku śmierci tworzy sakrament subtelnych zależności. Rozmawiali z dość dużym ożywieniem. Uśmiechając się, Adrian wyznał, dlaczego dokonał takiego wyboru.

– Dziękuję ci za pretekst do wizyty tutaj! Nigdy wcześniej nie próbowałem jedzenia w Melville. Nie wiem, jak Lyn, ona mogła tutaj być, z jakimś młodym kolegą prawnikiem. Myślę, że tak czy inaczej spodobałoby się jej, musimy tu przyjść na jakiś posiłek. Jaka dobra i oryginalna kuchnia...

Interesował się etyką w reklamie, tym, jak branża spodziewa się zrekompensować sobie, na przykład, utratę nagłośnienia w mediach, odkąd rząd zakazał promocji piwa podczas wielkich imprez sportowych (To pewnie przyprawia szefów agencji reklamowych o ból głowy?). Nie bał się również poruszyć spraw, które z założenia wymagały uwzględnienia opinii – aktualnych – objętego kwarantanną rekonwalescenta. O jakiej szkole dla swojego, będącego

jeszcze dzieckiem, syna myśli wraz z mężem, bo on sam przypuszcza, że zmieniony kraj zarówno umożliwił normalne kształcenie, wykluczone w warunkach segregacji, gdy Paul był dzieckiem, jak i mimo wszystko postawił nowe kwestie wyboru. Bez segregacji, biali i czarni... Ale szkoła dla chłopców czy koedukacyjna?

Przyjemna serdeczność otaczających ją życzliwych ludzi w jej wieku, smaczne jedzenie i wino – był to żywioł obejmujący kogoś innego niż ona, w trakcie rozmowy nie unikała wymiany zdań z tym dobrze poinformowanym i uprzedzająco grzecznym mężczyzną siedzącym naprzeciwko (syn bardzo przypominał matkę, tego mężczyznę bez dalszego rozpoznania można było wziąć za niego samego i za wszystko, czym mogło być jego ukryte „ja”). Słyszała własny głos, zdolność wynikająca z uprawianej profesji. Jadła, nie rozróżniając smaków ani konsystencji potraw. Wino pobudziło czyjaś krew, nie jej. Ona, z natury bardzo towarzyska, głośno odpowiadała na pozdrowienia uniesionymi kieliszkami z innych stolików, przy których siedzieli akurat inni stali bywalcy lokalu, obleşona, znosiła w rozpacz, obecność obcych, czyli innych ludzi.

W rozmowie telefonicznej nazajutrz rano opowiadała synowi Adriana, jak przyjemnie spędziła czas.

Po co? Żeby nie martwił się o nią. Żeby nie zasmuciła go myśl, że ona potrafi się bawić bez niego? Może już na zawsze. Jej własne zachowanie przeważnie stanowi dla niej zagadkę. Czy kiedykolwiek uznała, że atmosfera w tamtym lokalu jest jej naturalnym żywiołem; musiała to jednak dać poznać po sobie, bo inaczej skąd taki mężczyzna jak jego ojciec – nie, Adrian, mężczyzna, który ujawnił swoją wrażliwość – wiedziałby, że do tej restauracji, poza anonimowością dawnych rodzinnych przyjęć, należy ją zabrać.

Paul. Często milczący, gdy byli tam, imprezując z jej kolegami? Słuchający z uwagą (czy też raczej z głową pełną myśli) o ogromie sprzeczności występujących na jego ukochanych, dzikich obszarach, które dopiero co opuścił. Niby z nią, a nieobecny Kosmiczne problemy. Kolejne „dlaczego”: dlaczego jej mąż musi się przejmować

problemem przetrwania całego cholernego świata, teraz zaś sam jest zagrożonym gatunkiem?

Gdy głos w telefonie milknie i słuchawka trafia na widelki, przerwane zostaje nie tylko połączenie telefoniczne za pośrednictwem lśniących przewodów biegnących w powietrzu, poprowadzonych w podziemnym kablu, nie tylko sygnał odbity od anten satelitów.

Jak tam dzisiaj? Wstałaś i zaraz... Odbiorę cię jutro o wpół do jedenastej, wystarczająco wcześnie, nie sądzisz, wtedy jest mały ruch. Lyndsay. Spotkanie przy okazji badań w laboratorium.

Jak słyszysz, kochanie, jestem wściekła... Jakiś cholerny klient narzekający, że w reklamie w telewizji przystojniak siedzący w nonszalanckiej pozie na masce supernowoczesnego sportowego samochodu za bardzo przypomina ciotę, późnym popołudniem muszę spotkać się z naszym obrażonym zleceniodawcą. Ale przyjdę jutro wczesnym ranem, przed pracą. Berenice/Benni. Zjawimy się w ogrodzie wraz z rannymi ptaszkami.

Na komórkę dzwoni nawet Derek, który wraca samochodem do miasta z rekonesansu w miejscu planowanej budowy reaktora jądrowego. Jego dotychczasowe wnioski są trochę zbyt skomplikowane, by je przedstawiać przez telefon podczas jazdy, sporządzi więc pobieżny raport i przekaże go Benni. Derek nie chce w żaden sposób ryzykować, naruszając zasady kwarantanny, tak naprawdę nie wierzy w nieszkodliwość spotkań na odległość na świeżym powietrzu na ziemi niczyjej. Nie ma sprawy, to zupełnie zrozumiałe, przecież ma dzieci. Telefon komórkowy nie czeka, aż Derek skończy się usprawiedliwiać, wcina się w fale eteru między jedną sylabą a drugą.

Po zniknięciu tych uwolnionych od cielesnej powłoki gości w pokoju pozostaje próżnia, a jednocześnie wypełniają go, przytłaczające pośród ziejącej pustki, odgłosy wydawane przez Paula: jego oddechy drżące palce jego zwieszonych dłoni oraz woń własnego

ciała, wydestylowana przez spędzone tutaj dni, nierozrzedzona kontaktem z innymi ciałami, z istotą innych. Lyndsay wchodzi do pokoju, żeby pościelić łóżko, i szybko wychodzi. Stary pies, którego rodzice uważają za w miarę dobrego kompana, przyszedł tylko raz, skrzywił rozszerzone nozdrza, obwąchując szpitalną torbę podręczną, którą odepchnął w dniu przybycia Paula, i znowu się od niej odwrócił.

Wyjdź i zabaw się.

Przez kilka pierwszych chwil powieki na przemian zaciskają się i unoszą, zanurzając się w tym łagodnym świetle słońca, a ptaki ćwierkają niczym telefony komórkowe. Nie należy jednak łączyć dzikich stworzeń, nawet na wpół udomowionych bywalców przedmieść żywiących się ogrodowymi kwiatami, larw, insektów gnieźdzących się w kompoście, z wezwaniami urządzeń technicznych. Dzwonek telefonu. W buszu, w lesie, pośród wydm namorzynów na bagnach, stworzenia nie zwracają na Ciebie uwagi. Mechanizmy, które regulują Twoje istnienie, nie mają nic wspólnego z ich mechanizmami, chyba że poluje się na nie, usuwa z ich miejsc we wszechświecie, tak z siedlisk powietrznych, jak i lądowych – przez wyrąb i wypalanie lasów, zanieczyszczenia przemysłowe, skażenie środowiska w mieście i na wsi. Wskutek opadów promieniotwórczych.

Nie ma związku między pokojem kwarantanny a tym miejscem.

Ogród. To zarówno teren usunięty poza nawias przez troski domu dorosłych, jak i miejsce na to, żeby być sobą, na przekór rozkazom. Praca domowa niedokończona, nie słysząc wyrzutu w swarliwych krzykach ibisów, gdy lądują na pobliskich drzewach i rozsadnikach.

Mógłby niemal wyciągnąć rękę i dotknąć ptaka. Powabny perłowy połysk ujawnił się mimochodem, gdy na nieefektywne, ciemne upierzenie padło słońce; nie zauważyłby tego wtedy, tak samo jak nie dostrzegłby błysku w kobiecym spojrzeniu – był na to zdecydowanie zbyt młody.

Kawałki drewna ze skrzynek na owoce, wyblagane od pana Farinhy w jego sklepie na rogu ulicy. Połyskujące gwoździe. Piła z szopy ogrodowej i młotek z szafki z narzędziami do napraw domowych, gdzie poniewierały się zapasowe żarówki i baterie do latarek (inni ojcowie są lepiej przygotowani do roli majsterkowiczów). Można je ułożyć tak jak wtedy, tworząc wzór na otwartej przestrzeni trawnika, błyszczące gwoździe oraz kółka ze starej

kosiarki do trawy (może ze starego wózka dziecięcego). Pojazd, który powstaje z ułożonych na trawie rzeczy jeżdżący niepewnie po krętych ogrodowych ścieżkach i sunący z klekotem przez podwórko (o betonowej wówczas powierzchni), gdzie w oddali Primrose nuci pod nosem kojąco monotonna piosenkę robotnicy.

Tak naprawdę za progiem i ścianami domu niczego nie da się poskromić. Wybrzuszące beton korzenie pieprzu peruwiańskiego (*Schinus molle*) trzeba było kiedyś wykopać i obciąć. Ten dziki obszar będący areną chłopięcych turniejów zapaśniczych i punkty zdobyte w grze w krykieta sumowane patykiem na piasku, grzeszny popęd płciowy w przyprawiającym o brak tchu eksperymencie, polegającym na wzajemnej masturbacji na zaniedbanym skrawku terenu za wysoką, przerośniętą kortaderią, otwierał się na coś, do czego nie można dotrzeć, leżąc w przydzielonym pokoju lub siedząc samemu z mnóstwem lektur w salonie, którego lepiej zbyt często nie odwiedzać. Tutaj promieniowanie w ciele gaśnie, jest tylko światło słońca na różowej skórze, oglądanej przez powieki zmrużone w chwili wytchnienia, nie we śnie. Przemierzone pieszko – ile miesięcy temu? – są dwie ery, ta przed odkryciem złośliwych komórek w gruczole oraz era popromienna, bagna St. Lucia; ten dziki obszar będzie można znowu przemierzać, poczynając od tego małego, sekwencja za sekwencją, wrażenie za wrażeniem, trop za tropem. Gdy masz się na baczności podczas marszu, tylko rejestrujesz, być może analizując chwilami to, co należy później zrozumieć. Materiały do lektury nie obejmowały raportu przekazanego przez Benni. Leżał u stóp łóżka, jakby był jakąś nieistotną, niezamówioną ulotką, drukiem reklamowym ze skrzynki pocztowej, który nie ma prawa oderwać myśli od tego, co – nie wiedzieć czemu – całkowicie skupia uwagę, czymkolwiek to jest. Przypuszczalnie od kwestii przeżycia. Będąc tutaj i wspinając się wzrokiem po ulubionych drzewach, poruszając się w euforycznym rytmie fikołków, prowadząc łowy na jaskrawozielonego zaskrońca pod odtrącanymi nogą liśćmi, mógł myśleć o przyjrzeniu się wnioskowi zebranym podczas czyjogoś spaceru po dzikim obszarze bagien i namorzynów, podmokłego królestwa życia.

Ale gdy rozbudził w sobie zapał, kiedy wrócił do miejsca swojej kwarantanny, aby zabrać tych kilka kartek papieru sumiennie napisanych na komputerze przez sekretarkę w instytucie, po chwili odłożył je – nie z powrotem na dywan u stóp łóżka, ale na stos kaset wideo.

Tylko tam, w ogrodzie, można było dotrzeć na dzikie obszary, uciec od niedokończonych prac domowych. Przekładając nogę nad parapetem okiennym, wylegując się na trawie przez wiele godzin niezapisanych patykiem na piasku. Za dnia.

Nocą zaś dwupokoleniowa rodzina, ojciec-matka-syn, wyłącza się z procesu rekonstrukcji ograniczonego przez kwarantannę.

Jednej nocy pies czekał nad ranem jak oszalały i Lyndsay wstała, żeby wyjść za nim, gdy rzucił się na podjazd przed domem, wypuszczony przez drzwi frontowe. W ciszy zatrzymanej między nocą a dniem szczekanie czworonoga odbiło się echem od twardego czarnego nieba. Reflektor, włączany przez wszystkie obiekty poruszające się w jego orbicie, ukazał zbliżającego się do drzwi mężczyznę, oświetlonego niczym jakąś sławą.

– Czego tu chcesz?! – krzyknęła.

Odpowiedź typowa dla żebraków, idiotyczna w ustach intruza z czymś na kształt broni w przyciśniętej do boku ręce. Pies zatańczył i skoczył, szczekając ogłuszająco, ale mężczyzna i tak musiał ją usłyszeć i dotarło do niej, jakby toczyli z krzykiem wściekłą rozmowę, że przeklina ją po afrykańsku i w najordynarniejszej skatologicznej angielszczyźnie; przez chwilę nie ruszał się z miejsca, po czym okręcił się gwałtownie na pięcie, żeby umknąć przed psem i na wpół przeleźć, na wpół przeskoczyć przez żelazną bramę ogrodu.

Syn w sypialni w głębi korytarza, podwójnie odizolowany po zażyciu zaordynowanego przez lekarza środka nasennego, oraz mąż wtulony zdrowym uchem w poduszkę i tylko z tym drugim, coraz gorzej słyszającym nad pościelą, nie obudzili się. Syn na odległym poziomie świadomości i mąż słyszający stłumione denerwujące

szczeknięcia podnieconego psa, na ogół sprowokowane złym snem czworonoga.

Rano, gdy powiedziała im obu o mężczyźnie przyłapanym na podjeździe, byli zdumieni, pełni wyrzutów w wyrazach swojej troski. „Ale czemu nie zawołałaś któregoś z nas!”. Dwóch mężczyzn w domu, dlaczego więc to kobieta idzie w środku nocy stawić czoło jakiemuś intruzowi! Adrian wie że ta kobieta, jego żona, przejawia odwagę we wszystkim, co robi, ale...

Moja droga mama, lekkomyślna, nie powiem, że głupia! Słowa jej syna.

W odpowiedzi na ich troskę i wyrzuty wykrzywiła usta w lekceważącym uśmiechu.

Adrian. Jego ojciec chyba nie uważał, że to wydarzenie uchybiło jego męskości. Nie musisz być macho – ten szybki osąd, którym Benni mierzy męskie reakcje, tak widoczne, jak opowiada, w środowisku, w którym pracuje – żeby pogodzić się z tym, że są sytuacje, którym to mężczyzna, choćby z powodu budowy ciała, jest w stanie zaradzić. Wydawało się, że Adrianowi chodzi tylko o to, by się upewnić, czy Lyndsay wyszła z tego bez żadnego szwanku, czy nie odczuła zagrożenia, nie doznała lęku, jakby pragnął w nabożnym skupieniu zbadać jej twarz ciała ducha, aby mieć pewność, że pięciominutowa nocna konfrontacja nie była traumatycznym przeżyciem, że w niczym jej nie zmieniła. Wiodąc własne dorosłe życie, nigdy nie myślisz, przecież to nie twoja sprawa, że twój ojciec nadal może darzyć jakąś kobietę, kobietę, która jest twoją matką, tego rodzaju uczuciem o zmysłowym zabarwieniu.

Jego ojciec, wynajawszy na stałe nocnego stróża utrzymującego łączność z firmą ochroniarsko-patrolową, złożył ten incydent, odpowiednio potraktowany, na karb obecnych warunków egzystencji.

Zależy czyjej. Incydent bez szkodliwych konsekwencji może mieć inne następstwo w odmiennych warunkach bytowych. Młody

mężczyzna nie przespałby oczywistych sygnałów zamieszania, gdyby nie był nie w pełni mężczyzną, nie w pełni sobą, odurzony lekami, które zażył, oraz promieniowaniem, które przez krwiobiegi zaciemniło mu umysł, do granic niemocy wykluczającej podjęcie jakiegokolwiek działania. Taki monolog wygłasza, leżąc w czterech ścianach kwarantanny, podczas gdy oni – inni, Benni/Berenice, Adrian, Lyndsay, przyjaciele, którzy korzystają z telefonu i poczty elektronicznej, żeby z bezpiecznej odległości dowiedzieć się, jak sobie radzisz – są jedynym źródłem informacji o ich codziennych sprawach. O ich krzątaniu.

Właśnie w ogrodzie liście palisandru dotykają tej samej bryzy, która muskała miękki policzek chłopca. Niewytępiony maleński ślimak, dostrzeżony kątem oka, przesuwa się ruchem robaczkowym po kamieniu. Właśnie tam jest duch mądrości, który przemienia samotność monologu w pewnego rodzaju dialog. Dialog pełen pytań; lub odpowiedzi nieposzukiwanych, niesłyszanych gdzie indziej. Nawet na dzikich obszarach, gdzie zapewne kiedyś zakłócały odczyty instrumentów pomiarowych. Ciało śniętej ryby unoszącej się na powierzchni wody? Lekarze twierdzą, że jest znaczna poprawa w tych innych odczytach. Promieniowanie wkrótce zniknie całkowicie i współczesny trędowaty może wrócić, żeby dotykać i być dotykany.

Przyjęty i przyjmujący.

Co to znaczy „wrócić”?

– Wkrótce będziesz w domu, dosyć się na nas napatrzyłeś!

Radość Lyndsay – za niego.

Berenice, z drugiego końca ziemi niczyjej:

– Może zatem wybralibyśmy się na małą wycieczkę? Sprawilibyśmy sobie przyjemność w jednym z luksusowych kurortów, które reprezentuje agencja, tych naprawdę wspaniałych rezerwatów dzikich zwierząt... Nie... pewnie masz dość pobytu poza domem, tylko my i Nickie w naszym własnym domu.

Co to znaczy: wrócić?

Człowiek, kobieta, pożądanie – osoba dramatu, Ben-
ni/Berenice. Wykreować ją tak, jak ojciec Paula wykreował matkę,
przypominając sobie życie Lyndsay po tym, jak naraziła je, krzycząc:
„Czego tu chcesz?!”.

Mężczyzna stojący nocą samotnie w ogrodzie uciekł. O tej porze
nocy Paul bywał w ogrodzie tylko wtedy, gdy pozwolono mu
świętować Nowy Rok w blasku fajerwerków.

Wrócić, żeby uzyskać przebaczenie, wynagrodzić malcowi
(jesteście podobni do siebie jak dwie krople wody) porzucenie przez
„Tatusia! Paula!”, chwile, gdy trzeba było odrywać dziecku palce od
prętów bramy. *Och, chłopiec jest taki mały, to zostanie zapomniane,
złożone w archiwum dzieciństwa.*

Byle tylko wrócić, być może zanim wkroczy jakiś psychiatra,
próbujący rozsypać problem żalostnej agresji wyrostka. Tylu jest
niedojrzałych, których rodzice nie potrafią pojąć, dlaczego te
spłodzone przez nich groźne stworzenia są takie, jakie są.

Czego tu chcesz? Czego chciałeś? Czym się zadowoliliś?

Minęło pięć lat: stan istnienia, w którym to pytanie – jeśli to
jest pytanie, bo przecież wybór już został dokonany – nie
pobrzmiwa w myślach. Tam nie było (nie ma) na nie miejsca. Ale to
niewyobrażalne, nieprawdopodobne pojęcie Całego Życia – stan
istnienia, który nie mógł/nie powinien nigdy się przytrafić – przynosi
wiedzę o tym, co nie było dopuszczane do świadomości. Ta emanacja
naświetla to, co utajone lub nieodkryte.

Wrócić – do sprzeczności, która z pewnością przebiła się przez
zażyłość tworzoną wspólnie przez mężczyznę i kobietę. Ta część
egzystencji, jaką jest seksualne spełnienie w ramach innych
warunków istnienia, istnienia w świecie, zaangażowanie religijne lub
polityczne, zaangażowanie wartości (nie da się ich zważyć w rocznej
premii), to, w zgodzie z czym żyjesz, nie jest bez znaczenia,
wyobrażenie o tym, co jest istotne dla każdego w celach pracy, poza
pospolitymi potrzebami, jakie zaspokajają – czy można to rozdzielić.
Ty idziesz swoją drogą, ja podążam swoją, choć wyraźnie jesteśmy

stworzeni dla siebie. Dobrana para. Dowodem tego osiągnięcia delikatne ciało dziecka, dwoje w jednym. Kto chce się pogodzić z tym, że to „osiągnięcie” może być owocem największego z możliwych stanu wyobcowania mężczyzny i kobiety będących „razem”: gwałtu.

Benni ma dobre intencje, gdy Berenice proponuje weekendowe przejście ze stanu, w którym Niedotykalny był pustelnikiem we własnym ciele – mój Boże, oczywiście, że próbowała na swój sposób zrozumieć, czym jest ów stan – i powrót: do domu. Żeby podjąć wątek tam, gdzie wszystko zostało przerwane. W dobrych intencjach. Po co więc dopuszczać do odpowiedzi na pytanie, nigdy dotychczas samemu sobie niestawiane, żeby odkryć takie znaczenie. Jej myśl o sprawieniu przyjemności była niczym, szybko przeminęła. Cały czas w tym życiu Paul nie ma nic, co pozwoli zrozumieć, jak i dlaczego przyszła ona do głowy osobie, która to zaproponowała. Dla Benni istnieje rozwiązanie Berenice kwestii jego powrotu po jedynej w swoim rodzaju nieobecności – kilkudniowy pobyt w buszu, zaproponowany przez jednego z klientów, którego promocją medialną zajmuje się agencja. Luksusowe apartamenty, basen i sauna, na pewno można spotkać turystów z Big Five podczas przejażdżek po rezerwacie, przewoźny bar na pokładzie otwartego pojazdu obserwacyjnego. Przecież uwielbia busz, żyjące w nim zwierzęta, ptaki, owady, zanim znowu trafi do domu, do ich życia we troje, niech wróci nawiązać kontakt z życiem zawodowym, które tak go pochłania. Dla Benni miejsce zaproponowane przez Berenice jest miniaturą tego dzikiego obszaru. W pewnym sensie ma rację. Miejsca te zapewniają tutejszym zwierzętom, które inaczej nie przetrwałyby ekspansji przemysłu i miasta, namiastkę życia w naturalnym środowisku; obszar zakupiony przez tak zwaną branżę wypoczynkową to ziemia, skąd również tutejsi ludzie zostali usunięci w wyniku podboju podczas dawnych wojen kolonialnych oraz późniejszej wymiany świadectw własności na papierowe pieniądze między pokoleniami zdobywców, którzy stali się prawodawcami. Wielu klientów korporacyjnych, którymi szczyli się agencja (zleceniodawcy o wyróżniającej się pozycji są w tej branży kategorią bardzo pożądaną), to mimo wszystko konsorcja ubiegające się o

prawo budowy kurortów tam, gdzie środowisko nie przetrwa tego rodzaju zagospodarowania. Było – i jest, nie wolno mu uznać, że teren, gdzie go nie ma, nie istnieje – konsorcjum wywierające nacisk na władze w sprawie projektu budowy hotelu, kasyna i przystani jachtowej w ramach zakrojonego na szeroką skalę rządowego planu osuszenia bagien, zapewniając o wyjątkowym potencjale turystycznym tej lokalizacji i gwarantując poprawę sytuacji gospodarczej regionu. Katastrofa w imię rozwoju.

Komu wierzy Berenice? Jemu, swojemu mężowi, czy klientowi? O czym jest przekonana, gdy on przyjeżdża z dzikich obszarów i opowiada o wyrębie niezastąpionego lasu pod kasyno, śniętych rybach unoszących się na powierzchni tego, co zostało z kanału, którego bieg odwrócono, żeby zasilać w wodę pięćdziesięciometrowy basen oraz replikę jednej z rzymskich fontann? O czyjej racji jest w głębi duszy przekonana? Jego czy klienta? A może to nie jest tak prymitywnie proste. I do tego w stylu macho, uznałaby Berenice. To coś... Przestań. Nie słuchaj tej odpowiedzi. Nie znając jej, nie możesz jednak naprawdę wrócić.

To ona jest tą osobą dramatu, która nie musi żywić żadnych przekonań.

Jak to nazwać? Okropnym brakiem? Rodzajem strasznej niewinności? Intelktualnym dziewictwem lub niedorozwojem? To określenie pasuje jak ulał.

Nie osądzaj. Przez pięć lat, jeśli za miarę zażyłości uznać jedynie zewnętrzny symbol małżeństwa, a nie romans, który poprzedzał sformalizowany związek, zawsze miałaś świadomość, że dzieląc to samo łóżko, nie dzielicie poglądów w podstawowej sprawie: przekonania, że istnieje się w świecie. Którego przekonania? Nie można mieć dwóch, zgodnie z którymi żyje się pobłaźliwie, bez świadomości własnego „ja”. Jednego dla klienta i jednego w domu. Jak mógł – on, człowiek którego pracą, racją istnienia jest ochrona życia – żyć tak długo z bliską osobą, z nią, która z powodzeniem współdziałała w jego unicestwianiu.

Życie w odosobnieniu, przez cały czas. Nawet wtedy, gdy był w ciele tej kobiety.

Później, w ogrodzie, z dala od ukrytej w tamtym pokoju emanacji: o co w tym wszystkim chodzi, jeśli nie o oczywistą sprzeczność celów branży reklamowej i ochrony środowiska? Dwa truizmy. No *to co?* Nie może tego nawet określić właściwym terminem. Niemożność pogodzenia stanowisk. Ponieważ świat, w odróżnieniu od jednostki, nie ma prawd absolutnych, istnieje mieszanka prawd, która uświęconym zwyczajem zgadza się z mieszaną gospodarką. A ta kobieta, Benni/Berenice. Jakim kutasem był jej wybraniec. Owszem, w stosunku do niej okazał się zwykłym kutasem.

Dziewiczość drzewa, na które się wspinali, roztaczająca się stamtąd perspektywa życia, szkicowe wyobrażenie domku na drzewie-gynaeceum jego sióstr – wszystko powszechnie przyjęte, grzeszny czyn za kortaderią, chwytanie motyli, upadek ustrzelonego z procy ptaka.

Ale to właśnie w rajskim Ogrodzie zdobycie Wiedzy doprowadziło do wygnania.

Rozwód? Rozwód po tym, jak przetrzymała po swojej stronie kwarantanny, jak pracowała, zarabiała na wspólne potrzeby, opiekowała się dzieckiem wołającym: „Tatusiu! Paul!”, uśmiechała się i opowiadała żartobliwe anegdoty, żeby w przestrzeni dzielącej ich wystawione na dwór krzesła stworzyć wrażenie normalności. Niepewnie drżące liście palisandru, drzewne języki, nie służą radą, a tymczasem z domu dobiega przeciągłe dzwonienie. Paul nie zwraca na nie uwagi, aż w końcu ktoś, kto telefonuje, odkłada słuchawkę. Ale dzwoniący z determinacją ponawia swoje próby. Taka wytrwałość wymaga jakiejś reakcji. Nadal – jak teraz, gdy podniósł się z trawy – niepewny, odległość od domu wydaje się powoli zmniejszać. Dzwoniący daje za wygraną... i zaczyna jeszcze raz, dla zachęty.

– No, leniwcze, jak tam? *Haai*, szefie! Nie odzywasz się! Tyle się dzieje. Wróciłem na pole walki z projektem budowy reaktora. Człowieku, wierz mi, idziemy jak burza! Ale co robią lekarze, trzymając cię w zamknięciu, dobrze się czujesz? Kiedy wracasz? Nie należy ci się już aby złagodzenie wyroku... A więc... dobrze, to wspaniale. Dowcipniś z siebie! Słuchaj, znasz najnowsze. .. Związek inżynierów jądrowych twierdzi, że nowy reaktor w Koebergu będzie „zupełnie nieszkodliwy”. „Zupełnie nieszkodliwy”. Pomyślałem sobie, bracie, że chciałbyś unieszkodliwić ich plany Ale jeśli minister wyda zgodę, pozwiemy go do sądu za tę „korzystną ocenę wpływu na środowisko”, o którą wystarali się jego chłopcy. Człowieku, mam ci do opowiedzenia masę rzeczy o tym, co się dzieje, codziennie coraz więcej grup wspierających przyłącza się do naszego protestu. Wielkie nazwiska. Zdumiewające. Obiecuję, że ten człowiek przewiezie się na tym reaktorze... kiedy więc mogę do ciebie przyjechać, nie wiem, gdzie w tej chwili jesteś...

– To nie jest dobry pomysł, chcę się z tobą zobaczyć, bracie, ale nie możemy się do siebie zbliżyć, siedzielibyśmy w ogrodzie niczym para przeszkadzających w domu dzieciaków. I nawet wtedy, kto wie. Po co miałbyś w ogóle się narażać, sam jestem doświadczalnym reaktorem jądrowym ze złożem usypanym.

Wybuch śmiechu w słuchawce.

– Dowcipniś z siebie! Ale to nonsens, nonsens. Może w weekend? Wrócę wtedy do miasta. Jaki to adres? Zjawię się po południu. Przywiozę trochę materiałów do opracowania. Jesteś nam potrzebny.

Kiedy przybywa, trzeba się cofać przed jego ramionami rozpostartymi do afrykańskiego uścisku, który wśród czarnych miał wyrażać wspólnie wywalczoną wolność i który wyszedł ze zwyczaju wskutek zahamowań białych, uważających, że to nie przystoi bogobojnym heteroseksualnym mężczyznom. (Thapelo w wieku siedemnastu lat był aktywistą Mkhonto w Sizwe, prowadził innego rodzaju walkę w buszu.)

Jak można decydować o tym, kim się jest dla innych? Primrose, jej deklaracja, że zostaje w pracy w warunkach ryzyka związanego z kwarantanną, gdy rodzice trędowatego – i on sam – powinni domagać się, by wierna służąca była traktowana jak wszyscy inni nieponoszący rodzicielskiej odpowiedzialności i odesłana w bezpieczne miejsce. Jaki próg ryzyka należy określić dla różnych osób? Co z tekturowymi talerzami z kroplami radioaktywnej śliny na łyżkach i widelcach, wyrzucanymi razem ze śmieciami na wysypiskach i zbieranymi przez dzieci z obozowisk czarnych dzikich lokatorów? Co znaczy „usunąć” w odniesieniu do jakiegokolwiek skażenia, uświadomienie nam, że nie tylko to, co jest wyrzucane do morza, wraca, żeby zanieczyścić inny – nieważne czyj – ład, to zadanie na całe życie.

Ten człowiek nie jest ledwie potrafiącą czytać i pisać kobietą – zna literaturę naukową przedmiotu, świadomość zdradliwej mocy promieniowania nie opuszcza go w codziennej pracy. Primrose nie wierzy w to, czego nie dostrzega, on poznaje to, co nie ukaże się ludzkim oczom, emanując z człowieka, który jest dla niego Czarnobylem, jego własnym doświadczalnym reaktorem jądrowym w Koebergu. Jak to możliwe, że tych dwoje nie odczuwa lęku? Zbyt łatwo – jako białemu wywodzącemu się z przeszłości opartej na zasadzie, że czarni są gorsi – sentymentalnie przypisać to temu, że oboje są czarni i lepsi. Skłonni zaryzykować w kontaktach z bliźnimi. Najprawdopodobniej w wypadku tego walczącego kiedyś o wolność kolegi badacza, jak i w wypadku tej niewykształconej kobiety, było tak, że zanim doświadczył wojennych niebezpieczeństw, zetknął się i przywykł do wielu zagrożeń już w dzieciństwie, w kwarantannie segregacji rasowej.

Thapelo przywiózł zimne piwo i chlebak wypchany dokumentami. Piwo w ogrodzie było dla Paula pierwszą porcją alkoholu po okresie nakazanej abstynencji. W towarzystwie kolegi z pracy warto podjąć ryzyko sprawdzenia reakcji organizmu. Słońce utonęło pod horyzontem krzewów i ogród był pogrążony w mroku, dopóki na tarasie nie rozbłysło światło i matka nie zawołała z

tkliwością w głosie, pobrzmiewającym echem znanej z dzieciństwa perswazji:

- Paul, może już pora, żebyś przyszedł do domu.

2.

Stany istnienia

W odpowiedzi na ich troskę i wyrzuty wykrzywiła usta w lekceważącym uśmiechu.

Jeśli ktoś musiał zginąć od kuli jakiegoś intruza, nie mógł to być jeden z jej ukochanych mężczyzn; dopiero teraz uzmysłowiła sobie, w związku z zagrożeniem innego rodzaju, nagłą potrzebę tej miłości. Nie mogła im powiedzieć. Właśnie dlatego wyszła sama intruzowi na spotkanie. Groźba, której można było się przeciwstawić. To jednak było jasne w całym zamieszaniu, jakie stało się ich udziałem – udziałem Paula, Adriana i Lyndsay. Do prób zrozumienia sytuacji można było podejść na różne sposoby; musi się do tego odnieść mniej subiektywnie, jako kobieta imieniem Lyndsay. Określić to. Meteor niepojętych zdarzeń spadł na jej syna – to on pała niewidzialnym światłem. Paul. Tego, co mu się przytrafiło, nie należało zarozumiale porównywać z tym, co przytrafiło się jego bliskim: ojcu (Adrianowi) i matce (Lyndsay). Jako rodzic masz ukryty gdzieś w sobie zestaw instrumentów na wypadek katastrofy, dysponujesz praktycznymi i psychologicznymi środkami niezbędnymi do radzenia sobie ze znanymi kryzysami egzystencjalnymi w życiu twoich dzieci: z niepowodzeniem w karierze zawodowej, samobójczą utratą pewności siebie, zgubnym romanssem, rozpadem małżeństwa, zmianą orientacji seksualnej, uzależnieniem od narkotyków, zadłużeniem. Oni cierpieli na syndrom rozpadu małżeństwa córki, która przyszła na świat zbyt szybko po narodzinach syna, ale dla niej okazało się to ożywym bodźcem, nie zaś traumą, ma teraz nowy kraj, nowy język i nowego mężczyznę spełniającego

jej oczywiste potrzeby. U progu kariery prawniczej Lyndsay (osoba dramatu) znała już całą listę tradycyjnych kryzysów, ale od wielu lat specjalizowała się w prawach człowieka i prawie konstytucyjnym. Okazało się, że Adrian najlepiej rozumie, jak Emma może wyplatać się z przedwczesnego małżeństwa, a Lyndsay – jako prawniczka – mogła po prostu umożliwić praktyczne rozwiązanie kontraktu. On zasugerował ich córce, że pod wpływem dumy i gniewu można zbyt pospiesznie zniszczyć to, co być może jest dla człowieka istotne. Bez względu na ich dalsze losy, kiedyś była przecież w tym mężczyźnie szalenie zakochana. „Daj sobie czas na to, żeby się upewnić, czy pod wpływem gwałtownej siły odrzucenia – decyzję w chwili zachłystnięcia się tą siłą jest sugestywne – nie utracisz kogoś, kogo naprawdę pragniesz, wartego pogodzenia się ze wszystkimi rozczarowaniami”. Tak więc dziewczyna, która zbyt szybko wyszła za mąż, nie wzięła szybkiego i cywilizowanego rozwodu, ale z niewyjaśnionych, zdaniem matki, powodów (czyż to dziecinne małżeństwo nie padło ofiarą pośpiechu, zanim jeszcze złożono podpisy w rejestrze) potrzebowała pół roku, by poddać się próbie, i tego nie żałowała, wyznając ojcu, że dobrze zrobiła: teraz odejdzie od męża ze spokojną pewnością, że ich małżeństwo nie jest niezbędne do życia ani jej, ani jemu. Ojciec nie protestował ani nie osądzał, najwyraźniej też mu to nie przeszkadzało. Proces dojrzewania decyzji dokonał się, uzasadniając każdy możliwy rezultat.

Takie zagrożenia pociągają za sobą rozpoznawalny tryb działania, emocjonalne korekty, nawet jeśli reagujące na nie jednostki czasem postępują w inny sposób. Co się przydarzyło – takie sformułowanie odwołuje się do przeszłości, to, co się dzieje tu i teraz, jest terażniejszością, która nie istnieje w uwzględnionym obszarze doświadczenia. Chyba tylko Japończycy by to zrozumieli, musieli przecież uczynić „zwykłą” („normalna” nie jest słowem, którym można się posłużyć w tym kontekście) obecność dzieci rodzących się, kilka pokoleń po wybuchu światła jaśniejszego niż blask tysiąca słońc, bez kończyn lub pewnych zdolności umysłowych.

Konfrontacja Paula z niewyobrażalnym stanem swojego „ja”. Lyndsay widzi to w jego twarzy, w niezdarności ciała, jakby czuł, że to ciało nie należy do niego, kiedy mówi, w doborze słów, tego, co można powiedzieć pośród całej gamy tematów niemożliwych do poruszenia. Jest świadoma tego stanu, gdy ścieli łóżko syna i gdy stoi przy turkoczącej cicho pralce, nie mogąc przestać obserwować jego skażonych ubrań wirujących w wodzie za okrągłym okienkiem, a gospoia czeka obok. Pranie to domena Primrose, bez względu na to, jak pogardliwie i ograniczająco może to zabrzmieć. Wizyta Lyndsay w łaźni od podwórza nie może być czymś zwyczajnym.

Niezliczone godziny, które Paul wydaje się spędzać w ogrodzie. Bez książki, bez radia. Wyobraźcie sobie: próba pozostawienia tego stanu w domu-więzieniu. Nikt nie mógłby tego sprawić. To coś więcej niż stan psychofizyczny jednostki, to uwolnienie się od historycznej powłoki jego życia, opisywanego od wczesnego dzieciństwa, przez wiek chłopięcy, aż do wieku męskiego – seksualności, inteligencji i intelektu. To stan istnienia poza szczegółowym scenariuszem jego życia.

Świadectwo takiego zjawiska Lyndsay widzi co rano, gdy wsuwa głowę przez uchylone drzwi, żeby go pozdrowić, wychodząc do kancelarii adwokackiej i gmachu prawa, gotowa zająć się kodeksowymi zakłóceniami w ludzkim życiu; wróciwszy, zastaje go w pogrążającym się w mroku ogrodzie lub leżącego w swojej celi – to zmusza do uznania, że są inne stany wyobcowanego istnienia.

Które teraz również stały się niewyobrażalne.

Piętnaście lat temu usiadła pewnego wieczoru w tym domu i rzekła:

– Muszę ci o czymś powiedzieć. Zakończyłam ten romans.

Ten sam znajomy pokój, w którym ich syn siedzi z nimi jak w czasach swojego dzieciństwa, te wieczory, słuchanie muzyki.

W tym właśnie pokoju Adrian dowiedział się, że dobiegł końca czteroletni romans Lyndsay z innym mężczyzną. Patrzył na nią tak, jak miał patrzeć tyle lat później, kiedy powiedziała mu, że jego syn ma raka tarczycy: błękitnymi, pociemniałymi z przejęcia oczami.

– Myślałem, że zamierzasz mi powiedzieć, że odchodzisz.

Poznała tego mężczyznę na jakiejś konferencji dzięki awansowi zawodowemu, który on, Adrian, uczynił możliwym. Dla niego miłość (człowiek w końcu to pojmował) jest zaangażowaniem w samo-realizację ukochanej osoby. Na początku ich wspólnego życia wziął na siebie wiele obowiązków związanych z edukacją dzieci i liczne rozterki spowodowane domowymi problemami, pozwalając jej kontynuować studia i rozwijać otwierającą drogę do palestry kontakty z właściwymi ludźmi, urzeczywistnić pragnienie specjalizowania się w prawach człowieka. Kiedy Lyndsay powierzono prowadzenie sprawy wzbudzającej jej namiętne zainteresowanie, Adrian szybko dostosował się nastrojem do atmosfery, jaką przyniosła do domu: świętowali jej sukces, a ona naświetlała sprawę laikowi, którym był, przy posiłku, a później w łóżku. Czasem mówiła w odpowiedzi na jego pytania – krytykę czyjegoś życia – „mógłbyś być bardzo dobrym prawnikiem”, ale on pragnął czegoś innego, nieurzeczywistnionego... Chciał zostać archeologiem. Grzebać w ziemi, jak mawiał, umniejszając powagę swojego powołania przemienionego w rozrywkę, przedmiot lektur w czasie wolnym i pretekst do sporadycznych wizyt na otwartych dla publiczności miejscach odkryć archeologicznych. Niewielu zostaje Leakeyami lub Tobiasami. Kiedyś musieli się zdecydować na małżeństwo i dzieci, i mogły minąć lata, zanim (jeśli w ogóle) grzebanie w ziemi zapewniłoby byt rodzinie, zamiast kształcić się w tym zawodzie, Adrian objął tymczasem niższe stanowisko z perspektywami awansu w firmie handlowej. I rzeczywiście, dzięki swojej inteligencji, jaką potrafił się posługiwać wyłącznie w stopniu maksymalnym nawet w dziedzinie, która go tak naprawdę nie interesowała, z powodzeniem

znalazł sobie niszę na średnim szczeblu zarządzania w firmie międzynarodowej.

Ona na tyle odznaczyła się w sprawach o naruszenie praw obywatelskich, żeby pracować ze znakomitościami w prawniczej profesji, Bizosem i Chaskalsonem, w tych ostatnich latach rządów dawnego reżimu, gdy śmiały opór prawny w stosunku do polityki władz przyciągał uwagę i poparcie świata, a światowe mocarstwa wahały się, czy poprzeć – przez antyrządowe sankcje – ruch wyzwolenczy i jego zbrojne działania. Zapraszano ją tu i ówdzie na konferencje poświęcone prawom obywatelskim i prawu konstytucyjnemu. Szczególnie to ostatnie stanowiło dziedzinę, w której zdobywała kwalifikacje na przyszłość: kraj miałby nową konstytucję, nowe prawa, na których straży trzeba będzie stać po zwycięstwie nad starym reżimem.

I właśnie na konferencji w jej rodzinnym kraju, rodzinnym mieście, będąc członkiem komitetu organizacyjnego powołanego przez stowarzyszenie adwokatów, spotkała tego człowieka po raz drugi. Był on Europejczykiem w takim znaczeniu, w jakim ona nie była Europejką – pochodząca z Europy, dość wybitna postać na konferencjach prawa międzynarodowego. Czując się gospodarzem na ojczystej ziemi, przestrzegała zasad konferencyjnego protokołu, zgodnie z którym jej miejscowi koledzy dzielili się obowiązkiem zabawiania gości. Zaprosiła tego, z którym przynajmniej znała się już wcześniej, na kolację w tym domu. Adrian w roli gospodarza. Mężczyzna nie był najwybitniejszą osobistością przy tym stole, gdzie teraz jedno z nakryć stanowią tekturowe talerze, i Lyndsay nie zapadło w pamięć, czy z mężem koleżanki, z którą po raz drugi konferował w sprawach zawodowych, wymienili coś więcej niż zdawkowe kolacyjne uwagi. Nie pamięta, czy w zwyczajowej łagodnej ocenie gości po tym, jak już wszyscy wyszli – fascynujący, nudny lub taki, o którym niewiele można było powiedzieć – pojawiła się wzmianka o nim. Ale to mogło być skutkiem stłumienia wspomnień.

Chyba w podziękowaniu za gościnę, zamiast posyłać kwiaty, mężczyzna zaproponował następnego dnia, żeby zrezygnowali z

poczęstunku przewidzianego w centrum konferencyjnym w przerwie na lunch i znaleźli coś smacznego do jedzenia gdzie indziej. Tête-à-tête było bardziej zabawne niż przy kolacyjnym stole. Może wtedy się nudził. Kilka dni później poszli na drinka, niezbędnego, jak przyznała, po długiej sesji obrad. Półgodzinna rozmowa w barze była kontynuacją sesyjnej dyskusji na temat zawilości prawnych – on wydawał się darzyć szczególnym szacunkiem jej znajomość ograniczeń prawa w tym zupełnie obcym dla niego kraju. Gdy konferencja dobiegła końca i nadszedł czas, żeby się rozstać, pożegnał się z nią ostatni. Tak więc zdecydowała ta chwila pośród tłumu; tam, nagle: muszą się znowu zobaczyć.

To chyba on załatwił, żeby zaproszono ją na seminarium organizowane w jego kraju. Wspólny śmiech, wspólne ironiczne uwagi o obradach, radosne wzajemne odkrycie, jak działa błyskotliwa intuicja, poczucie czegoś nowego w mężczyźnie-kobiecie, co czeka na dostrzeżenie, kuszące, kiwające palcem życie, zaprowadziły ich do pokoju w hotelu. Nie w tym, w którym umieszczono ich razem z kolegami po fachu, nie są przecież naiwnymi nastolatkami – ktoś mógłby zobaczyć, jak on wychodzi z jej lub ona z jego pokoju w porze otwierającej pole do jednej tylko interpretacji.

Jakie to musiało być dziewczęco ekscytujące, że jej, czterdziestokilkuletniej kobiecie, mającej kochającego męża, dorosłe dzieci i sukcesy zawodowe w profesji zdominowanej przez mężczyzn, nie mógł się oprzeć jakiś mężczyzna. Dojrzała do nowej wolności, której nie należało sobie odmawiać, z której trzeba było korzystać, jak skorzystała z innych szans, żeby zostać specjalistą od praw obywatelskich, adwokatem w kancelarii. Wyzwolona seksualnie, o tak. Nie jak ortodoksyjna feministka – Boże broń! – zaliczająca orgazmy jako gwarantowane konstytucją prawo, ale jak kobieta, która czytała Simone de Beauvoir i dla której nadszedł czas przypomnienia sobie jej koncepcji „przygodnych miłości”. Swoboda seksualna, owszem. Ale nie tylko to. Swoboda przeżycia czegoś nowego, połączenie tego przeżycia z innym sposobem myślenia, inną osobowością w ramach wspólnej działalności intelektualnej. Czyż nie

doświadczała już tego, tej wspólnoty intelektualnej, na co dzień, w całej obfitości z kolegami z pracy? Ale nie w tym szczególnym kontekście zażyłości innego rodzaju!

Przygoda wymaga, by nie zaburzano tego, co czyni to zdarzenie przygodnym. Żeby to zagwarantować (lub przynajmniej podjąć taką próbę) trzeba wymyślić całą strategię. Oznacza to przyjęcie kodeksu postępowania – stanowiącego dodatek, innego niż ten, którego zawsze przestrzegano w etyce osobistej i zawodowej. Zaproszenia na konferencje i seminaria w bezpiecznej odległości od granic kraju umożliwiały swobodne wykorzystywanie przypadku, chroniąc jednocześnie to, czego nie wolno było naruszyć: Adriana, fundament układu Adrian-Lyndsay-syn-i-córki. Nieistniejące konferencje nadawały się do tego celu równie dobrze jak te, które rzeczywiście się odbywały. Oczywiście obowiązuje humanistyczna zasada, że kłamstwa ratują – jeśli nie życie, to przynajmniej dobry życiowy ład. Ład ten nie był w żaden sposób materialnie upośledzony: na to przyjęty kodeks nie pozwala. Zarobki adwokata wystarczały na zapewnienie zwykłego wkładu w chesne w szkole i na uniwersytecie oraz w rodzinne wakacje, a jednocześnie pozwalały pokryć koszty przelotu w odległe miejsca, gdzie były planowane tylko pilne spotkania niezawodowe. Pragnienie zaspokojenia naglącej potrzeby tych spotkań było czymś spontanicznym i nieodparty, czymś, czego nie należało kwestionować, czymś zbyt silnym. Niczym jakiś popęd, który cechuje wszystkich ludzi i może pozostać na zawsze uśpiony, nieujawniony – atawizm, którego nie trzeba wywoływać, który uaktywnia się nagle i gwałtownie.

Przyjeżdżała do domu po tych niezwykłych nieobecnościach i wracała z zapalem do czekających ją w kancelarii zadań. („Jak udało się ostatnie spotkanie... z Japończykami, nieprawdaż...?” „Z Australijczykami. Och, nie dowiedziałam się niczego, czego jeszcze nie wiemy”.) Kochała się z Adrianem w konwencji świętowania jej obecności w domu. Bez względu na to, gdzie wcześniej była w innej postaci. Kochanie się z tym drugim udoskonaliło jej miłosne zabiegi i reakcje. Oto, jak niewytłumaczalne są stosunki międzyludzkie. Zrozumiała, że zaspokaja Adriana tak wprawnie, jak nigdy

przedtem. Z pewnością tego właśnie nabierają niektóre biegłe w swoim fachu prostytutki – teraz nazywa się je pracownicami branży erotycznej. Adrian zapewne przypisywał to głodowi uczuć spowodowanemu nieobecnością.

Mężczyzna zdołał załatwić sobie ponowne zaproszenie do jej kraju, jej miasta, żeby prowadzić na uniwersytecie zajęcia z międzynarodowej praktyki sądowej. Spotykali się popołudniami w motelach w pobliskich miasteczkach. Program jego wykładów nie był uciążliwy, mógł przecież spędzać wiele godzin w bibliotece na prywatnych badaniach nad prawem rzymsko-holenderskim jako atrybutem kolonializmu, które – jak wiadomo – prowadził jakby na miejscu. Jej sekretarka w kancelarii adwokackiej informowała telefonujących, że Lyndsay wyszła na spotkanie z klientem. On spotykał ją i jej męża w domach jej kolegów. Wyglądałoby dziwnie, gdyby nie został zaproszony, jak podczas poprzedniej wizyty, do ich domu; znowu więc przyszedł na kolację z innymi gośćmi. Na stole w salonie, w którym teraz na sofie leży stary pies, będący przynajmniej jakimś kompanem dla objętego kwarantanną syna, zauważył kilka tomów i wydawnictw albumowych z archeologii. A gospodarz spostrzegł jego przelotne zainteresowanie i podszedł, żeby porozmawiać. Miła wymiana zdań.

– Chciałby pan odwiedzić jedno z tych stanowisk? Mógłbym to dla pana załatwić... Och, kolebka ludzkości i całe to... – Powiniennem skorzystać, póki tu jestem... tak, muszę sprawdzić, czy zdołam znaleźć trochę czasu.

Oczywiście nie znalazł. Zwykle, nieuniknione kontakty towarzyskie są częścią przyjętego kodeksu, nikt nie posuwa się dalej.

Jednak z całą pewnością z tym, co było możliwe na Seszelach lub w Bonn, przy tak bliskim kontakcie nie można było sobie poradzić bez błędu, utraty czujności w spokoju ducha, jaki zapewniało znajome domowe otoczenie. Małżonkowie wychodzili do teatru. Żona wróciła wcześniej z motelu i zostawiła w sypialni rzucony na łóżko, otwarty koszyk ze słomy. Nie wiadomo, czy

Adriana zaniepokoiły jej popołudniowe nieobecności w kancelarii, ilekroć przypadkiem dzwonił do niej tam ostatnio, i zajrzał do koszyka (w poszukiwaniu jakiegoś adresu, może nazwiska? – zarówno to podejrzenie, jak i ten postępek dziwnie nieprawdopodobne), czy też plastikowe pudełko zawierające jej pessarium, dobrze mu znane jako element kobiecych akcesoriów z łazienkowej szafki, wypadło z koszyka. Lyndsay nigdy się tego nie dowie. Nie dowie się również, jak zdobył się na to, żeby je otworzyć i się przekonać, że jest puste. Krążek tkwił w jej pochwie.

Tak więc do przyjętego kodeksu postępowania należało dodać cały nowy paragraf i ustęp tegoż.

Gdy weszła do sypialni, szcztokując świeżo umyte rude włosy, które zawsze uważał za tak piękne, nic nie powiedział. Pojechali do teatru, Adrian sprawiał wrażenie zmęczonego i spokojnie oboje milczeli. Pogawędzili ze spotkanymi w foyer znajomymi. Podczas przedstawienia odwróciła się, żeby przekazać mu szeptem jakąś uwagę, i w ciemności ujrzała coś, co sprawiło, że jej wytracone nagłym lękiem z rytmu serce załomotało ostrzegawczo. Łza na skrzywionym udreku policzku Adriana zalśniła w świetle padającym ze sceny.

W następnych dniach i tygodniach gniew zmagął się z niedowierzaniem. I bólem. Nad bólem trzeba zapanować. Adrian zapytał, zażądał, żeby powiedziała, kim jest ten mężczyzna. Nikt znajomy... Zaczął zgadywać:

– Czy to...

– Nikt znajomy

Ten lub tamten spośród jej kolegów prawników, ich wspólnych przyjaciół...

– Nikt znajomy.

Nie oskarżał jej, ona się nie broniła. Nie postawił jej ultimatum: skończ z tym albo koniec z nami. On nie potrafił skończyć z nią, ona nie potrafiła skończyć z nim.

On zniósł swój ból, a ona jego ból i gniew.

Mężczyzna wrócił tam, skąd przyjechał. Lyndsay przez cztery lata jeździła na konferencje w całym świecie. Odnosiła w swojej profesji duże sukcesy. Skąd Adrian miał wiedzieć, kiedy konferencje się odbywały a kiedy ich nie było? Nie należał do prawniczego środowiska świadomego takich sposobności.

Tak wyglądają fakty.

Fakty są tworzywem świadectwa. I niczym więcej.

– Muszę ci o czymś powiedzieć. Zakończyłam ten romans.

– Myślałem, że zamierzasz mi powiedzieć, że odchodzisz.

Sprawa zamknięta.

Piętnaście przeżytych od tamtej pory lat. Przeżytych w serdecznej bliskości, bez której nie byli się w stanie obyć. Nigdy, jak to się często mówi, nie spojrziała na innego mężczyznę, i Adrian wiedział o tym. Jeśli chodzi o niego – Adrian jest łabędziem, który wiąże się na całe życie. Swoje przygodne miłości miewał przed ślubem, były przygodne w sposób odmienny, odmienny od tej prawdziwej, która miała dopiero nadejść. Tylko raz pojawiła się chęć, żeby przemówić, powiedzieć: „Wybacz mi”. Chwila nierozważnej słabości wywołanej przejściową destabilizacją w ich rodzinie, która szczególnie zbliżyła do siebie rodziców – jedna z dziewcząt w tarapatach, chłopak nigdy w nie nie popadł.

Chyba byłby zdumiony, że mu przypomina, konfrontuje go z tym. Oczy pociemniałyby mu z przejęcia, przywołując wspomnienie tamtego stwierdzenia: „Myślałem, że zamierzasz mi powiedzieć, że odchodzisz”.

I tak przeżyli piętnaście dobrych lat, jakby to, za co pragnęła przebaczenia, nigdy nie nastąpiło. Kto uczynił to możliwym? On, bo dysponował wewnętrzną siłą, żeby przyjąć świadectwo: to, że dowiodła niesłuszności jego przypuszczenia, było znakiem z góry, którego nie należało kwestionować – przynależeli do siebie. Teraz

nadchodzi wiek emerytalny, stanowiący element historycznej ciągłości ich życia.

Stan istnienia. Niewyobrażalny. Ponieważ ich syn, należący do tej historycznej ciągłości, ukazuje jej swój stan istnienia dniem i nocą. Oto powraca niezapisany, zawarty w księdze życia rozdział, w który z pewnością nie sposób było uwierzyć; nie mógł się jej przytrafić, bo nigdy nie przyszło jej na myśl, że jej syn będzie emanował niebezpieczeństwem z mrocznej otchłani swojego ciała. Zapomnij tak wiele, jakim dobrodziejstwem jest gadżet typu elektroniczny notatnik, gdy słucha się nużąco gadatliwych świadków, i jakże niezwykle jest to, że pamięci absolutnej o czterech wymazanych latach nie da się stłumić. Ileż punktów na mapie było miejscami schadzek, jak bezlitosną przebiegłość rodziły te spotkania... Widok, zapach i smak, gdy ciała dwojga nieznanomych zamknięte w klatce cykadowego, obcojęzycznego szmeru głosów rozpoznawały się pod tłumiącą warstwą podróźnej odzieży w lotniskowych halach przylotów. Na ileż hotelowych łóżek padali, zanim jeszcze zostały otwarte walizki i teczki. Telefony przy łóżkach, które odbierali pod fałszywymi nazwiskami; niezależna kobieta, przyjmująca w hotelowym rejestrze tożsamość nieistniejącej pani takiej-a-takiej. Wybiórcze unikanie restauracji, w których ktoś mógłby ją rozpoznać, w Londynie, w Sydney lub w odległej kryjówce na jakiejś wyspie. Adres wtajemniczonego przyjaciela mężczyzny kancelarii prawnej, na który były wysyłane listy z domu, podczas gdy w rzeczywistości odbiorca otrzymywał je w innym mieście, innym kraju. A wszystko to takie żywe w pamięci, obok wspomnień o wspólnych niespiesznych kąpielach (lubił intymność wzajemnego namydlenia i poznawania swoich ciał, kończącego się porządnym pieprzeniem). Jedna noc – w Warszawie, miał tam sprawę rozstrzygającą spór między Polakami a jego angielskimi klientami – oraz cudowny, wykradziony dzień zwiedzania w Krakowie; słyszała, jak używał miłosnych określeń w rozmowie telefonicznej ze swoją żoną, i z zazdrości okładała pięściami poduszkę, powrót do czasów gniewnego dzieciństwa. Odnosząca sukcesy czterdziestoletnia prawniczka, choć, jak zapewnił ją ten mężczyzna, posługując się

kolejnym zbiorem miłosnych określeń, miała piersi dwudziestolatki, a myśl o niej, gdy słyszał jej głos w słuchawce, wywoływała erekcję, stawał mu jak słup. Nie unikaj wspomnienia o tym, jak rozkoszował się jej przygotowującymi go do drugiej penetracji pieścizotami wprawna dłońią, na której palcu tkwiła ślubna obrączka. I czyż nie było nocy – w jakże okrutnej, niepohamowanej całości to wszystko powraca – gdy on spotkał się w hotelowym barze z przyjacielem rodziny, który nie mógł się dowiedzieć, że ona ukrywa się w apartamencie na piętrze, i gdy leżąc samotnie, nagle poczuła zimny strach, pewność, że coś złego stało się Adrianowi; jego obraz zamazany chorobą, nieszczęściem. Usiadła i zadzwoniła do domu. Było mało prawdopodobne, że będzie tam o tej porze. Odebrał jednak.

– Adrianie. – Bojaźliwe drżenie w jej głosie zapewne obudziło w nim pewność: wtedy właśnie była z tym mężczyzną. Minęło kilka miesięcy od czasu ostatniej z jej wymuszonych obowiązkami zawodowymi nieobecności (Lyndsay ma sprawę w Namibii, twoja matka wyjechała na tydzień do Toronto).

W tej dziwnej, spowodowanej odległością ciszy, w której wiadomości docierają jakby z grobu, rzekł:

– Nie dzwoń do mnie w taki sposób.

Rozplakała się (beczała jak głupia dziewczucha i czuła, że on wyczuwa zawarty w tym płaczu wstyd). Gdy już mogła mówić, odparła:

– Nie bądź taki.

Później zapytała go o syna i córki, o to, czy artykuły spożywcze, zamówione zawczasu u dostawców, docierają regularnie, a Adrian przekazał suche fakty i pożegnał się w chwili, kiedy zaczynała, w jakiś dziwny sposób, usprawiedliwiać – co? Siebie? Było jakieś usprawiedliwienie? Zauważyła – stwierdziła? (to miało być jej kredo?) – na początku tego, co wówczas wydawało się jedynie wspólnym życiem we dwoje: nie jestem kurą domową. Mogła sądzić, że pamiętał to nawiązanie do słów ulubionego poety, którego wiersze

z zapalem czytali, gdy spotkali się po raz pierwszy. Musiało gdzieś zostać jakieś oparcie na gruncie wzajemnej miłości.

Mężczyzna pozbył się przyjaciela rodziny i wrócił, żeby wziąć ją w ramiona w pokoju, w którym nie pobrzmiwały żadne echa, ani tego, co właśnie przypadkiem usłyszały jego ściany, ani żadnych innych namiętnych, gniewnych, serdecznych, oskarżycielskich, pojednawczych, triumfalnych i bezowocnych rozmów telefonicznych zasłyszanych w rozwiązłej służbie spółkowaniu jego lokatorów o fikcyjnych nazwiskach. Mężczyzna nie należał do ludzi dostrzegających ślady uczuć, których nie wzbudzili sami.

Neurony i synapsy są bezlitosne w swojej nieokiełznanej wybiórczości. Sekretarka musi na przykład przypominać nazwiska klientów, których sprawy były przedmiotem konsultacji zaledwie przed rokiem. Ale nic, nic nie jest niedostępne, niczego nie da się uniknąć, od niczego uciec w tej sprawie zamkniętej piętnaście lat temu. „Muszę ci o czymś powiedzieć”.

To wszystko jest tematem opowieści, wszystko, żaden szczegół nie zostanie przeoczony, tamto „ja” przedstawia je obecnemu. Pewnego razu. Stwierdziłaś, że jesteś w ciąży. Rzeczywiście stało się to w takim momencie – krótki wyjazd na jakieś seminarium i powrót do domu – że zapłodnić mógł ją mąż lub kochanek. Żadnej kobiecej paniki, żaden z mężczyzn nie dowiedział się (znowu) o ślepym oportunizmie progenitury. Chociaż w czasach purytańskiego reżimu aborcja była w jej kraju niezgodna z prawem, zaprzyjaźnione kobiety zawsze wiedziały o nielicznych, lecz kompetentnych (choć drogich) lekarzach, którzy wykonywali ten prosty zabieg, i wykonano go w samą porę. Miała doskonałą rodzinę, córki, wyjątkowego syna; nie czuła wcale pustki, żalu po utraconej szansie na urodzenie potomka, który powinien doprowadzić do rozstroju kobietę, gdy ta każe usunąć tę niewielką istotę, bez której można się przecież obyć, tak jak Paul musi się obyć bez organu swojego ciała, jednego z instrumentów kontrolujących procesy życiowe. Teraz jednak pojawia się jeszcze jeden fakt z tamtego czasu. Ktoś, czy to towarzyska czarna pielęgniarka, czy teraz już bezimienny lekarz, powiedział, że

niewielkie istoty były dwie. Dwa płody czekające, aż rozwiną się do ludzkiej postaci i przyjdą na świat. Cóż, bliźniaki pochodzą z linii żeńskiej, jej matka była bliźniaczką. W odstępie kilku dni weszli w nią obaj, ten mężczyzna i Adrian. Jeśli nie jest to biologicznie możliwe – proszę, nie nadawaj temu waloru prawdy naukowej, nie stawiaj w szeregu pomniejszych zjawisk, jak choćby zmarła owca Dolly – jest realne psychologicznie w sferze emocji współistniejących z przygodną miłością oraz z miłością, którą ta sfera jest uwarunkowana. W tym niewyobrażalnym stanie istnienia podwójne zapłodnienie jest realne.

To urojenie wyplute pod wpływem obrzydzenia. Obrzydzenia do siebie, wzbierającej żółci, która najwyraźniej nie wpłynęła na tę kobietę niebędącą kurą domową. Podróżującą bez przeszkód po świecie. Jakiś mężczyzna znalazł się pod jej wrażeniem na oficjalnym przyjęciu tak samo jak jej córka, w odpowiednim wieku, znalazła się pod wrażeniem Brazylijczyka sprowadzonego przez nią do domu w ramach zobowiązań towarzysko-zawodowych. Ta kobieta (obojętnie, kim była) uwolniła się od cielesnej powłoki historycznej ciągłości swojego życia. Czemu wtedy nie czuła odrazy, wstydu? Po cóż teraz, gdy miała na to piętnaście lat – to modelowy sposób na tuszowanie wyznań o przestępstwach politycznych – przemywać i leczyć rany.

– Muszę ci o czymś powiedzieć.

Och, nie o wszystkim, choć przecież to powinno być warunkiem rozgrzeszenia.

– Myślałem, że masz zamiar mi powiedzieć, że odchodzisz.

Prawda i pojednanie. Ten, kto popełnia wykroczenie, wobec możliwości – którą ma tylko ofiara – otwarcia drogi powrotu do historycznej ciągłości życia.

To efekt piętnastu lat. Dostrzeganie skutków tego czteroletniego stanu istnienia nie powinno być potrzebne. Ale to była amputacja, usunięcie – przyznaj to: cztery lata wycięte z czasu, gdy on, ukochany Adrian, był w średnim wieku. Tę stratę można

wymierzyć teraz, dopiero teraz, kiedy wkracza w tę drugą połowę życia bez celu, którym była dotąd praca. Nawet jeśli osiągnięcia w niej nie stanowiły jego powołania. Męskość Adriana, absolutna zdolność do kochania całym sobą – tak wyglądały miłosne zbliżenia z nim, niezwykle pieprzenie przy użyciu członka i języka – zubożone o cztery lata; miłość wraz z przeszkodami w postaci dzieci będących owocem tego zaangażowania, złożona egzystencja w ramach zagrożeń i na przekór niebezpieczeństwom tego świata. Cztery lata wyrzucone na śmietnik, na który trafiają skażone tekturowe talerze. I teraz ten mężczyzna z upokarzającymi problemami z prostatą i przytępionym słuchem, który wkrótce wycofa się z książkami ilustrującymi powołanie, z jakiego zrezygnował (kto wie, czy by je spełnił), do pokoju kwarantanny przekształconego w miejsce odosobnienia innego rodzaju, emerytury – nie może odzyskać tych czterech lat.

Mówi o planach na nowy etap życia, w który mają razem wkroczyć.

Wynagrodzić; wynagrodzić mu stan własnego „ja”, którego istnienia nie można zrozumieć – to dziecinny pomysł. Nie możesz rozgrzeszyć się z tego, co niepojęte. Nie pozostaje nic innego, jak skorzystać ze zgody na powrót do przerwanej ciągłości historycznej życia udzielonej przed piętnastu laty. Nie możesz wynagrodzić – sobie samej – tych czterech lat, których siebie samą pozbawiłaś. Co wydarzyło się w tym odejściu od wszystkiego, co było ci niezbędne? Najgorsze w starzeniu się – pięćdziesiąt dziewięć lat, gdy wyglądasz dziesięć lat młodziej – jest to, czego nie możesz poznać, czego nie możesz się dowiedzieć. Dlaczego? Jak? Czy kiedykolwiek mogłaś naruszyć integralność swojej osobowości – tak – dla jakiejś bezmyślnej, prymitywnej satysfakcji, jak dziecko połykające lizak.

Kogo tam niesie...

Brzęczenie domofonu przy bramie nie wymaga w odpowiedzi prośby o identyfikację próbującej wejść osoby. To Thapelo, trzyma palec na monitorze w teatralnym geście pozdrowienia. Wyciągają krzesła w ogrodzie; następstwem tylu czynności wyobrazonych w urojeniach małych chłopców są wyobrażone konsekwencje obecnej rzeczywistości. Zarekwirowany stół z nogami z bambusa ma pomieścić rozłożone dokumenty. Thapelo poświęca kilka tygodni na sprawdzenie działań planowanych lub podejmowanych za zamkniętymi drzwiami ministerstwa zasobów mineralnych i energetycznych oraz ministerstwa ochrony środowiska, wszystkich ministerialnych powiązań z przemysłem, z uczestniczącymi w przetargu konsorcjami. Tajne sprawy. Materiały uzupełniające do raportów z badań w terenie, które on i Derek prowadzili z Paulem, zanim... przydarzyło mu się to, cokolwiek to jest. I odkąd Paul przebywa za kratkami (to więzienne określenie wydaje się trafne) pojawiły się inne sprawy ekologiczne.

– *Yona ke yona!* Nic nie ogranicza sposobu, w jaki *khan'da* firmy budowlane! – Tych słów w ojczystym slangu (Thapelo mówi co najmniej czterema, pięcioma językami) Thapelo nie wypowiada z naciskiem, przynależą one do angielszczyzny, tak jak przynależy do niej jego swobodne posługiwanie się terminami naukowymi i fachowym żargonem. A może stanowią one element utożsamienia się z ulicznym życiem czarnych z okresu jego dzieciństwa, które – jak zapewnia – zdecydowało o tym, kim i czym jest. To życie nie jest czymś, z czego się wyzwolił: jest tym, czego nie zostawił i nie zostawi.

Tak więc uczony mówi jak *tsotsi*, gdy mu się podoba. Właśnie tak Paul mu dokucza – z uznaniem. Podsumowuje go kolokwializmem często stosowanym zarówno przez czarnych, jak i białych: Thapelo nikomu nie wciska kitu.

Przychodzi, żeby dostarczyć swojemu koledze informacji i żeby się go poradzić; obojętnie, czy rzeczywiście został oddelegowany w tym celu przez zatrudniającą ich instytucję, czy też sam sobie wyznaczył ten obowiązek. Jeśli chodzi o narażanie się w kontakcie z „Czarnobyłem” Paula, to charakter stosunków z biurokracją w wykonywanej przez nich pracy skłania go do celowego lekceważenia zarządzeń władz. Temat stanu zdrowia Paula nie wypływa w ich rozmowie, przerywają sobie nawzajem, śmieją się, ścisząją głosy, krzyczą z emfazą, ogród rozbrzmiewa echem dawnego ożywienia. Teraz staje się kwaterą, w której dwóch mężczyzn pochłania praca kształtująca ich zrozumienie świata oraz ich miejsce w nim jako pośredników z perspektywy, w jakiej wszyscy – chcąc nie chcąc, przyznając to lub nie – oddziałują jakoś na świat. Spryskajcie ten trawnik środkiem chwastobójczym, a dudek, delikatnie kłujący krawiecką igłą swojego dzioba w poszukiwaniu owadów w trawie, raczy się trucizną. Oto filozofia ochrony środowiska, z jaką Paul podchodzi do tych wielkich spraw w projekcie petycji ekologów do prezydenta państwa, którą pisze między dyskusjami w ogrodzie.

Eksperyment z reaktorem jądrowym ze złożem usypanym, eksperyment zupełnie nieszkodliwy, może zakończyć się katastrofą. Są również planowane lub realizowane prace nad wolniejszymi środkami rozwoju przyjmującego niszczącą postać.

– A więc teraz zaangażowali się w to Australijczycy. *Haai!* Pondoland, znany na całym świecie ośrodek endemizmu, wielki botaniczny skarb, *n'swebu*, człowieku! Rząd chce przeprowadzić tamtędy krajową płatną autostradę, przeciąć Pondoland, a teraz zamierza pozwolić jakiejś australijskiej firmie eksploatować wydmy, zniszczyć również wybrzeże. Transworld Company twierdzi, że oszacowała tamtejsze zasoby, szesnaście milionów ton rud metali ciężkich i osiem milionów ton ilmenitu. Jedne z największych piaskowych złóż mineralnych na świecie. *Yesus!* To tak rozumiemy przyciąganie inwestorów zagranicznych? Eksploatacja złóż na plażach, a jednocześnie minister turystyki twierdzi, że Niemcy, Japończycy i kto tam jeszcze do nas przylatuje, odegrają wielką rolę w naszej przyszłości gospodarczej...

Primrose zjawiała się z tacą z tekturowymi kubkami i sokiem owocowym zaleconym temu, którym się opiekuje z pewnej odległości, wyznaczonej przez jej pracodawców. Nie wie, gdzie położyć ten ładunek, i Thapelo milknie, zgarnia dokumenty ze stołu, śmiejąc się i żartując z nią w jej języku, który rozpoznał przy okazji wcześniejszego spotkania w ogrodzie, jednym z czterech lub pięciu, jakimi sam się posługuje.

– Aspektem, na którym powinniśmy skupić się w naszym ataku...

Thapelo reaguje na niedokończone zdanie kolegi machnięciem uzbrojonej w kubek ręki.

– Autostrada i eksploatacja wydm wiążą się... o tak, *né?* – Odkłada lichego kubek z trzaskiem na stół, wylewając część zawartości. Zamyka w jednej dłoni zaciśnięte w pięść palce drugiej.

Pobudzony tym teatralnym gestem jego kolega ponawia próbę.

– Aspektem, który powinniśmy spróbować wykorzystać, są ogromne skutki zagrożenia, jakie niesie ze sobą płatna autostrada, argumenty o niszczeniu piękna krajobrazu uważa się w tych sprawach za zbyt miękkie, za zwykły sentymentalny sprzeciw wobec postępu...

– Szefie, *lalela*, posłuchaj, myślę, że nie masz racji. Wiesz przecież, że turystyka jest po przemyśle wydobywczym największym źródłem naszych przychodów. Kto przyjedzie oglądać jakąś kopalnię i autostradę, które ma wszędzie tam, skąd pochodzi?

– Mówię o Amadiba, bracie, oni mieszkają na Dzikim Wybrzeżu, pięć społeczności lokalnych, czyż nie? Spróbujcie skupić się na nich. Z planu, który mi pokazałeś, wynika, że trasa autostrady przecina ludzkie domy i pola, przebiega prosto przez pola kukurydzy. Ich podstawowe pożywienie. A co z ich związkiem plemiennym? Trzeba sprawić, żeby podnieśli krzyk. Głośny krzyk. Pójść na całość. Zmobilizować tradycyjnych przywódców. Rząd musi ich usłyszeć. Wiesz, że z zasady musi od razu rozpatrywać wszystkie interpelacje w sprawie praw do rozdziału ziemi.

– Derek ma tam pojechać w przyszłym tygodniu.

– A krajowa agencja budowy dróg? Złożyli jakieś nowe oświadczenie? Podane przez nich dane o nowych miejscach pracy, które stworzy ich wspaniała autostrada... na krótko, czy to przyznają.

– Rząd musi *vuka!* Przejrzeć na oczy. Zrozumieć, na co pozwala w imię rozwoju. W całym kraju. A co z kosztem likwidacji elektrowni? Jeśli nawet, jak twierdzą, zasili tę ogromną sieć energetyczną, może działać tylko około czterdziestu lat...

Sfruwające z dachu domu ibisy skrzeczały drwiąco. Znany im kompan cicho podjął wątek:

– No i składowanie odpadów nuklearnych. Gdzie?

Thapelo przywiózł zdjęcia i mapy geodezyjne, których zapomniał ostatnim razem. Pochylali się nad nimi od czasu do czasu; stale skracał dystans, na który trzymał go kolega, ponownie wskazując trasę autostrady, stukając palcem wskazującym w jakiś jej element, zestaw dokumentów rozłożonych pośród przygotowanego naprędce poczęstunku, niedopitych kaw, tak jak w lesie, w buszu, na pustyni. W kieszeni trzymał – no, gdzie to było? – kawałek korzenia długości ołówka, pomarszczony i uschnięty palec namorzynu z podmokłych terenów, na których niedawno prowadzili razem badania, oraz połówkę przypominającej kawałek chińskiej porcelany skorupy jajka ptaka ginącego gatunku, z niebieskim wzorem na kremowej powierzchni. Thapelo miał nawyk zbierania w roztargnieniu takich drobnych śladów. Gdy tam siedział, ogród był enklawą, w której razem się zatrzymali, dzikim obszarem.

Thapelo wyszedł.

Skorupka jajka i korzeń leżały na stole.

Ile kolejnych dni upływa w ogrodzie?

Na drodze powrotnej z tego stanu istnienia czas nie jest jedynym wskaźnikiem. Nie wszystkie te znaki dodają otuchy. Nie obywa się bez nieporozumień. Owszem, lekarze usunęli raka całkowicie. Tylko że: „Po kilku miesiącach. ..” „Po ilu dokładnie?”. Wzruszenie ramion: „Po trzech do sześciu” „... .zrobimy tomografię. To wszystko. Profilaktyczne badanie kontrolne. To bardzo mało prawdopodobne, ale zdarza się w niektórych wypadkach, że wskazana jest jeszcze jedna radioterapia”.

Ale teraz, jeśli chodzi o promieniowanie? Nie jest już radioaktywny. Wszystko w porządku.

Jego ciało mówi mu, że jest inaczej.

Postanawia pozostać przez blisko tydzień w pewnym zawieszeniu – między schronieniem trędownego a nieszkodliwym dla ludzkiej owczarni powrotem. Jakże Benni mogłaby kwestionować tę ochronę jej i dziecka, jakże mogłaby posądzić Adriana i Lyndsay, że myślą, że jego obecność stała się ciężarem? W dodatku był jeszcze słaby. Trząsał się wskutek braku napięcia mięśniowego, beczynności spowodowanej zmęczeniem, uroku rzuconego w pościgu za wściekłymi komórkami grasującymi w jego ciele. Musiał znowu poznać to ciało; lekarze byli oczywiście świadomi tej konsekwencji i ustalono, że zanim Paul jeszcze raz w swoim życiu opuści dom rodzinny, zjawi się tam masażysta, by ożywić jego wyczerpane ciało. Przyjechał jakiś mężczyzna, mniej więcej w jego wieku, po trzydziestce – ani młody, ani bliski bariery lat czterdziestu. Paplał sympatycznie podczas pracy, najpierw nad ciałem Paula ułożonym na wznak; jego mocne dłonie były chłodne przy pierwszym kontakcie i ciepłe, gdy masował klatkę piersiową, mięśnie trójgłowe, bicepsy, okolice przepony, przeszedł do ud i łydek. Ciało plecami do góry. Masaż stóp, od tego zaczął; sens biblijnego obmywania nóg, świętej troski o najodleglejszą, najmniej emocjonalną część świadomości swojego ciała. Dopóki buty nie uwierają ani cierń nie kłuje bosej stopy, nikt nie dostrzega, co cię niesie. Czasem w łóżku stopa muska stopę partnera, ale ten zbieg okoliczności ma niewiele wspólnego z cielesnymi pieszczotami. „Całuje jej stopy” – obraźliwa

aluzja do czyjejś czolobitności. Sprawne i mocne dłonie biorące stopy Paula w obroty zwracają uwagę, niczym istnienie kogoś, kto wcześniej był ignorowany, na wyraźną ruchliwość wygiętego w hak śródstopia i klawiatury palców. A więc to właśnie ona decydowała, dawała o sobie znać – dzięki niej człowiek tańczył. Właśnie dzięki niej stopy wspinającego się na palisander chłopca chwytaly gałęzie. Wędrujące po łydkach i udach ręce przywiodły wspomnienie napięcia towarzyszącego wysiłkowi, wrażenie biegu przez gęste poszycie, balansowania na kamieniach. Później twarde i gładkie dłonie i palce powędrowały po bokach pośladków, w dół i w górę kręgosłupa, i po obu stronach tego pnia, i znowu w dół. Mężczyzna pochylił się, sięgając do muskularnie zarysowanej górnej części pleców i ramion – tego atrybutu męskości, drugorzędnego tylko w zestawieniu z tym, co widać w kroczu – jego oddech muskał nagi kark Paula. Masaż to ciężka praca, słysząc głębokie oddechy, omiatają ciało niczym łagodna bryza.

Ile czasu minęło, odkąd ożywił się w ten sposób przy Berenice/Benni. Rosnąc, napierając na twardą powierzchnię, na której leżał twarzą w dół. Coś, co opuściło go wraz z emanacjami tego niewidzialnego światła, zwykły, przysługujący z urodzenia fenomen, którego wyczekiwał, zastanawiając się, czy kiedyś znowu nastąpi po rannym przebudzeniu. Jego wzwiedziony członek, to drugie, przywrócone mu „ja” mężczyzny.

Pod wpływem dotyku męskich rąk.

Nigdy nie miałem stosunku seksualnego z doppelgänger, kopią samego siebie – właśnie tak postrzega ten akt. Nie odczuwa również homofobii. Każdy kieruje się własnymi seksualnymi skłonnościami; jego pociągają kobiety, a chociaż są wystarczające dowody, że on też je pociąga – umizgiwały się do niego nawet przyjaciółki żony – najwyraźniej nie był pociągający dla mężczyzn. Żadnych homoseksualnych propozycji, mimo że życie zawodowe wiedzie w bliskich kontaktach niemal wyłącznie z przedstawicielami własnej płci.

Dotąd tak pewny siebie.

Teraz ta pewność staje pod znakiem zapytania.

Traktujcie to, co czuje, jako ostatni przejaw alienacji w tym stanie istnienia.

Postanowiono, że opuści dom po raz drugi, aby wrócić do domu jako człowiek dorosły, w weekend, gdy wszyscy będą mogli go tam powitać i ulokować.

Decyzją jego matki i jego żony, reprezentujących oba te siedliska. On nie przywykł jeszcze na nowo do samodzielnego podejmowania praktycznych decyzji. Jeśli nawet emanujące zeń światło zgasło, to on sam, po tak długim okresie podporządkowania rozkazom innych, nie był przygotowany na kontakt ze światłem słonecznym, chyba że w ogrodzie. W ostatnich dniach przestrzegał czegoś, co od czasu odwiedzin Thapela było rodzajem ustalonego porządku – przez większość dnia pracował w tym miejscu rekreacji nad przywiezionymi przez kolegę materiałami.

Powrót do domu, domu oznaczającego pracę do wykonania. Projekt budowy reaktora jądrowego nie zostaje zarzucony ani ostatecznie zatwierdzony – w tej kwestii, w związku z międzynarodowym dochodzeniem w sprawie potencjału nuklearnego w pewnych krajach, zapada cisza. Ten zamiar budzi niepokój: badania muszą być kontynuowane, żeby wykorzystać ich wyniki do jak najenergiczniejszego protestu podtrzymującego zainteresowanie projektem.

Niewykluczone, że będzie gotów pojechać ze swoim zespołem na inne badania polowe, będące obecnie w fazie planowania. Gdy trafił na dzikie obszary, uwierzył w powściągliwe orzeczenie lekarzy, że jest zupełnie czysty, znowu należał do rodzaju ludzkiego, ssaków, ptaków, gadów, owadów, drzew i roślin bez śladu lub groźby promieniowania. Do tego projektu Thapelo zbierał coraz więcej dokumentów, w tym nagrania kwestionujących realność projektu opinii chemików, socjologów, wszystkich zainteresowanych ochroną środowiska, specjalistów oraz organizacji Zielonych, Save the Earth,

Earthlife, International Rivers Network – bojowników wszelkiej maści.

Sztuczne jezioro. Dziesięć sztucznych jezior.

Tym razem konwencjonalny pomysł na rozwój. Pamiętający czasy, gdy pierwsi rolnicy przetaczali kamienie do strumienia, żeby zatamować przepływ wody na swoje potrzeby. Nie eksperyment z reaktorem, zrodzony przez śmiertelnością alchemię atomów, która potrafi stworzyć kosmiczną fikcję w rzeczywistości. Tak jak się obiecuje, że elektrownia jądrowa oświetli rozległe obszary bezsilnej ciemności, tak się obiecuje, że wielkie sztuczne jeziora zgromadzą wodę, żeby ugasić pragnienie mieszkańców oraz branż, które ich zatrudniają i żywią.

Okavango jest śródlądową deltą w Botswanie, kraju pustyni i bagien uwięzionych pośrodku rozległych połaci Afryki Południowo-Zachodniej, Południowej i Południowo-Wschodniej. Tyle widać na mapach, ale przyroda nie uznaje granic. Nie może ich również uznawać ekologia. To, co dzieje się z deltą, wpływa na cały region. Jak dalece?

Arkusze map geodezyjnych, zarówno aktualnych, jak i opartych na przypuszczeniach, przedstawiają te zjawiska – w ich obecnej postaci.

Labirynt kanałów, zapamiętany podczas ślizgania się wąską łodzią korytarzami utworzonymi przez hipopotamy w przypominających drapacze chmur trzcinach, ich lokalne ulice i zaułki. W łodzi siedziała Berenice; nie to – z należnym uznaniem wyczuwalnym w bezceremonialnym śmiechu – nazywała „męskim zadaniem chłopaków z buszu”. Paul myślał wtedy, że dość dobrze orientuje się w tym ekosystemie, poczytał trochę, by odświeżyć tę wiedzę w sensie kolokwialnym i żeby mogli wspólnie zobaczyć część dzikich obszarów, które on miał szczęście poznać w całości. Tymczasem Berenice знаła tylko teren miasta. Ale nie, nie było albumu ze wspominkowymi zdjęciami z wakacji, tylko zestawienie zachodzących na siebie akt (trzeba było przygnieść kamieniem do stołu na

bambusowych nogach ich przerzucane przez ogrodową bryzę kartki). Zdał sobie sprawę, że jego wiedza jest zbyt abstrakcyjna, że ogranicza go profesjonalizm, że za mało wie o wzniosłości i subtelności, kosmicznej i elementarnej złożoności ekosystemu tak kompletnego jak ten. Okawango nie mogło zostać zaprojektowane na desce kreślarskiej przez człowieka. Jego spontanicznych i samorodnych przeobrażeń nie można było sobie wyobrazić. Nie jest to też dowód na poparcie teorii religijnego lub innego kreacjonistycznego mistycyzmu. Materia przewyższa pomysłowością wszelką zbiorowość umysłów i wierzeń. Jak powiedziałby Thapelo, *yona keyona* – to jest to! Zdolność wyobrażenia sobie tego kompleksu, a co dopiero stworzenia go, jako projektu międzynarodowego zespołu genialnych hydrologów jest równie ograniczona, co możliwość zrozumienia roli hipopotamów w utrzymaniu tego systemu bez częstych wizyt i umiejętności radzenia sobie z problemami nieskończonej całości. Współistniejąca z pustynią delta Okawango stanowi system elementów zawartych i utrzymywanych w dobrym stanie – przez samo to zjawisko w sposób niewiarygodny, niepojęty. Okawango jest pierwotnym elementem stworzenia, tak rozległym, że widać go z kosmosu. Tę ciekawą diagnozę trzeba potwierdzić – Paul musi opuścić ogród odosobnienia, by zadzwonić z domu do Thapela.

Jak zacząć rozumieć to, na co mamy tylko etykietę w komputerowym slangu: ekosystem? Jak ustalić, gdzie się zaczyna? Powiedzmy, że znanym punktem, w którym zdajemy sobie sprawę z jego ukształtowania się, jest miejsce, gdzie zbiegają się rzeki oraz strumienie i gdzie płynąc – spotykając się i zderzając – tworzą z niesionego piasku wyspy, krajobrazy w wodnym pejzażu. Gdzie rosną drzewa? Skąd pochodzą nasiona potrzebne, by wzeszły, czy woda niesie pozostałości korzeni, które znajdują nowy punkt oparcia? Czy dowiemy się, z jak daleka i skąd przyniosła je wędrująca woda, jeśli określimy gatunki drzew? I to jak wędrująca! Przynosi wyflukowany po drodze piasek, sól. Sześćset sześćdziesiąt ton rocznie! Dokładnie tyle! W tej delcie, której spokój zakłócają tylko krokodyle i hipopotamy, parowanie na obszarze graniczącym z pustynią jest niezmiernie silne. Rośnie zawartość soli – tak, problem skażenia.

Yebo! Ale nie. Materia sama sobie z nim radzi. Drzewa na wyspach wciągają wodę potrzebną, by rosły, do piasku. Z wodą jest zasysana sól. Piasek filtruje słonawe składniki, a czysta woda płynie z powrotem, podtrzymuje życie ryb i żywiących się nimi drapieżników: krokodyli, hipopotamów i orłów rybołówów.

– *Cho! Ayeaye!* Zapominasz o czymś, szefie. Nie czytałeś? W końcu sól uśmierca drzewa, nie ma nic, co powstrzymuje rozpad wyspy, która znika w wodzie...

– Owszem, ale tworzy się torf, a z następną porą deszczową znowu napływają rzeki...

– Z Angoli z...

– Piasek zatyka kanały w trzcinach i papirusie, znowu tworzą się wyspy, młode drzewka znowu wypuszczają pędy Kto wie, od jak dawna to się już dzieje?

– *Tuka!* A sól? Co się stało z solą?

– Właśnie, nie wiemy, jak ekosystem radzi sobie z solą. Ale sobie radzi. Przypuszczalnie sól przesącza się w dół podziemnymi kanałami, rozpuszczając się coraz bardziej, i zostaje rozproszona w dopuszczalnych stężeniach na innych obszarach regionu, który stanowi część całego ekosystemu południa kontynentu. Pijemy przecież tę wodę! Właśnie nad tym powinniśmy pracować, pokazując, jak w wypadku Okawango jest zachowywana równowaga między korzystnymi a niekorzystnymi wpływami...

– Myślisz, że to ich skłoni do zmiany decyzji o budowie tam.
Eish!

– Mój bracie, sztuczne jeziora oznaczają totalną negację. Cała ta wspaniale utrzymywana równowaga zostanie zniszczona. Na zawsze. Należy stworzyć odrębną kategorię. Niszczący rozwój, zamknięta korporacja katastrofy. Cierpimy na chroniczny brak wody, a nikt nie rozumie, że ten – fenomen, cud, coś znacznie więcej niż cud – ten wywiad materii otrzymuje, zawiera, przetwarza i wreszcie rozdziela wszystko, Bóg jeden wie, jak daleko, wiążąc się z

innymi ekosystemami. Jeśli nawet teraz wspólnie rozstrzygniemy, jak powstaje, jak działa, i tak nie ma końca, żadnych zapór, żyje. A jakieś pieprzone konsorcjum zamierza osuszyć, zatamować i uśmiercić to, co zostało nam dane. Żadnych układów.

Słowa człowieka, który przynajmniej sprawia wrażenie, że przestał być dotkniętym chorobą cieniem samego siebie spotykanym w ogrodzie i powrócił do zdrowia, kolega powitał nagłym wybuchem śmiechu.

– *Phambili!* W najwyższej formie! Nie pozwolimy, żeby uszło im to płazem. *Woza!*

Na zawsze.

Słuchawka odłożona na widełki, śmiech stłumiony. Poziom adrenaliny który – podobnie jak ten drugi sygnał od ciała – nie podnosił się od tak dawna, spada do normy. Gdy wciąż mówi (do Thapela lub do siebie), coś powoli włącza się do rozmowy jako trzeci, domagający się uwagi głos. Podąża za nim, do ogrodu. A później z powrotem do telefonu: czy aparat patrzy niemo, czy Paul spogląda nań niewidzącym wzrokiem. Ale słuchawka pozostaje na swoim miejscu. Są obszary refleksji, których nie należy z nikim dzielić, podają one w wątpliwość wspólne pewniki. Bez nich żaden z was nie mógłby dalej robić tego, co robi, być tym, kim jest.

Na zawsze.

To znaczy: jak długo. Jak stara jest widoczna z przestrzeni międzyplanetarnej delta, będąca częścią kosmosu? Mówią o tym astronauty. Czy będzie widać dziesięć sztucznych jezior, mających, jak wszystkie będące wytworem człowieka rysy i wyźłobienia na jej powierzchni, wielkość sadzawek.

Może jesteśmy świadkami katastrofy, ale nie żyjemy, nie możemy żyć wystarczająco długo (to znaczy przez całe stulecia), żeby dostrzec rozwiązanie, które nieskończenie pomysłowa Materia znalazła, znajduje, znajdzie, by odnowić swoją zasadę – życie: w

nowych formach, to, co w naszym mniemaniu odeszło na zawsze. Jakie znaczenie w skali tysiącleci ma to, że biały nosorożec wymiera, że wyginęły dinozaury, mastodonty, mamuty, podziwiamy jednak pomysłowość wytworzonego w procesie ewolucji projektu żyrafy, zwalistego słonia z błoną pławną między palcami, przywodzącą wspomnienie ryby. Pierwszej ryby, która wydostała się z owodniowego żywiołu.

Czym są więc tego rodzaju rzeczy, myślenie... Herezja. Jak może to przyjść do głowy człowiekowi, który zapytany: „A ty z jakiego rodu jesteś?”, odpowiada: „Kim jestem? Jestem ekologiem, jednym z nowych misjonarzy, którzy są tutaj nie po to, by ratować dusze, ale po to, by ratować ziemię”.

Ta herezja rodzi się w ogrodzie, tak jak w ogrodzie zrodziło się Zło – niczym te inne zrodzone tam myśli, które powinny odejść w zapomnienie – i przynależy do właśnie przemijającego stanu istnienia. Cokolwiek znaczy „na zawsze”, nieodwołalnie stracony czy wiecznie trwający, on sam w tym ogrodzie jest częścią tej zawilości, tej konieczności. Tak jak pajęczka sieć stanowi najdelikatniejszy przykład naturalnej struktury, a delta – najwspanialszy. Powrót do domu. Oto jego pętla na pajęczej nici prowadzącej do ekosystemu Okawango: Benni/Berenice, mały chłopiec, „Tatuś! Paul!”, wszystkie kanały oraz wyspy z ruchomych piasków sprzeczności. Warunek życia. Podobnie jak jeszcze jedna herezja, wiedza o tym, od czego przeszedł w ten stan istnienia i do czego – jeśli przeżyje – wróci, stosunki w tym domu nie były takie, jakie mógł mieć; zdaje sobie z tego sprawę. Wątpliwość naszła go w ogrodzie, gdzie zaczął pojmować sens życia jako chłopiec. Bioróżnorodność. „Szefie, pomysł” – słowo z fachowego żargonu. Ale twoje miejsce pozostaje w ramach tego terminu, „powiedz to, Szefie”: w sobotę jadę do domu. Zawsze stwierdzaj, że jaźń odwołuje się do, tak bezkrytycznej, terminologii dzikich obszarów, aby łagodzić okoliczności spokojną akceptacją. Nieuchronna łaska, zapał w pełnieniu funkcji mikrokosmosu w makrokosmicznym cudzie.

Wątpliwość jest tego częścią, słonawym składnikiem.

*

Stoją przy bramie. Berenice – Paul musi wprowadzić korektę: znowu Benni – oraz mały chłopiec, Nicholas, jego syn.

Gdy wylania się z rodzinnego domu, z Primrose pomagającą nieść część rzeczy – teczek z nagromadzonymi ostatnio dokumentami – niemieszczących się w walizce (torby szpitalnej Lyndsay dyskretnie się pozbyła), którą uparł się taszczyć Adrian, towarzyszą mu rodzice. Wołają do siebie z końców podjazdu, jakby jego długość wyznaczała czas separacji. Nawet Primrose, która nie wyzbyła się staroświeckiej służebności, poczucia poprawności z czasów niewolnictwa, pozwalającego na poufałość wobec białych dzieci, której nie należało okazywać dorosłym, krzyczała radośnie:

– Więc niedługo, jak zawsze, będziesz przyjeżdżał pobawić się ze mną, Nickie!

W tym zbliżaniu się do bramy nie może być jednak nic zwyczajnego. Tym razem to Benni, z uniesionymi rękami, kurczowo trzyma się prętów. Uśmiecha się przymilnie – jakby Paul potrzebował jakiegokolwiek zachęty! Nie sprawia jej zawodu, zdał sobie sprawę, że napina mięśnie, jego ruchy nabierają koordynacji.

Ona – Benni – widzi, jak idą ku niej długie nogi wyrzucane w kolanach na boki, widzi ręce machające jak wiosła, chwiejny krok dziecka dowiadującego się, że może biegać.

Kiedy dotarł do bramy, otwartej elektronicznym pilotem w dłoni Adriana, obejmujące go mocno ramiona żony przybliżyły mu jej oblicze: śmiała się, soczewki łez powiększały jej oczy. Wyciągnęła ręce ku głowie Paula i przywarła ustami do jego warg, spijając z nich coś, za czym tak długo tęskniła. Kiedy jednak Paul ukląkł przed swoim synem, malec patrzył na niego przez chwilę i odwrócił się, żeby się ukryć za mamą. Pozostało wspomnienie palców odrywanych od prętów tej bramy, krzyku: „Tatusiu! Paul!” zlekceważonego tak strasznie. Poruszony i zawstydzony, wywijał się i opierał matce nakłaniającej go do wystąpienia naprzód, z powrotem chował się za nią.

Rzecz zrozumiała: syn Paula razem z nim znosił ból tego stanu istnienia.

– Nie, zostaw go. Nic się nie stało. Daj mu czas.

3.

To się zdarza

Odroczoną katastrofę można czasem określić mianem sukcesu. Połowicznego. Nie ma innego wyjścia. Projekt budowy reaktora ze złożem usypanym nie został zarzucony przez przedsiębiorców, ale nie posunął się poza stwierdzenia, że jest wystarczająco bezpieczny, by nie szkodzić środowisku. Tymczasem zaś Paul doświadczył innego kontaktu z fenomenem tych małych, naturalnych formacji geologicznych – kamyków – powróciwszy do zwyczaju zabierania ich syna na plażę, żeby przez tydzień pływać i pluskać się w morzu. „Tatusiu! Paul!” Pokaz kolekcjonowania kolorów ziemi i morza w lśniących otoczkach wciąganych na brzeg przez strumienie przyboju.

Najstraszliwszym ze wszystkich zagrożeń wzbudzających zbiorowy lęk świata – poza terroryzmem, samobójczymi zamachami bombowymi, wprowadzaniem zabójczych wirusów, śmiertelnych substancji chemicznych w niewinnie wyglądających opakowaniach i chorobą wściekłych krów – pozostaje „potencjał nuklearny”. Jeszcze jedno słowo-wytrych: dysponowanie w kraju pewnymi pierwiastkami w formie zasobów naturalnych i zdolnością ich eksploatacji oraz oczyszczania na potrzeby własnych zbrojeń jądrowych albo na sprzedaż innym, budowa elektrowni jądrowej lub reaktora, testowanie broni jądrowej. Preludium do przepowiadanej zagłady w wyniku użycia tak zwanych broni masowego rażenia. Proponowany reaktor ze złożem usypanym z kulek przypominających nieszkodliwe kamyki, które mały chłopiec zabiera do domu z plaży, jest elementem w procesie produkcji broni, którego w żadnym razie nie można przeoczyć podczas inspekcji instalacji nuklearnych. Inspektorzy stają się czujni na całym świecie, jeśli nie blisko, to

daleko, ponieważ Stany Zjednoczone, to wpychające się wszędzie mocarstwo, nie popierają niezbędnych wysiłków na rzecz rozbrojenia, z wyjątkiem sytuacji, gdy odpowiada to ich pragnieniom. Thapelo wpada na weekend pod pretekstem sprawdzenia, jak czuje się Paul (w tygodniu znowu razem pracują w biurach ich organizacji), ale tak naprawdę po to, żeby przeanalizować nagłą zapowiedź rezygnacji z wykorzystania libijskiego potencjału nuklearnego przez Kadafiego.

– Powiedz wszystko. Wyznaj całą prawdę, bracie. *Haai*, człowieku!

Żaden z nich nie dostrzega w tej decyzji tajemnicy Śmieją się ze „zdumienia” w tytułach gazetowych doniesień. Kadafi albo chce uniknąć wizyt gości z Ameryki, takich jak ci, którzy odwiedzali Irak, albo chce zniesienia embargo, nałożonego po wysadzeniu w powietrze samolotu pasażerskiego przez jego rodaków, aby móc sprzedawać ropę. Albo jednego i drugiego.

Lecz śmiech kolegów maskuje być może ich nadzieję, że dano przykład – przyjęty nazbyt emocjonalnie przez świat – który może doprowadzić do zarzucenia projektu budowy reaktora ze względu na rację stanu lub przyjęcie wysokich standardów etycznych, a raczej trzymanie się ich, ponieważ Afryka Południowa jest sygnatariuszem traktatu o nierozprzestrzenianiu technologii jądrowej. Kontakty towarzyskie Bannermanów z kolegami Paula zawsze jakoś były słabe, w odróżnieniu od kontaktów z jej koleżankami, Berenice/Benni uważa więc wprowadzającą ożywienie wizytę tego kolegi za etap powrotu Paula do życia, a korzystając z okazji, zaprasza jego najwyraźniej wyjątkowego przyjaciela na wspólny lunch.

Ożywiony dialog trwa nadal. Inne wstrzymane, ale dalej opracowywane w sekrecie projekty to płatna autostrada krajowa przez Dzikie Wybrzeże, ów wielki botaniczny skarb endemizmu, ziemie uprawne rolników produkujących na własne potrzeby, koncesja na eksploatację wydm oraz... sztuczne jeziora. Dziesięć sztucznych jezior. Okawango. Tak jak astronauta uświadamiają sobie z przestrzeni międzyplanetarnej piękno tych kanałów na

kosmiczną skalę, tak ich istnienie jako światowego fenomenu ekologicznego stało się oczywiste dla międzynarodowych agencji ochrony środowiska z ich ziemskiej perspektywy. Po powrocie do pracy Paul został oddelegowany przez swój zespół do przeprowadzenia badań i przygotowania studium tego regionu. To on ma się spotkać z przedstawicielami Save the Earth oraz International Rivers Network, którzy przyjeżdżają zobaczyć na własne oczy to, co z ziemskiej perspektywy można uznać za miejsce zaplanowanego zniszczenia, istotne dla światowej ekologii.

Wrócił. Wrócił do domu – na dzikie obszary. Towarzysząc ludziom, którzy reprezentują zatroskany świat. Paul całkowicie odżył, obserwując, wysłuchując i zapamiętując ich reakcje w kontakcie ze wspaniałym kompleksem, którego nawet wyobraźnia i podświadomość nie mogły wyczarować, tak że pewność, że wróciwszy tu, znowu stanie się sobą, jaką miał w swoim wymuszonym radioterapią odosobnieniu, została umieszczona w szerszym kontekście, może nawet należało ją zapamiętać.

Jedna z tych kobiet, często uczonych, które wyglądają tak, jakby nigdy nie były dziećmi, i przez całe życie pozostają w nieokreślonym wieku, powiedziała na stronie, do niego raczej niż swoich koleżanek:

– Jak znikomy, poniżony, mały... Sama nie wiem... wyłączony.

Inny członek grupy, mężczyzna, mruknął w powoli gasnącym świetle wczesnego wieczoru:

– Czuje się tu człowiek...

Słyszac tę – najwyraźniej powszechną – reakcję na uczucie przytłoczenia wspaniałością rozciągającą się za horyzont, nie mówi: „Nie, musicie przetrwać życie tutaj: groźną jego część”. Jego geniusz zła – przedsiębiorstwo z Australii, prywatna i państwowa nieposkromiona pycha w Afryce.

– Jak leci?

Przyjaciółka w agencji po namyśle ryzykuje pytanie, przedstawivszy tekst do kampanii reklamujacej marke kosmetykow. Czy ma na mysl to, czy maz zupełnie wyzdrowial. Czy tez nieswiadomie pyta, czy znowu jest soba. Berenice rozumie to niepewne, podyktowane zyczliwoscia pytanie w tym drugim, niewyslowionym sensie.

Benni jest szczegolnie serdeczna i bardzo taktowna wobec Paula, tak jak nalezy, jak nalezaloby byc wobec kazdego, kto byl powaznie chory. A raczej wroutil po pewnych, jakichkolwiek grozacych smiercia przezyciach. Porwanie, katastrofa lotnicza, trzesienie ziemi. Jego przezycia nie byly zwykla choroba; Benni dowiaduje sie o niej coraz wiecej, dzien po dniu, noc po nocy, sama doswiadczajac niepokoju. Zblizenie milosne na pewno sytuuje sie najwyzej na skali aktu milosci, w zarliwie szczodrej odpowiedzi, ktora musi znalezc, wnikajac w jej ciało, Paul znowu odnajdzie siebie. Jak dawniej. Kochaja sie czesciej niz kiedykolwiek. Ona wstydzi sie nawet przyznac do glęboko ukrytego w jej swiadomosci strachu, ze to, czym w nia wnika, co pograza sie w jej mrocznym, zaciskajacym sie kanale, nadal niesie ze soba nieziemskie swiatlo. Negowanie tego strachu sprawia, ze to ona inicjuje pieszczoty, gdy on tego nie uczynil, kladac dlon na jego czlonku, gdy Paul jest juz na wpol uspiony Z czasem zenujacy strach znika pod maska intensywnej rozkoszy i nadziei, ze ta nie bedzie jednorazowym przezyciem. Ten mezczyzna, ktory do niej wroutil, kimkolwiek jest, za kazdym razem kocha sie – jak to sobie wytumaczyc? (najlepiej dac sobie z tym spokój) – jakby robil to ostatni raz w swoim zyciu. Musi wiec chyba byc szczesliwy? W swojej pracy rozsadnie okresla zadowolenie jednego lub innego rodzaju mianem szczescia, przekonujac ludzi, ze kupno nowego modelu samochodu czy biletow na rejs luksusowym statkiem oznacza spełnienie potrzeby bycia szczesliwym. On nigdy nie byl szczegolnie rozmowny nie mial instynktu stadnego, jak ona, nie przyciagal uwagi i towarzystwa; oczywiste w ich malzenstwie – i dobrze znane – przyciaganie sie przeciwiestw. Benni czuje jednak, ze to, co mu sie przytrafilo, zmusza go moze do odruchowego kontaktu z innymi,

nieograniczonego teraz do grona jego akolitów-kolegów z buszu w pustce dzikich obszarów, do ożywiania się w obecności rozmaitych przyjaciół i w inspirującym tłumie wesołych znajomych, których ona i wiele innych inteligentnych – a jakże! – osób lubi. Żeby doprowadzić do tego w naturalny z pozoru sposób, Benni uwzględnia jego dość uroczego kolegę z buszu, Thapelo (super!), który nie bał się nawet siedzieć z niedotykalnym w jego kwarantannie, w zaproszeniach na drinka, na przyjęcia i okolicznościowe kolacje z różnymi kolegami a nawet klientami, nieraz naprawdę ciekawymi ludźmi, zorientowanymi w dziedzinach, które z pewnością budziły powszechne zainteresowanie. Oczywiście prawdziwą serdeczność, poza sypialnią, Paul okazuje ich małemu synowi, czyta Nickiemu w chwilach, gdy ona pod jego nieobecność sadzała chłopca przed telewizorem, robi z nim różne rzeczy z kawałków skrzynek na owoce, przyłącza się do zabaw Nickiego z odwiedzającymi go kolegami. Obserwujące to, ich młode matki mówią jej, że ma szczęście, że ten człowiek jest wspaniałym ojcem. Między wyjazdami w teren Paul jeździ sam na badania krwi w laboratorium. Benni wybiera odpowiedni moment, żeby pytać, czy wszystko w porządku. Odpowiada, że lekarze twierdzą, że tak.

A ty? A ty?

Ale wtedy mimo woli – tak jak kiedyś mimowolnie ogarniał ją strach – ma dziwną świadomość, przychodzi jej na myśl, że on, osobiście, nie jest przed nią odpowiedziany. Przesądził o tym.

Nadchodzi Boże Narodzenie bez udziału rodziców. Wyjechali na odroczone wakacje. To oznacza, że nikt nie przypomina o kwarantannie. To Boże Narodzenie z oświetloną choinką i zachłannym podnieceniem dziecka, święta jak u wszystkich innych, nadchodzi Nowy Rok, ochrzczony szampanem z sieci sklepów z alkoholem, których reklamą zajmuje się Berenice, rok, którego doczekał się ojciec rodziny.

*

Adrian i Lyndsay nie pojechali na wycieczkę do skutych lodem krajów Północy, którą Adrian uważał za przykład nowych, śmiałych wypraw emerytalnych. Są w Meksyku. Ten wyjazd również jest dla nich nowością. Lyndsay była zachwycona tą zmianą kontynentów i stref klimatycznych. „Nie jestem wystarczająco odporna na ujemne temperatury!” Późna jesień i zima w Meksyku, zgodnie z planem ich podróży, były niczym zima na Wysokim Weldzie – zimna nocą i idealnie ciepła w środku dnia. Nie jest to wycieczka zorganizowana, ze stadem uczestników popędzanym przez przewodników, ale ponieważ żadne z nich nie zna hiszpańskiego, pierwszego dnia stwierdzili, że aby w pełni korzystać z tego, co się ogląda w zwiedzanych miejscach, dobrze byłoby mieć u boku anglojęzycznego tubylca, zamiast łązić z nosem w pisanych kiepską prozą przewodnikach. Recepcjonista w ich hotelu w stolicy odbył poufną, bo prowadzoną w języku hiszpańskim rozmowę z odźwiernym, wywołał coś na ekranie swojego komputera i wręczył im nazwisko i numer telefonu.

– To ktoś dla was. Bardzo doskonała.

Recepcjonista szukał wystarczająco sławnej osobistości, żeby o tym zaświadczyć, i wymyślił, może nawet przypomniał sobie, że Żona Prezydenta Ameryki kiedyś z nią podróżowała. Polecona przezeń przewodniczka okazała się niespodziewanie, ale szczęśliwie Skandynawką, której czysta angielszczyzna, z dokładnie wymawianymi przez telefon końcowymi „t” i „d”, szła w parze z równie dokładną znajomością historii – z perspektywy archeologicznej, architektonicznej, kulturalnej i politycznej – miejsc, do których trafiali i tego, co tam widzieli (co pokazywano im w pałacach i muzeach oraz cudownie delikatnej biżuterii i olbrzymich fragmentów budowli pochodzących z odległej przeszłości).

Zawiozła ich swoim volvo do Cuernavaki, w Guadalajarze zaprowadziła pod malowidła ścienne Rivery (na pocztówkach do każdej z córek oraz do syna Lyndsay napisała, jak będąc studentką na praktyce w jakiejś kancelarii prawnej, za pierwsze zarobione na weekendowym kelnerowaniu pieniądze kupiła tanią rycinę Rivery,

przedstawiającą dziewczynę z liliami). Wspinali się na wielkie piramidy bez większej zadyszki, zachwyconej ich kondycją Norweżce wyjaśnili, że to dzięki temu, że pochodzą z położonego na dużej wysokości miasta i przywykli do rozrzedzonego powietrza. Przewodniczka zachwycała się wszystkim, samym fenomenem życia, uśmiechając się bezustannie, obraz dobrego samopoczucia, widocznego z profilu nawet dla tego, kto akurat (zmieniali się) siedział obok niej podczas jazdy. Miała krągłe kształty, ale nie była typową w wypadku Skandynawek niebieskooką blondynką, wiatr porывał jej niedbale zaczesane, kręcone ciemne włosy lub przesuwiał ich kosmykami po różowym czole. Uśmiech na jej twarzy był najwidoczniej naturalną konsekwencją układu mięśni mimicznych, malował się na niej nawet wtedy, gdy nie mówiła lub nie słuchała. „Osoba radosna z natury, od urodzenia”, zauważyła Lyndsay, gdy oboje podsumowywali przeżycia drugiego dnia spędzonego ze swoim niespodziewanym odkryciem. „Kto wie”, odparł Adrian. I oczywiście archaiczny uśmiech zawodowca stanowi część pakietu usług przewodnika turystycznego. Tak czy inaczej, Norweżka była przyjemnym dodatkiem, niezmiernie przydatnym w ich wyprawie. Była nawet obyta w świecie i na tyle inteligentna, żeby pragnąć dowiedzieć się czegoś o ich kraju, jak się zmienił od upadku apartheidu (wymawiała to słowo poprawnie), ale z drugiej strony, Norwegowie, ludzie z zapewniających przyjemną stabilizację stron świata, zawsze przejawiali zainteresowanie i zatroskanie – zrodzone chyba z poczucia, że sprzyja im szczęście – losem krajów o wielkiej powierzchni i skali konfliktów. Podczas tych radosnych dni wyprawy obojgu zapewne przechodziło przez myśl pytanie, jak ta Skandynawka została przewodnikiem w Meksyku. Tylko dlatego, że znała biegle hiszpański i angielski? Nie chcieli jednak, by opowieść o sprawach osobistych jakiejś obcej osoby osłabiła ich fascynację specjalistyczną wiedzą medyczną przedstawicieli zaginionej cywilizacji, której świadectwem były instrumenty w szklanej gablocie, oraz pochodzącym z kolekcji z zamku Ambras, ogromnym rozłożonym pióropuszem ze szmaragdami, dorównującym wysokością mężczyźnie, który mógł sprawować wystarczająco wysoką godność, żeby go nosić. Te spektakle oglądali w miejscu, do którego

wracali i które oceniali najwyżej ze wszystkich innych, bardzo znanych lub znanych komuś tak pogodnie doświadczonemu jak ich Norweżka. Miejszem tym było Muzeum Antropologiczne w Mexico City, nazwane – jak się natychmiast okazało – nieodpowiednio, ukazywało bowiem dantejską wędrówkę nie tylko przez ewolucję człowieka, ale dalej, ku niezrównanym osiągnięciom w pewnych sztukach.

– I w nieposkromionej pysze – zauważył Adrian, gdy Lyndsay wzięła go za rękę na potwierdzenie tego, co wspólnie przeżywali.

Później szli wzdłuż rozwiniętego, szarozielonego pierzastego węża z Teotihuacanu. Widzieli tyle barw i faktur wyciosanych z liczących tysiące lat górskich formacji skalnych i przekształconych w kolejną, ludzką wersję Stworzenia.

– Jadeit? – domyślił się Adrian i został delikatnie poprawiony przez ich przewodniczkę:

– Polichromowany. To model oryginału naturalnej wielkości, zbyt wielkiego, żeby go przewieźć, szósty, ósmy wiek naszej ery.

Ich uwagę zwrócił umieszczony nad nimi olbrzymi orzeł Majów, niewątpliwie z kamienia, z groźnym dziobem rozwartym w głośnym krzyku. Gdy odpoczywali na hotelowym łóżku przed kolacją, Lyndsay miała powiedzieć, że to zestawienie olbrzymów, reliktyw wysoko rozwiniętej cywilizacji, którą zniszczył Cortes i jego następcy, dotarło nagle do jej świadomości wraz z jego słowami o „nieposkromionej pysze” jako wspomnienie samolotu wbijającego się w drugą z wież World Trade Center.

Przysypiający Adrian:

– Oczywiście, znając przeszłość, trochę lepiej rozumiemy terażniejszość.

Oczywiście: Adrian, niespełniony archeolog.

Oboje zatrzymali się dłużej przed ekranem kinowych rozmiarów, przedstawiającym zestawione ze sobą – nieodparte i dziwnie poruszające – oblicza, niczym ciąg powiększonych fotografii

paszportowych. Ale wizerunki te nie były statyczne, nieruchome. Każde było czaszką, która zmieniała się w następnym ujęciu, i w następnym, mrugnięcie kamery czasu, zmodyfikowana struktura kości, zatarte, wyprostowane skosy i uwypuklenia, ukazana powłoka cielesna, nabierający kształtu nos, zarysowujące się otwory oczu i ust, po czym – trzask-prask! – pospolita ludzka twarz staje się rozpoznawalna: azjatycka, rasy białej, negroidalna; okrągłe oczy zmarszczki nakątne, garbaty nos, sprawiający wrażenie miękkiego nos szeroki i płaski, miękkie wywinięte wargi, prosta cienka linia styku warg innego typu.

Od zdjęć paszportowych niejednego przodka do wspólnej konstrukcji kości.

– To rodzaj DNA! – powiedziała niezwykle głośno Lyndsay, mimo że w pobliżu byli inni turyści. I stali, nie będąc w stanie odejść od eksponatu, i po cichu, teraz z rozbawieniem, zwracali sobie uwagę: dzieci dzielące się tajemnicami; spójrz, jak bardzo ten przypomina iksa, ten zdecydowanie wskazuje, że w żyłach igreka płynie japońska krew. A my? Każde było potomkiem Europejczyków z Zachodu, którzy od dwóch lub trzech pokoleń mieszkali w Afryce – czy nie należało oczekiwać istnienia jakiejś mutacji, szczególnie rysów twarzy lub skóry, który wskazuje na pojawienie się rasy czarnej, nie tylko na ewolucyjny wpływ klimatu i składników odżywczych. I bliska obecność ludzi innych ras, Malajów, Hindusów, Chińczyków, przybywających do Afryki przez wiele pokoleń. Muszą na nowo przyjrzeć się wzajemnie swoim twarzom w pustce wspólnej łazienki, gdy on jest obnażony, świeżo opalony, a ona zmyła makijaż ze swojego prezentowanego publicznie oblicza. Przewodniczka stoi obok, z uśmiechem na ustach. Pewnie widziała to już wcześniej wiele razy; w niej, w każdym razie, niezbyt łatwo rozpoznać wyraźny typ skandynawski. Egzotyczne domieszki i naruszenia ciągłości w rodowodzie. Może za sprawą wikingów? Ich wypraw? Wielcy podróżnicy, może ich kontakty doprowadziły do wymieszania czystej krwi jej antenatów? W Lyndsay budzi to takie zainteresowanie, że Adrian, nie pamiętając, jak kiedyś ona mawiała, że byłby z niego dobry prawnik, zauważa:

- Byłabyś dobrym antropologiem.

Przynajmniej dla rozrywki, jak w wypadku jego zamiłowania do archeologii, ale oczywiście dla niej prawo było zarówno powołaniem, jak i rozrywką. Roześmiali się w obecności uśmiechniętej obserwatorki. Przy lunchu, który Adrian zaproponował w polecanej przez przewodniczkę chińskiej restauracji (niespodziewanym, jak ona sama, odkryciu w Meksyku), wyznała, wyciągając w charakterystyczny dla siebie sposób pulchną szyję i odchylając głowę na bok, że są największymi entuzjastami, jakich przez lata obwoziła po tym kraju. Komplement zawsze sprawia przyjemność. Wzniesli szklanki z chińskim piwem w uznaniu dla jej kompetencji i taktu.

Lyndsay czekała ważna sprawa, jedna z tych, które są owocem śledztwa państwowej agencji w sprawie korupcyjnych powiązań urzędników rządowych, wysoko postawionych polityków z tym, co zbiorowo jest nazywane przedsiębiorczością prywatną, obejmującego członków gabinetu – akcjonariuszy w firmach ich kuzynów i szwagrów. Musiała wrócić, żeby przygotować ze współnikami obronę jednego z oskarżonych. Adrian wolał nie pytać, czy naprawdę wierzy w niewinność tego człowieka, uważał jednak jej powrót za zupełnie zbędny w sytuacji, gdy tak bardzo cieszyła się ich nową wyprawą. Czemu choć raz jej współnicy nie mogli obyć się bez niej? Od czego ich ma, skoro jeden nie może zastąpić drugiego, który od lat pracował tak ciężko i bezinteresownie? Nie wspomniał o urlopie, który wykorzystwała na częste wyjazdy za granicę przed tylu laty Tak dawno temu.

To nie jest konferencja, ale sprawa o dużym moralnym znaczeniu dla władz ich kraju! On znajduje się na etapie przygotowawczym do swojej emerytury, czyż nie zdaje sobie sprawy z tego, że wreszcie jest wolny. Ma możliwość uprawiania, choć raz, swojego zajęcia ubocznego w kraju, w którym są stanowiska archeologiczne, jakich nie znajdzie się wśród jaskiń Makapanu i na wykopalisku, gdzie przez tysiące lat spoczywała Pani, zidentyfikowana później jako Pan – Pies. Norweżka, która, ich

zdaniem, wystarczająco do nich pasowała, może 2w ciągu następnych kilku tygodni zabrać go na inne stanowiska.

– A ty?

– Ja jestem dużą dziewczynką... I tak nie widywałbyś mnie zbyt często, sprawa ma być rozpoznawana w Bloemfontein.

Kochali się w noc przed jej wyjazdem. Gdy układali się do snu, pod wpływem trudnej do opanowania krótkotrwałej emocji – Bóg jeden wie, dlaczego, bo deklaracja ta była następstwem ich planów na czas emerytury – powiedziała:

– Przepuszczalnie będzie to moja ostatnia duża sprawa, przeciągnie się do końca, końca roku.

Tak, jakby podjęła decyzję. Meksykańska wyprawa była tylko pierwszą z tych, na które zamierzali wyruszyć, wolni oboje.

Z doświadczenia Berenice wyniesionego z publicznych kontaktów w branży reklamowej Benni wiedziała, że czarni przedsiębiorcy, udając się na koktajle, a nawet na kolacje, na ogół zostawiają żony w domu. Z pustych miejsc przy stole obok nich kelner uprzątał sztućce i kieliszki, a w domach prywatnych radzono sobie z tym, zbliżając do siebie nakrycia siedzących. Czarny przedsiębiorca przyprowadzał nieraz, nieoficjalnie, piękną przyjaciółkę, poznaną jedynie z imienia, ledwie przedstawianą, przy ogólnym założeniu, że przecież tak naprawdę jej tam nie ma.

Paul wrócił do buszu ze swoim zespołem zarówno czarnych, jak i białych kolegów. Wstrzymywałaś oddech lub o tym nie myślałaś – wydawało się, że wrócił do sił na tyle, by móc wyjeżdżać i mieszkać w prymitywnych warunkach. Innym czynnikiem były stosunki z ich dzieckiem. (Uwagi jej przyjaciółek: „jaki dobry ojciec”, „ty to masz szczęście”.) Takie normalne, rodzinne – po tym wszystkim, co się wydarzyło – nigdy nie przyznał, że mu ich brakowało wtedy, gdy siedzieli w oddaleniu, zwróceniu do siebie twarzami w ogrodzie kwarantanny, dzieciństwa, przeszłości tego dorosłego mężczyzny.

Czy nie byłoby to częścią zabiegu, który powinna wykonać, żeby przywrócić w nim życie, sprowadzić dzieci oraz żony tych Thapelów, nie tylko samych kumpli ekologów z buszu, dom do domu, w naturalnym wyrazie tego, czym jest zwyczajne życie teraz, gdy już nie porządkuje go kolor twojej skóry A więc nie tylko ożywić go; pozostało niezgłębione poczucie, że życie nie może już być takie, jak było. Ten nowy człowiek być może potrzebuje czegoś, co do dawnego (pozostawionego w ogrodzie), wystarczającego życia wniesie nowego rodzaju stosunki – przyciągania się przeciwnieństw Sobotnie *braai* na tarasie wydaje się okazją do tego, żeby zaprosić Dereka i Thapela, zaznaczając, że zaproszenie obejmuje ich żony i dzieci. Do grupy kilku zaproszonych przyjaciół z agencji zalicza się czarny fotograf ze swoją afroamerykańską dziewczyną oraz autorka tekstów reklamowych (biała lesbijka), która jest zaskoczona przybyciem Thapela i Dereka, kolegów seksownego pana domu.

– Nie sądzę, by powroty do tych rojących się dzieci sprawiały im przyjemność, skoro wolą mieszkać na zupełnym odludziu.

Berenice, jej koleżanka z agencji, zaśmiała się z niej znad sałatki, którą wspólnie przyrządzały.

– Nigdy nie zrozumiesz, co znaczy być hetero, moja kochana naiwniaczko. Znajdź w życiu cel!

Derek ma czwórkę dzieci, a Thapelo trójkę, która już chodzi, i niemowlę w wyściełanej torbie obwieszanej zabawkami. Żonie Dereka udaje się sprawiać wrażenie wyzywającej nastolatki, którą pewnie kiedyś była, ze sterczącymi pod T-shirtem sutkami, ale o jej prawdziwym wieku świadczy ułożenie papierosa w ustach. Żona Thapela, nauczycielka, to piękność, która mogłaby odgrywać rolę modelki w prowadzonych przez Berenice kampaniach promujących luksusowe samochody lub kosmetyki. Odrzucone do tyłu włosy kobiety Dereka, upodabiające ją do siostry jej dwunastoletniej córki, która potrzasa blond woalem w taki sam sposób, znajdują dopełnienie w splecionych w warkoczyki i ozdobionych koralikami na współczesną modłę włosach żony Thapela oraz jego sześciolatniej córki. Koledzy z buszu, z Paulem łącznie – Berenice nie przejawia

falszywej skromności, życie jest na to zbyt bezlitosne – najwyraźniej wybierają efektowne okazy zarówno na dzikich obszarach, jak i poza nimi.

Dzieci, dla których przygotowano pizze, urządzają wyścigi, patrzą z zawiścią na swoje zabawki, wymyślają zabawy, obejmują się serdecznie, po czym wszczynają dziki spór i trzeba je rozdzielić. W prywatnych szkołach, do których uczęszczają, można obecnie spotkać czarnych i białych uczniów oraz wszystkie odcienie i rysy charakterystyczne dla kolorowych – w tym spotkaniu nie ma dla nich nic zaskakującego.

Kto by pomyślał, że olśniewający intelektem Thapelo (super!) jest dobrym mężem i ojcem. Oto on, z łażącymi po nim małolatami. Dzieli się kopiastą zawartością talerza z młodszą córką, podtrzymuje ją na nóżkach, które dopiero od niedawna są w stanie utrzymać jej ciężar. Nicholas podchodzi, żeby uwiesić się na ramieniu siedzącego w kucki na trawie Paula, jakby w swoim starszeństwie rościł sobie pretensje do identycznych zachowań.

Trzej mężczyźni, którzy wiodą inne życie na dzikich obszarach, nie potrafią przebywać razem w jakimkolwiek towarzystwie, nie przywołując go w aluzjach, dyskusji, wzajemnych sporach, z których co jakiś czas wyprowadzali płomienne (retoryczne) pytanie lub sprzeciw wobec faktu, który inni zebrani wokół powinni znać, lecz oczywiście nie znają, a być może znać nie chcą. Ale towarzystwo zostało dobrane przez Berenice w roli Benni specjalnie po to, żeby oni – trochę – się poznali, i jej dobór się sprawdza, ponieważ przysłuchująca się dyskusji autorka tekstów reklamowych sprawia na przemian wrażenie sceptycznej i uprzedzająco zgodnej, a fotograf i Afroamerykanka wtrącają swoje uwagi lub zagłuszają głosy kolegów z buszu.

– Informacje, że te radioaktywne izotopy mogą wpaść w niepowołane ręce, sprawić, że czarne bomby staną się radioaktywne, publikuje się wyłącznie w naukowym żargonie, którego pani Jones oraz pan Tshabalala nie rozumieją i nie mają rozumieć...

Głos Afroamerykanki brzmi natarczywie, jak dzwonek u drzwi.

– Czym, u diabła... właśnie, u diabła... jest „czarna bomba”? Należę do tych głupków, którzy cię nie rozumieją.

Jej przyjaciel musi zaznaczyć, że on sam rozumie, jest fotografem w branży reklamowej, zna życie i jest Południowo-afrykańczykiem.

– Oni mówią o Koebergu, tej instalacji nuklearnej w Prowincji Przylądkowej.

– Nie... chodzi o pewne fakty, świadczące o zagrożeniach stwarzanych przez reaktor ze złożem usypanym, którego budowa figuruje na czołowym miejscu programu komisji planowania gospodarczego.

– Cóż, Derek, sporo można by jeszcze dodać do listy istniejących zagrożeń – Paul, ożywiony dyskusją na nieobcy mu, ponury temat, komicznie wykrzywiając usta, zwraca się na stronie do niewtajemniczonych.

– Spójrzcie na te dzieci. Nasze dzieci. Na wszystkie dzieci. Czy zdajecie sobie sprawę z tego zagrożenia, czy wiecie, co niemowlęta mogą wdychać od dnia narodzin? Mniejsza o wszystkie zabezpieczenia, które mają w nim zainstalować. „Jest zupełnie nieszkodliwy” – dodaje Thapelo w sposób zrozumiały tylko dla jego kumpli. – *Shaya-Shaya!*

Fotograf wyrzuca w górę otwarte dłonie.

– A my wszyscy mamy w to wierzyć.

– Na jakim etapie jest sprawa tego reaktora, to znaczy, czy już go budują?

Czy ta kobieta – Benni powiedziała Paulowi, że przyjaciółka fotografa pracuje w bankowości – nie czyta gazet podczas pobytu za granicą? Cóż, wszyscy śledzimy tylko to, co dotyczy nas osobiście, wyniki meczów piłki nożnej, a w jej wypadku może chodzi o notowania na giełdzie nowojorskiej i stopy procentowe; lepiej nie wykraczać

poza termin następnego badania krwi. Paul mówi jej to, co przynajmniej zostało podane do powszechnej wiadomości.

- Eskom, czyli rządowa komisja do spraw dostaw energii elektrycznej, otrzymała zezwolenie od Państwowego Urzędu Nadzoru Energetyki Jądrowej pod koniec ubiegłego roku. Wprawdzie decyzja ministra ochrony środowiska została zakwestionowana w sądzie przez Earthlife Africa oraz inne grupy, nawet przez Izbę Handlową Prowincji Przylądkowej - przedsiębiorców, którzy zwykle uwzględniają w swoich kalkulacjach inne rzeczy niż zagłada wskutek nieszczelności w instalacjach jądrowych...

- Nie mogę uwierzyć, że jest aż tak źle. Tak blisko.

- Autorka tekstów reklamowych przestała spożywać wegetariański posiłek przygotowywany dla niej przez Berenice, nie może jednak swobodnie odetchnąć dymem dolatującym od smażącego się nad ogniem mięsa.

- W tym właśnie problem, że nie potrafimy przekonać ludzi, żeby w to uwierzyli. Właśnie dlatego rząd pozwolił dyrektorom Eskomu wydać miliard na opracowanie technologii złoża usypanego.

Fotograf podnosi się z leżaka i przedstawia trzem zwyczajnie wyglądającym facetom, którzy zdają się cytować biblijnych proroków, następującą propozycję:

- Słuchajcie, interesowałoby mnie sfotografowanie tych miejsc, to znaczy miejsca, gdzie ma stać reaktor.

Dla poprawienia nastroju Benni woła znad rusztu, na którym przewraca kotlety:

- Nie sądzę, by ten temat można było sprzedać w ramach kampanii promocyjnej któremuś z naszych klientów, kochany Lemeko!

Skwierczenie smażącego się mięsa chyba zupełnie zagłusza jej słowa.

– Co jeszcze tam robicie? Bo Berenice twierdzi, że nie widuje Paula całymi tygodniami.

Derek ponownie napełnia swój kieliszek winem, unosząc brwi w niemym pytaniu, czy może skierowanym do każdego, kto przez przypadek patrzy, i mówi takim tonem, jakby się spowiadał:

– Cóż, jest jeszcze coś. Zawiązała się silna koalicja, walcząca, by nie dopuścić do przecięcia Pondolandu, obdarzonego niewiarygodnym bogactwem flory, nową autostradą. Byliście tam kiedyś? Opracowujemy wyniki uzupełniających badań naukowych, żeby zaprotestować na podstawie całkowicie niezbitych faktów. By uzyskać coś, co jest niepodważalne. Ta płatna autostrada nie ma prawa powstać, ze względu na życie roślin i ludzi... Tam mieszkają Amadiba.

Autorka tekstów reklamowych pamięta, że niedawno czytała jakiś interesujący artykuł o (co to było?) miejscu ujętym na liście światowego dziedzictwa, zwanym „kolebką ludzkości” – czy ta trójka zajmuje się czymś, co tego dotyczy?

Gospodarz przyjęcia rusza, żeby robić to, na czym powinien się skupić: doglądać pojemnika z węglami i zająć się obracaniem kawałków mięsa na ruszcie, ale zwleka z odejściem.

– Trzynaście grot dolomitowo-wapiennych. Skamieniałe pozostałości roślin, zwierząt i hominidów – pierwszych członków ludzkiego rodu. To nie jest nasza dziedzina. Umarłych nie da się w żaden sposób uratować. Ale powinnaś pojechać i poczuć te miejsca, najbliższe jest niedaleko, w Johannesburgu. Chciałbym zabrać tam Benni i Nickiego, mogłabyś pojechać z nami.

– Boję się nietoperzy. – Pod wpływem wina robiła się kokieteryjna, choć nie miała ochoty wzbudzać sympatii mężczyzn.

Australopithecus, odległy krewny – dowiedział się o nim w dzieciństwie od ojca. *Paranthropus*, niebędący przodkiem ludzi zebranych tutaj w tę sobotę, ale wynikiem ewolucyjnego przystosowania (pamiętał to jak litanie), który przetrwał w Afryce przez milion lat. I okres plejstocenu, obejmujący czas między epoką

lodowcową a pojawieniem się ludzi. Pasja Adriana, paleontologa, antropologa i archeologa amatora. Posiadającego tak rozległą wiedzę. Syn, który słuchał jego opowieści, stał się równie zaangażowany, tyle że na innym polu. Zawodowo, w pracę na całe życie, a nie w emerytalne hobby.

Spotkanie przeciągnęło się do wczesnego zmierzchu. Zachód słońca był spektakularny, zdaniem Dereka za sprawą zanieczyszczeń w powietrzu – wszyscy się śmiali, że swoją uwagą zepsuł cały efekt, lepiej nie zdawać sobie sprawy z przyczyn pewnych zjawisk.

– Tak czy inaczej, nie możecie już nic więcej sprzedawać, posługując się starym dobrym obrazem kowboja odjeżdżającego w kierunku zachodzącego słońca. Dajcie sobie z tym spokój! – Benni odezwała się do swoich kolegów z radosnym szyderstwem w głosie. Impreza się udała. Nickie rozbrykał się zupełnie, mały król, który znalazł kompanów. Gdy przyjaciele wyszli, sprzątała razem z Pauliem. Wypatrywała u niego oznak zmęczenia, które w jej mniemaniu, nie dlatego, że zasugerował to któryś z lekarzy, podałyby w wątpliwość jego wyzdrowienie, jego powrót. Ale Paul wyglądał świetnie; leżąc w łóżku, czuła w jego włosach swojski zapach dymu uczyty, której należycie doglądał.

Czy ta propozycja wyszła od Benni czy od Berenice?

Te dwie postaci dramatu coraz bardziej zlewały się w życiu, które teraz prowadzili. Z pewnością nastąpiło to kilka miesięcy po tamtej sobocie, miesięcy, w których w reakcji na jej próbne zaproszenie nadchodziły tego samego rodzaju niezobowiązujące propozycje spotkań. Koledzy z agencji poprosili, żeby przyprowadziła ze sobą tych miłych kolegów Paula, Thapela i Dereka-jak-mu-tam, razem z dziećmi, a w rewanżu Thapelo i jego żona Thandike włączyli autorkę tekstów reklamowych (której tym razem towarzyszyła partnerka), fotografa oraz jego przyjaciółkę z Ameryki do grona gości rodzinnego przyjęcia urodzinowego.

– Sprawmy sobie dziecko.

Następne dziecko. Nie powiedziała mu, że to również decyzja zawodowa – była gotowa stracić część swojej energii, swojego entuzjazmu w dążeniu do coraz to nowych sukcesów, zgodzić się na niekorzystną deformację swojego ciała i zaakceptować oszłamiające i pochłaniające uczucia towarzyszące serdecznej opiece nad niemowlęciem.

– To dobre dla Nickiego. Jedynek... jest osamotniony.

Bóg świadkiem, że Paul pewnie doświadczył wystarczająco dużo samotności w te dni i tygodnie, o których trzeba zapomnieć, jakoś je wynagrodzić (o tym jak, miała zdecydować ona), by rozumieć samotność, choć ich rodzaje były nieporównywalne... Dzieciństwo to inny stan.

Nic nie powiedział, patrzył jej w oczy przez kilka mijających z wolna chwil; wyszarpnął dłoń z uścisku, a jego głowa poruszyła się w sposób, który mógł wyrażać zarówno wątpliwość, jak i aprobatę.

Tak czy inaczej.

– Niczego nie stosuję... niczego nie zażywam.

Natura miała zdecydować.

Berenice nie wątpiła w swoją płodność. Przez większość swojego życia seksualnego skupiała się na unikaniu poczęcia. Ale miały miesiące i nie dochodziło do zapłodnienia. Regularne miesiączki. Czyżby przedwcześnie się starzała – w wieku trzydziestu dwóch lat, to niedorzeczne. Wcześniej oznajmiła bliskim koleżankom, że za kilka miesięcy będą musieli znaleźć tymczasowe zastępstwo na jej kierowniczym stanowisku, przy jej biurku, komputerze, telefonie, bo wraz z mężem postanowili mieć drugie dziecko.

Teraz przyznawała, że chyba do tego nie dojdzie. Zasięgnęła ich wynikłej z doświadczenia opinii. Nie jest to nic takiego, czemu nie może zaradzić ginekolog. Badania na płodność wykazały normalną owulację. Zgodnie z zaleceniem ginekologa szkolili się w czymś, co

nazywała „akrobatyką”, zwiększyli też częstotliwość zbliżeń miłosnych w okresach płodnych wskazywanych wzrostem temperatury, którą miała mierzyć w pochwie. O dziwo – niespodziewanie u mężczyzny który niedawno wyszedł ze śmiertelnej choroby – wydawało się, że to gwałtowne zapotrzebowanie na jego seksualną potencję nie wpłynęło na Paula. Gdy zaalarmowała go przez radio (telefony komórkowe nie działają w zbyt dużej odległości od źródła zasilania), że zaczął się u niej okres płodny Paul przyjechał do domu, żeby spełnić swój obowiązek, a potem wrócił na dzikie obszary.

Nadal nie było efektu. Berenice znowu skonsultowała się z ginekologiem.

Z owulacją jest u pani w porządku, to już stwierdziliśmy. Pani mąż powinien poddać się badaniu nasienia.

Paul ma się umówić na wizytę u swojego lekarza.

– Kiedy się wybierasz?

– Nie ustalił terminu.

– Mam zadzwonić?

– Nie, sam to zrobię.

Nie dzwoni. Berenice/Benni przestaje się dopytywać.

Nie potrafi.

Nie potrafi poddać się, w tej postaci, następnym badaniom, następnym procedurom kontrolującym jego ciało, naruszającym jego granice. Ono dobrze sobie radzi – członek jest zawsze gotowy, pod ręką, gdy Paul budzi się rano, daje i czerpie podniecenie, gdy trzeba, tak często, wejść i wylać z siebie zawartość w przyływie gwałtownej rozkoszy. Bez powodu, nie dysponując żadnymi środkami pozwalającymi zakwestionować wszystkie badania, na których polegają laboratoria, nie wiedząc, czy mógłby istnieć taki powód, po trosze wierzy że wędrownie komórki chyba nie dały za wygraną, że

promieniowanie, które starało się je uśmiercić, nadal zasila światło kontrolne ukryte gdzieś w głębi jego organizmu. Być może przenosi je sperma. Jakie dziecko mogłoby z niej powstać.

Po kilku miesiącach dość porządnego zwyczajnego życia, które ceni się tylko wtedy, gdy zostaje zburzone, a następnie z pewnym wysiłkiem poskładane do kupy – Berenice mianowano zastępcą dyrektora agencji reklamowej, Paul skończył swój raport na temat Okawango, przygotowywany w terenie dla zespołu mającego przedstawić go ministrowi środowiska i udostępnić prasie – ona porusza temat drugiego dziecka. Bez wyrzutów, niemal z czymś w rodzaju nieśmiałej czułości?

– Jeśli pragniesz jeszcze jednego dziecka, będziesz musiała znaleźć innego mężczyznę.

4.

Zrozumieć życie

Lyndsay nie spodziewała się, że ktoś wyjedzie po nią na lotnisko. Tamtego dnia Paul był w Pretorii z delegacją World Conservation Union u ministra ochrony środowiska i w żadnym razie nie było to obowiązkiem Benni, tak niezastąpionej dla swoich klientów – kontrakty reklamowe to transakcje bardzo osobiste. Ale już wieczorem w dniu swojego przybycia matka zjadła kolację z synem i jego niewielką rodziną; zresztą ona i Paul pod nieobecność Adriana często spędzali wspólnie czas, z rozmaitych, wzajemnie wynajdywanych powodów. Lunch, gdy Paul znalazł się w swoim biurze w mieście, wspólny spacer w jedną niedzielę (jego niespodziewana propozycja, świadcząca o życzliwości, z pewnością miał ciekawsze rzeczy do zrobienia). W ich wzajemnych stosunkach było coś niewysłowionego. Paul nie odwiedzał jej w starym domu. Nie prosiła go o to. Żyli tam w innym czasie, w innym kraju, raczej wspólnie niż rzeczywiście razem. W innym miejscu zanikła dawna zażyłość. Jednak to, że Adrian przez przypadek uczestniczy w wyprawie archeologicznej, uważali oboje – prawniczka specjalizująca się w prawach obywatelskich i ekolog, którzy spełnili swoje powołanie, sprawiedliwie uznający wartość czyjegoś zajęcia ubocznego – za słuszne. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale teraz, gdy w domu, gdzie spędził dzieciństwo, zdarzyło się tyle sytuacji, które nie powinny nastąpić, Lyndsay mogła z pewną krytyczną aprobatą przypomnieć mu, jak jego ojciec, jej mąż, zrezygnował z zamiaru zostania archeologiem, przynajmniej do czasu, który nigdy nie nadszedł. Nie zanosilo się na to, by ze zgłębiania prehistorycznej przeszłości można było utrzymać dom i rodzinę, będące owocem małżeństwa.

– Mimo że byłaś kobietą pracującą, prawnikiem? Ze mogłaś go wesprzeć? Musiał być jakiś inny powód, czysto charakterologiczny, że mój ojciec nie mógł... nie chciał...

– Przecież byłam tylko walczącą o uznanie nowicjuską! Podwładną na bardzo niskim szczeblu hierarchii zawodowej, z pensją kancelistki. Nie wszyscy chcą z równą determinacją, równie kategorycznie jak ty, nie wszyscy mają... Jak to określić? No dobrze, fach, który jest istotny dla przetrwania świata i znajduje się na pierwszym miejscu, przed wszystkim i wszystkimi. Mało kto ma to szczęście. – Odwróciła na chwilę wzrok, jakby o czymś zapomniała. Uśmiechnęła się. – Albo tyle traci.

Czy był marnym mężem i ojcem, czy to miała na myśli? Lecz te trzy słowa go nie dotknęły. To, co emanowało z Paula, odizolowanego, by nie narażać innych, oznacza, że zwykle normy, nagrody i kary nie powinny odnosić się, tak od razu, do niego. Lyndsay wyczytała z otrzymanego wcześniej od jego ojca listu zabawny opis – irytacja zaowocowała ciekawą opowieścią – niefortunnego wypadku. Samochód, który wynajęła zwykle tak niezawodna Norweżka, nagle zaczął się zachowywać niczym jeden z meksykańskich wulkanów, kopiąc gwałtownie, i przewodniczka oraz jej podopieczny musieli zostawić go na pastwę płomieni, a sami spędzili bezsenną noc w jednoizbowym domu z suszonych na słońcu cegieł u Indian, z którymi nawet norweska poliglotka nie umiała się porozumieć. Spokojna głowa, pomoc – przejeżdżający autobus – dotarła nazajutrz rano. Adrian rozsądnie przedłużył pobyt w tym kraju o kilka dni ponad spodziewany termin powrotu do domu, ponieważ incydent ten nie tylko zniszczył samochód, ale i udaremnił podróż do miejsca, które pragnął zobaczyć najbardziej ze wszystkich, a kto wie, kiedy znowu nadarzy się okazja ku temu. Później następował opis tego, czego szukał, co zostało tam wykopane, który Lyndsay przekazała do odczytania samemu Paulowi.

– Brzmi wspaniale. Znam to uczucie, gdy jesteśmy na końcu świata i nie możemy się dostać tam, gdzie powinniśmy być.

List umacniał ich wzajemną serdeczność.

– Naprawdę się w tym odnajduje – powiedziała o tym trzecim, który też tworzył tę serdeczność. – Widzę, że będziemy musieli tam wrócić.

Trzy dni przed terminem opóźnionego powrotu Adriana – Lyndsay zachowała i ułożyła w stertę w jego domowym ustroniu gazety i czasopisma ze szczególnie interesującymi artykułami, których lektura go ominęła – przyjechała z następnym listem. Paul był w domu z Nickiem, rywalizowali w jakiejś grze komputerowej. Po kilku minutach przyglądania się ich zabawie, ku zdziwieniu syna zapytała, czy mogliby zostać sami. Powiedziała to tak, jakby sama nie mogła uwierzyć w to, co mówi. Ale jej zachowanie bez wątpienia było osobliwe – tym razem to ona czymś emanowała. Paul przekupstwem skłonił malca, by oddał się pod opiekę niani (politycznie poprawnie: opiekunki do dziecka). Chłopiec bardzo lubił tę kobietę, kuzynkę poleconą przez Primrose, i nieświadomie uczył się rozmawiać z nią w języku setswana; nowe pokolenie, które mogło wydać białych poliglotów, może nawet dorównującym poziomem językowym Thapelo. Ojciec uśmiechał się szeroko z radości, ilekroć słyszał kilka nowych słów z ust malca.

Paul najpierw przez chwilę stał przed matką, po czym usiadł nie obok niej, ale na krześle, nieopodal.

Jeśli ktoś mógł zrozumieć, to właśnie ona.

Kiedy jednak rozłożyła cienkie kartki zapisane pismem tak samo wyraźnym jak rysy twarzy (twarzy Adriana), znane równie dobrze jak jej odbicie w lustrze, przygotowana na następny opis przyjemności, jakie czerpie ze swoich archeologicznych odkryć, nie rozumiała tego, co czyta. Odsunęła nawet na chwilę dłoń, w której tkwił list, po czym jeszcze raz przeczytała pierwsze akapity. Adrian chciał być wobec niej, jak zawsze, szczerzy i uczciwy. Żadna inna postawa nie byłaby warta ceny życia razem. Przez długi czas, obejmujący niedawne nieopisane doświadczenie mieszkania pod jednym dachem z ich synem, przez całą jej – tak pełną zasłużonych sukcesów – karierę, z której był niezmiennie dumny, i przez wszystkie lata jego pracy aż do emerytury.

Zdał sobie sprawę, że kocha tę dziewczynę z Norwegii. W istocie zaś kobietę, miała bowiem prawie trzydzieści pięć lat.

Ja mam sześćdziesiąt pięć. Nigdy nie przypuszczałem, że to się może przytrafić, nie tylko mnie, ale komukolwiek w tym wieku. Na miłość boską, wiem przecież – jestem dziadkiem, moje życie zawodowe dobiegło końca. Jak może się zacząć na nowo? Wiem, że nie będziesz w stanie w to uwierzyć. Sam nie potrafię. Ale, kochana Lyn, zaczyna się. Przytrafiło się to Hilde i mnie. Dzieli nas trzydzieści lat. Kilka lat temu ona rozwiodła się z mieszkającym w Meksyku Argentyńczykiem, nie ma dzieci. A teraz kocha żonatego starca. Nie potrafię wyrazić, jak okropnie się z tym czuje, tak bardzo Cię lubiła, wszyscy dobrze się dogadywaliśmy. Tak więc nikt nie chciał, żeby do tego doszło, a jednak doszło, jednak doszło.

Nagle nawiązaliśmy coś, co, jak sędzę, powinno być romanssem. Wakacyjnym romanssem. Wiem, wiem, ostatecznie szaleństwo staruszka. Wygląda na to, że ja nie miałem przygód – zakochałem się w Tobie i nie potrzebowałem niczego więcej. Przez całe życie, tak jak ma się pracę przez całe życie. A teraz kocham tę kobietę i nie mogę temu zaprzeczyć.

Nie wiem, co się stanie. Chociaż to nieprawda, bo jednak wiem, że na razie zostanę z nią tutaj, w Meksyku.

Co będzie z nami? – zapytasz, czytając ten list. Nie wiem. Wiem tylko, że nie mogę ciągnąć tego dalej za Twoimi plecami, ukradkiem w Meksyku. Akurat tutaj. To musiało wydarzyć się w Meksyku, gdzie mogę spełniać marzenie wszystkich interesujących się archeologią, marzenie, by dotrzeć do miejsc, które znają tylko z lektur. Dzięki temu, że wspomniałem nazwiska dawnych aficionados, znanych mi amatorów, i niektórych wielkich odkrywców, takich jak Tobias, oraz innych, Wadleya, Parkingtona i młodego Poggenpoela, mogłem nawet spędzić dzień na czynnych wykopaliskach, przesiewając ziemię. Czy to nie wystarczy?

Nie. Nie mogę ukrywać prawdy.

Nie mogę teraz powiedzieć, kiedy wrócę. Żeby wszystko załatwić, cokolwiek to może znaczyć, żeby usiąść i porozmawiać o tym z Tobą.

Nie wiem, w jaki sposób zakończyć ten list, do Ciebie.

Tylko podpis, Adrian.

„Myślałem, że zamierzasz mi powiedzieć, że odchodzisz”.

Nie wspomina, co jeszcze się stało, co odjęło cztery lata z życia wypełnionego miłością do mnie. Nie zapomniał – starzenie się nie może być takie przyjemne, chce dać wyraźnie do zrozumienia, że robiąc to, co robi, nie rości sobie prawa do usprawiedliwień, a tym bardziej do zemsty. Że do tego „dochodzi” to nieprawda, ani w jego, ani w moim lub którymkolwiek wypadku. Jest gotowość i chęć, by wkroczyć w to, w ten stan, mimo że poczuciu spełnienia towarzyszy wyobcowanie. Nie „dochodzi” do tego tak, jak doszło do tego, co przytrafiło się naszemu synowi. Trzeba zaznać nieszczęścia, by uświadomić sobie tę różnicę.

Mówisz mi, że odchodzisz.

Musiała do kogoś pójść, zabrać ten drugi list, by zweryfikować go w czyichś oczach, obiektywnie rozszyfrować. Nie była to informacja – wieść rodzinna – którą można przekazać w rozmowie telefonicznej z Emmą w Brazylii. Albo zawieźć Jacqueline na położone na północ od miasta przedmieścia. Albo uciec się do podróży samolotem do Susan. Chociaż żadne z dorosłych już dzieci nie wie o tym, że ich matka potrafiła (w odróżnieniu od niezdolnego do nieszczerości Adriana) kłamać przez cztery lata, jedynym, do którego może się zwrócić, jest to, które wróciło w aureoli okropnego promieniowania, żeby schronić się w domu swojego dzieciństwa. Wspólna wiedza o tym, co niewysłowione, umożliwia rozmowę o trywialnym zakłóceniu życia intymnego. Z Paulem można przeprowadzić ją tak, jakby nie dotyczyła sytuacji jego rodziców: dzięki pewnemu obiektywizmowi, na który może liczyć u niego za sprawą oddalenia, nawet od tych, którzy narażali się, mieszkając z nim pod jednym dachem, w jakim żył przez pewien czas. To leży w jej prawniczej naturze, bo w czym jeszcze pokładać ufność, jeśli nie w obiektywizmie. Prawda to sprawa nieuchwytna. Sędzia wykazuje ją, póki istnieje – ocalona.

Mimo to nawet w rozmowie z synem trudno będzie nie milknąć co chwilę, pamiętając o tych czterech latach, których pozbawiła samą siebie i jego ojca. Tak więc dawne kłamstwo wróciło do teraźniejszości. Kłamstwu trudno położyć kres.

Znowu liczy na to, że zastanie go samego. Wyobraźcie sobie zażenowanie – lub wyrafinowany brak zażenowania – Benni. Starsi mężczyźni codziennie zakochują się w kobietach, które mogłyby być ich córkami, może (ciekawe?) ta spóźniona próba wynika z tłumionej skłonności do kazirodztwa. Pojawiłoby się kobiece współczucie („wiesz, jacy są mężczyźni”), choć zawsze było oczywiste, że Benni nie może uskarżać się w ten sposób na swojego, który innym kobietom zapewne wydaje się przystojnym i niezwykłym mężczyzną.

Nie można mieć pewności, że Benni/Berenice tam nie będzie. Pomyślała o tym, żeby zadzwonić. Mogłaby wysondować, czy Paul może być sam. Wrócił z jednej ze swoich misji badawczych. Zabrawszy ich tydzień wcześniej do nowej indyjskiej restauracji, dowiedziała się, że Paul właśnie konsultuje się w sprawie jak najlepszego wykorzystania wydłużonego czasu na wniesienie sprzeciwu wobec planu budowy płatnej autostrady w Pondolandzie. W odpowiedzi na jej pytanie wyjaśnił, jak przebiegają te konsultacje, później zaś wspomniał, że jest słomianym wdowcem, bo Benni promuje festiwal wina w Prowincji Przylądkowej.

Czy mogłaby przyjechać? „Oczywiście. Może jutro, na kolację”. Ale gdy zapytała, czy wizyta nie może odbyć się dzisiaj, tego wieczoru, zgodził się natychmiast. Uznał, że powinien zapytać, czy dobrze się czuje – coś musi ją trapić. „Nic mi nie jest”. Nie należeli do osób, które musiały wyciągać lub wyciągały zwierzenia przez telefon.

Jego matka zakryła dłonią usta.

Czekał, aż – na pozór – dojdzie do siebie. To gest niejednoznaczny, może skrywać śmiech, szok, wiele stanów, których nie sposób wyrazić. Zażenowanie. Ale Lyndsay nie była zażenowana. Doszło między nimi do zbyt wielu poufałości spowodowanych chorobową niepełnosprawnością Paula, żeby od tego czasu cokolwiek mogło budzić zażenowanie któregokolwiek z nich.

– To przyszło od Adriana.

Paul wziął list do ręki.

– Nie wpadł chyba do jakiegoś dołu na tych swoich wykopaliskach... – marszcząc z wyrzutem czoło, niemal pod nosem zauważył Paul.

Lyndsay powstrzymywała się przed spojrzeniem na twarz syna, gdy ten czytał, powoli odwracając dwie kartki i wracając do pierwszej, jak wcześniej ona, żeby raz jeszcze przeczytać list. O ile

ona ma nawyk dokładnego rozumienia jako prawnik, o tyle on – jako badacz danych naukowych związanych z praktyką na ziemi – dysponuje instynktowną umiejętnością ponownej oceny tego, co jest przedstawiane jako fakty.

Nie mógł jej powiedzieć tego, co miał już na języku: „Myślałem, że łażąc po wykopaliskach, złamał nogę lub coś innego, ostatecznie ma prawie sześćdziesiąt sześć lat”. Ale bez wątpienia, jak w wypadku Paula – młodego mężczyzny nawykłego do podejmowania ryzyka w trudnym terenie – zarażenia się czymś takim z nadejściem wieku emerytalnego można byłoby się spodziewać.

Prawdziwe okoliczności uniemożliwiły synowi zajęcie obiektywnego stanowiska (na co liczyła). Lyndsay, siedząca na wprost niego, jego matka, stała się najważniejszą osobą, zagrożoną przez tę drugą najważniejszą osobę – jego ojca. Paul starał się, powstrzymał bowiem instynktowny odruch, by wstać i wziąć ją w ramiona, kazać, pozwolić jej się wypłakać, i zapytał o tę kobietę. Tak, jakby jego matka mogła znaleźć oparcie w dobrze sobie znanych procedurach sądowych. W dowodach.

– To ta kobieta, którą wynajęliście na wspólny objazd Meksyku, przewodniczka, która, jak pisaliście, była taka znakomita, nietypowa, natrętna gaduła?

– Owszem. Taka była.

„I nie próbowała uwieść staruszka?”. Paul nie zadał jednak tego pytania.

– Ta Norweżka.

– Ta Norweżka. Była taktowna, oczywiście oczekiwaliśmy, że posiłki, i nie tylko one, będą wspólne, ale czasami wyraźnie sygnalizowała – jakaś wymówka, rozmowy telefoniczne, ślady życia osobistego gdzieś indziej – że rozumie, że chcemy być sami, na przykład na kolacji.

Co byłoby pociągające dla ojca, dla Adriana? Po pierwsze, jakiego typu jest kobieta, jak wygląda?

– Czy jest ładna, piękna, to znaczy, co takiego w niej jest...

– Skąd mogę wiedzieć? Jestem kobietą. Nie widzę tego, co widzi mężczyzna, co ty mógłbyś dostrzec. Ciemnowłosa, zgrabna i pulchna, ale tylko tam, gdzie trzeba, bardzo inteligentna. Jest coś, czego nie rozumiem, cały czas się uśmiecha, tym klasycznym uśmiechem charakterystycznym dla starożytnych greckich posągów, no wiesz, młodych mężczyzn. Jak oni się nazywają? Kurosi? Ja i Adrian widzieliśmy je kiedyś w Atenach. A może było to w jakimś rzymskim muzeum. Nawet wtedy, gdy we trójkę odpoczywaliśmy gdzieś z zamkniętymi przed blaskiem słońca powiekami, wyciągnięci na krzesłach, ilekroć przez przypadek otworzyłam oczy, ten uśmiech malował się na jej ustach. Zamknięte oczy, uśmiech.

– Irytujące.

– Nie. Uważałam, że to raczej godne pozazdroszczenia, naprawdę. Gdybym musiała zarabiać na chleb, obwożąc obcych ludzi, powtarzając ciągle te same informacje i słuchając stale tych samych komentarzy – jak na nowo wyrazić, że coś jest piękne, rozczarowujące – chyba nie potrafiłabym zachować tego uśmiechu. W dodatku był on dyskretny.

– A Adrian?

– Co Adrian...

– Czy kiedyś mówił... coś... na jej temat?

– Wiesz, jak normalnie robił uwagi na temat kobiecej urody, kogoś spośród naszych lub twoich przyjaciółek, które poznawaliśmy. Ale nie sądzę, żeby uważał ją za piękność. Pewnie powiedział coś... gdy rozmawialiśmy o tym, jakie to szczęście, że znaleźliśmy typową Skandynawkę, kompetentną i życzliwą, ale zachowującą dystans.

Teraz Lyndsay nie uśmiechnęła się, milknąc, wydobyła tylko z siebie gwałtowne westchnienie.

Paul nadal trzymał w dłoni list i zaczął znowu przebiegać po nim wzrokiem, równocześnie podsuwając go jej z powrotem.

Żadne z nich nie chciało dotykać listu – leżał na niskim stoliku, na którym Nickie rozłożył planszę do gry.

– A więc to wszystko uległo zmianie. W czasie, gdy razem wyjechali? Samochód i chata z wypalanych na słońcu cegieł. Dwa tygodnie?

– Trochę dłużej. Miałam wyjechać po niego na lotnisko w tę sobotę, w dniu opóźnionego powrotu do domu.

– Mamo – powrócił do formy grzecznościowej z czasów dzieciństwa, on i jego siostry, gdy dojrzeli, najczęściej zwracali się do rodziców tak, jak ci woleli, po imieniu. – Mamo, co zamierzasz zrobić?

Lyndsay milczała, on też się nie odezwał. Z kuchni dobiegły odgłosy ożywionej, figlarniej wymiany zdań między Nickiem a kuzynką Primrose.

– Przyjechałam do ciebie.

– Ale ja nie mogę wiedzieć, jak się czujesz. On jest moim ojcem, to nie mąż, mężczyzna, twój mężczyzna.

– Jesteś na niego zły... Jako syn swojej matki?

– Chyba tak. Ty oczywiście też.

– Nie, nie, nie jestem zła. Nie mam prawa się złościć.

Jeśli powiedziała coś, co mogło wzbudzić wątpliwości co do jej przeszłości, szybko zamaskowała to następnym uogólnieniem.

– Nie jesteśmy swoją własnością. Mężczyźni i kobiety nie należą do siebie... Skoro nie ma kury domowej, nie ma i koguta.

Paul mówi bez żenady, jakby ojciec już nie żył:

– Zawsze bardzo cię kochał. Każde z nas to widziało. Przypuszczam, że ty też... Czasem byliśmy dość zazdrośni.

Lyndsay nie wiedziała, czy chodzi mu o czasy, gdy „my” to były dzieci (nie dość kochane), czy też przeciwstawia temu własne życie z kobietą.

Słuchaj, to nie jest niewiarygodna sytuacja kogoś, kto emanuje niebezpieczeństwem, to rzecz po ludzku zwyczajna, choć bolesna. Z listu jasno wynika, że ten, który pokochał o raz za dużo, także cierpi, mimo że może zapomnieć o bólu w ramionach swojej Norweżki. Lyndsay jest prawnikiem, prawnik zaś zajmuje się wszystkim, co od chwili narodzin aż do śmierci ma status prawny. Prawami. Lyndsay może rozwieść się z Adrianem, jeśli będzie chciała, otrzymała bowiem klasyczne podstawy, dokładnie wie, jak się tym zająć, mimo że dawno przeszła z tego poziomu praktyki prawnej na wyższe płaszczyzny praw obywatelskich i prawa konstytucyjnego. Albo też może pozwolić mu kontynuować tę użyczoną (miłość, seksualny nakaz, zawsze jest czymś użyczonym), niezaplanowaną na czas emerytury fazę życia. Poczekać. Wygląda na to, że Adrian nie chce rozwodu, sytuacji nieodwołalnej, nie bierze jej pod uwagę w tym liście. To swego rodzaju błaganie – tylko o co?

Matka i syn rozumieją to bez dyskusji.

Jest zbyt wcześnie, sprawa nie dojrzała jeszcze do tego, żeby otrzymać różne odpowiedzi, których pewnie nie brak. I tak naprawdę to matka musi je otrzymać, wybrane rozwiązanie nie może być podyktowane taką samą troską i nieuchronnością zachowań, jakich wymagał syn. On opuścił dom, dwukrotnie. Musi żyć własnym życiem – wygodny wykręt, inne obowiązki osobiste. Ludzie z różnych pokoleń nie mogą sobie wzajemnie pomóc w obliczu egzystencjalnej zniewagi. Dzieli ich skrępowanie siedzącego na krześle Paula, mogliby się objąć, ale stukot kroków oznacza, że dwójka z kuchni zaraz wtargnie do salonu.

Lyndsay Lyn. On zawsze tak bardzo cię kochał. Syn potrafił o tym zaświadczyć, takich rzeczy raczej nie mówi się matce. Tekst jak z telewizyjnego serialu, ale nie wtedy, gdy pada z jego ust. Paul nie ogląda seriali, bada drzewa i kanały.

Lyndsay nie odpowiada na ten list od razu. Odpowiedź? A co z niej wynika? To się zdarza i robi się takie rzeczy Nie zadzwoniła do hotelu w Mexico City – być może tego od niej oczekiwał. Głosem w głos, skoro nie twarzą w twarz. Dała sobie czas, co przypuszczalnie oznaczało, że daje go jemu. Na to, żeby wrócił do domu i powiedział, a ona wie, że można by to zrobić, romans skończony. Płacząc, tak jak ona płakała. Czy to nad jego zakończeniem, czy to nad zdradą tak wielkiej miłości. Im większej liczbie dni pozwoliła upłynąć przed napisaniem listu, który wyrażał i formułował na nowo jej myśli – wykreślane, zarzucane i znowu przychodzące do głowy (tylko w sądzie, który nigdy nie pozwalał na żadne rozterki, to, co przez niego się stało, nie nastąpiło), tym bardziej on czuł, że ma jej przyzwolenie, pewnego rodzaju aprobatę, zrozumienie, że – tak jak ona – nie mógł podjąć żadnej decyzji poza poinformowaniem w swoim liście, że na razie po prostu zostaje dłużej, dalej zwiedza stanowiska archeologiczne ze swoją kochanką.

Im dłużej listowna odpowiedź pozostawała nienapisana, im dłużej pisała ją na nowo, wracając z kancelarii do starego domu, który nigdy nie przypominał, że jest pusty, w sytuacjach, gdy Adrian wyjeżdżał i miał wrócić w określonym terminie (gdy leżała w ciemności, a jego strona łóżka była płaska, nie można było dostrzec ciała na horyzoncie), interpretacja tego, co się zdarzyło, była inna. Praca życia. Przez całe życie pracował, jak się wydawało, chętnie i z radością, zadowolony, że robi to, co musi, sumiennie, w zawodzie, którego sam by nie wybrał. Jedyna kulminacja: emerytura. Przeżycie bliskie spełnieniu jego powołania, może nawet będące jego spełnieniem (ta wzmianka, że „przesiewał ziemię”, z której na stanowisku archeologicznym wydobywa się ślady przeszłości), czyż nie zostało spotęgowane świadomością, że jest jeszcze jedno powoła-

nie, do ponownej miłości. Idą ze sobą w parze. Kobieta i archeologia. Miłosne zespolenie i wykopaliska.

Być może to powinno znaleźć się w liście, w jego ostatecznej wersji. Lyndsay nie sądziła, że może powiedzieć to synowi, nawet jemu nie mogła. Nawet on przyjąłby to z ulgą jako racjonalizację. Racjonalizację niezbędną jego matce w każdym rozwiązaniu. A przynajmniej, tworząc swoje życie na nowo, byłby – i słusznie – zbyt pochłonięty, żeby dostrzec, jak ta racjonalizacja przesiewa tę dobrze znaną, rodzinną ziemię, żeby pokazać w całości, jakie było życie tych dwojga rodziców. Zwyczajne. Jedna jego wersja. Tak jak jego ponowne zajęcie domu z żoną/dzieckiem – jego elementami, które wydawały się z powrotem złożone w całość.

Napisany przez nią list nie był żadną z niezapisanych wersji ze wzruszającymi ozdobnikami, antynomiami okrucieństwa („któż by pomyślał, że zrobisz z siebie głupca, zbliżając się do siedemdziesiątki”) oraz smutnego zrozumienia („nadal jest dobre, tak, nawet w łóżku”).

Uczciwie. Tak jak on.

Nie mogę powiedzieć, że nie wierzę, że jestem zdumiona, zauważyłam bowiem, w ciągu wspólnie spędzonych lat, nawet odkąd zaczęłaś się starzeć, jak kobiety na Ciebie patrzają, ale Hilde nie pokazała w żaden sposób, że lubi Cię bardziej niż mnie. Ten sam uśmiech. A Ty – czy ja jak idiotka uważam, że ludzie, mężczyzna i kobieta, znają się po tych wszystkich latach tak dobrze, że w jednym nie może zachodzić żadna zmiana, której drugie nie wyczuwa. Najwyraźniej tak uważałam, tak uważam. Gdy przebywaliśmy w towarzystwie przewodniczki, ona była po prostu uśmiechnięta. Ty, podobnie jak ja, byłeś po prostu wrażliwy na ożywczą precyzję jej informacji o miejscach i obiektach, które chcieliśmy zobaczyć, oraz znajomości ich dziejów i znaczenia. Żadnej rycerskości w stosunku do niej – wiesz, co mam na myśli. Prawdę mówiąc, myślałam, że poniekąd oddychałeś z ulgą, gdy wymawiała się od wspólnych posiłków, zawsze przecież możemy swobodnie rozmawiać przy jedzeniu we dwoje. Być może błędnie interpretowałam Twoje

zachowanie, skłonność do ukrywania uczuć, które zaczynałeś żywić wobec niej, oznaczała, że to jej sprawiała ulgę chwilowa nieobecność w pobliżu.

Chyba powinnam czuć wobec niej wyrzuty. Ale nie będę. Nie ma też sensu, dla niej ani dla mnie, by czuła się „źle”. Jak piszesz, doszło do tego, oboje to sprawiliście. Z listu można odnieść wrażenie, że w tej chwili sam nie wiesz, czego chcesz [wykreślone: „chyba że nie ja”]. Niech więc na razie będą to wydłużone wakacje. Pokazałam Twój list Paulowi, ale dla dziewczyn będzie to jedyne wytłumaczenie tego, że nie wróciłeś i poszukujesz następnych wykopalisk archeologicznych. Może z tego wyniknąć niezręczna sytuacja - jeżeli Emma dowie się, że przeciągasz pobyt w Ameryce Środkowej, będzie chciała cię przekonać do przelotu do Brazylii i spotkania z naszymi wnukami.

„Wnukami”. Czy to było okrutne? Pozostawiła jednak tę dwuznaczną aluzję, nie wykreśliła jej.

List napisała na swoim komputerze. Gdy wyjęła wydruk, była gotowa dopisać ręcznie: „Kocham Cię”. Napisała tylko swoje imię w znanej Adrianowi formie: „Lyn”.

Przestrzeganie Paula, żeby nie mówił swoim siostronom o rzeczywistej przyczynie tych wydłużonych wakacji archeologicznych, nie było potrzebne. Kontakt z nimi tak czy inaczej był ograniczony – rodzinne okazje do spotkań bożonarodzeniowych i noworocznych dawno minęły a życie towarzyskie organizowane przez Benni wypełniali jej koledzy z branży reklamowej, obecnie ściągani razem z niektórymi „buszmenami” Paula. Ponieważ zakończył już kwarantannę, jego kochająca siostra Emma nie słała już e-maili z Brazylii, zakładając, że jej szalone, zabawne listy przestały mu być potrzebne. Często to właśnie Benni sugerowała, że jego matka powinna przyjść na kolację, i Lyndsay przyjeżdżała z butelką dobrego wina. Benni pytała również sumiennie, co słyhać u Adriana, i wydawała się słyhać jej wyjaśnień równie niewinnie jak wtedy, gdy Lyndsay opowiadała o jakimś wspaniałym regionie, przez który dopiero co przejeżdżał, dodając:

– Naprawdę musicie kiedyś pojechać do Meksyku, to spektakularne miejsce. Godne podróży z uwagi na samo muzeum antropologiczne.

Jeśli to było bezkrólewie, to jego matka radziła sobie z nim tak samo, jak Benni poradziła sobie z odosobnieniem podczas kwarantanny.

Lyndsay i jej syn znowu mają ze sobą coś wspólnego, jak wtedy, gdy – nie wiedząc o tym nawzajem – on powrócił do dzieciństwa, a ona, w podobnym nawrocie wspomnień, ponownie przeżywała zawstydenie czterema latami dziecinnej zachłanności. Oboje angażują się nie tylko w sprawy osobiste, ale i w poprawę sytuacji świata. Sprawiedliwość. Ochronę przyrody. Bez względu na stan swojego życia intymnego, Lyndsay i jej koledzy z pełnym zaangażowaniem zajmowali się zawiłościami, które należało prześledzić, i pozornymi ślepymi uliczkami, z jakich trzeba było znaleźć wyjście, niuansami bilansów, jakie należało odszyfrować, faktami, które trzeba było wydobyć z gąszczu kłamstw w sprawach o

korupcję, których prowadzenie im powierzono i które, odraczane i odsyłane, z pewnością będą się ciągnęły miesiącami. Następny przedłużony okres. On zaś, razem z Thapelem i Derekiem, jeździł teraz raz po raz na nadmorskie wydmy wschodniej Prowincji Przylądkowej – w rejon, w którym planowano budowę płatnej autostrady – gdzie oczekiwano na decyzję rządu w sprawie zgody na eksploatację złóż tytanu oraz innych metali. Temat spółzenia jeszcze jednego dziecka, towarzysza dla Nickiego, nie powrócił. To, co Paul wtedy powiedział, położyło kres dyskusjom. Kochali się, gdy wracał z wydm do domu, pachnąc – jak twierdziła Benni – morzem; to ją najwyraźniej podniecało. Zakładał, że zabezpieczyła się przed zapłodnieniem, że zabezpieczyła się przed nim.

Jego matka stała się w jakiś sposób częścią życia, do którego wrócił, które podjął w swoim domu; jakby stary dom nie był już domem, odkąd przestał być miejscem kwarantanny Paula i odkąd zabrakło w nim ojca. Gdy Paul wracał do miasta, do swojego miejskiego życia, dość często zastawał ją z Nicholasem i Benni. Wydaje się, że nawiązała pewnego rodzaju stosunki, jeśli nie bliskie, to przynajmniej nieskrępowane, z Berenice/ Benni, której złożona osobowość miała niewiele wspólnego z osobowością Lyndsay. Cóż – łączyli je Paul i chłopiec. Gdy wakacje archeologiczne Adriana, spełnienie powołania, które długo negował – właśnie tak zaczęto milcząco się na nie godzić – rzeczywiście się przedłużyły stosunki z Berenice/Benni nabrały po trosze zwyczajności, którą Lyndsay osiągnęła w kontaktach z nią w okresie kwarantanny. Najwyraźniej wypełniała sobie czas raczej w towarzystwie innych kobiet niż małżeństw zaprzyjaźnionych z nią lub z Adrianem. Jej syn uważał, że to zwyczajne u kobiet nie szukających nowego mężczyzny, upośledzonych przez zaawansowany wiek albo awersję do tego rodzaju poszukiwań; gdyby nie troska o własną matkę, nie zastanawiałby się nad czymś takim. Oprócz kręgu wspólnych przyjaciół swoich na ogół miała wśród bractwa prawniczego – owszem, bractwa, ponieważ sędziowie i wybitni prawnicy przeważnie byli mężczyznami. Pewnej niedzieli przyprowadziła na lunch najwyraźniej nową przyjaciółkę, nie prawnika i nie miłą osobę z

klasy średniej, uszczęśliwiająca innych na siłę – jak te, które trafiały się wśród zaprzyjaźnionych małżeństw – ale pracownicę miejscowego państwowego wydziału opieki społecznej. Należała do kolorowych kobiet, w których szerokich twarzach, łączących cechy Khoisan, malajskich, holenderskich, angielskich, niemieckich i przeszłość tylko wie, jakich jeszcze, przyjemnie mieszały się ich oblicza. Przez Lyndsay została przedstawiona jako Charlene-jakaś-tam, ale wtrąciła ze śmiechem:

– Po prostu mówcie mi Charlene, to ja.

– Charlene wprowadza mnie w realia, które ja i moi koledzy widzimy dopiero w postaci ich skutków – sprecyzowała Lyndsay, lekceważąc ten przejaw skromności. – Wczoraj zabrała mnie do hospicjum, nie, chyba nazwalibyście to ośrodkiem dla niemowląt. Porzuconych, niekiedy zarażonych wirusem HIV lub już chorujących na AIDS.

– Okropność. Pewnie ciężko to znieść – Benni, podobnie jak Adrian, też jest szczera, wrywając się z niedelikatną uwagą, od której inni by się powstrzymali, żeby nie sprawiać wrażenia osób pozbawionych ludzkich uczuć.

Charlene wyczuła, że należy im się wyjaśnienie, jak doszło do tego „wprowadzenia w realia”, a może również nie była w stanie stłumić w sobie odruchowej chęci pokazania, że została mentorką osoby wysoko postawionej w autokratycznym świecie.

– Och, bo widzicie, właśnie byłam świadkiem w tej dużej sprawie, no wiecie, sprawie mojego szwagra, którego wywalili z firmy, z pracy. Był zastępcą kierownika w supermarkecie, bo ma AIDS... jak się zaraził, to już inna historia, nie do mnie... związek zawodowy założył sprawę w jego obronie, a pani Bannerman była głównym adwokatem...

– Bezprawne zwolnienie z pracy. Wygraliśmy To w pewnym sensie precedens sądowy, niosący konsekwencje dla innych. Charlene Damons była znakomitym świadkiem... adwokat, który miał ją przygotować do zeznań, twierdził, że jest odwrotnie.

Obie kobiety roześmiały się – zapewne właśnie te zeznania skłoniły Lyndsay do zainteresowania się kobietą. Najwyraźniej stworzyły sposobność do rozmowy; dawno już minęły czasy, gdy w kawiarniach obowiązywała segregacja rasowa i nie było dokąd pójść. Przy niedzielnym lunchu Lyndsay zachęciła elokwentną Charlene, której nie trzeba było zbytnio przynaglać, gdy spokojnie i ze smakiem jadła, a także piła wino, które jak zwykle dostarczyła matka gospodarza, by opowiedziała o swojej pracy wśród ludzi zarażonych wirusem HIV i cierpiących na AIDS, zwłaszcza zaś robotników zatrudnionych w przemyśle i pracownic sieci sklepów.

– Co się dzieje z tymi dziećmi? Dużo ich umiera? I czy przeżywają, po leczeniu? Bo przecież są leczone? – Benni ściera Nickiemu z ust ślady lodów.

– Wiele umiera. Cóż można zrobić? Zostawiono je w toaletach publicznych. Niektóre na ulicy, policja znajduje je i przywozi.

– A matki?

– Nikt ich nie zna, nie wie, kim są ojcowie.

Lyndsay słuchała odwrócona.

– Ale kiedy się je widzi, kiedy widzi się ich twarze. Nie wyglądają anonimowo. Nie są nikim.

Jest na to dowód. Nickie, z twarzą usmarowaną lodami, przypominający Paula, Benni, Lyndsay, Adriana... I dalszych przodków. Jak pierwiastki, które skupiają się w Okawango, jak naturalne siły alchemii, które tworzą piaszczyste wydmy, kryjące minerały z jeszcze wcześniejszych formacji geologicznych.

Nowego rodzaju lunch rodzinny przebiegł dość spokojnie z udziałem gościa, Paul i Benni więcej jej nie spotkali. Lyndsay była zajęta nową sprawą, jej następną propozycją nie była osoba, ale list, pierwszy z kilku odczytany rodzinie, jak wtedy, gdy czasami przynosiła ze sobą e-mail od Emmy. List od Adriana, mówiący coś o tym, co właśnie przeżywał. Stan trudny do zaszeregowania. Podróże w góry, strony rodzinne Zapaty, kolejne obejrzone obrazy Orozco,

pogoda. Oczywiście wykopaliska archeologiczne. W jednym liście poinformował, że zamierza coś napisać. O przeżyciach towarzyszących oglądaniu tych odnalezionych pod ziemią wytworów zamierchłej przeszłości, gdy żyjemy w epoce, w której toczą się spory o to, kto posiada broń mogącą zniszczyć wszelkie jej ślady (Listy były zaadresowane jak ulotki reklamowe z nagłówkiem „Najemca”, na pierwszej stronie widniało słowo „Kochani”.) Gdy Lyndsay doszła do tych kilku zdań, jej chłodny ton wskazywał pozostałym, że są przeznaczone tylko dla niej.

Przypuszczalnie w odpowiedzi pisała – a może nie? – listy tego samego rodzaju, powierzchowne, ukazujące sprawy, którymi żyła rodzina. Czy pojawiały się w nich słowa, pozostałości rozmów z osobistej, niezamierchłej przeszłości, płynące z głębi jej serca, było jej sprawą, syn mógł spekulować na ten temat z równą trafnością, jak przewidzieć rozwiązanie, które mogli znaleźć dla siebie rodzice.

Ogłoszony dla Pondolandu przez rząd plan stworzenia „morskiego obszaru chronionego” nie był żadnym rozwiązaniem dla samego wybrzeża. Chronił tylko wody. Australijska Mineral Commodities nadal mogła realizować swój plan eksploatacji wydm na odcinku dwudziestu kilometrów. Zespół Paula, z Thapelem i Derekiem obłożonymi mapami geodezyjnymi i swoimi notatkami z terenu, siedział z przedstawicielami Earthlife Africa oraz Wildlife and Environmental Society, podążając w swoich analizach śladem sprzecznych oświadczeń, zacierających wymowę tych, które składano wcześniej.

– Minister uchyla się od odpowiedzialności. Posłuchajcie jeszcze raz. Ochrona środowiska: „Minister nadal sprzeciwia się eksploatacji wydm i wspiera rozwój ekoturystyki na tym obszarze. Ostatecznie decyzja o rozpoczęciu wydobywania na Dzikim Wybrzeżu należy jednak do ministra zasobów mineralnych i energetycznych”. *Ja-nee.* -Derek parodiuje ministerialne „tak-nie”, potrząsając głową.

– Zapewne Mineral Commodities złożyła już w imieniu Australijczyków wnioski do ministerstwa zasobów mineralnych i energetycznych. Ministerstwo nadal go rozpatruje. Dopóki nie

podjęto decyzji, a tego, że rzecznicy prasowi Mineral Commodities forsują projekt, można być pewnym, musimy dalej walczyć, człowieku, bezustannie. Podobno analizują projekty Parku Morskiego Pondoland, żeby „ocenić”, jak wpłynie to na plany eksploatacji, ale to nonsens, *shaya-shaya*, ich prezesi już powiedzieli, że wydma czołowa i systemy rzeczne zawsze były wyłączone z obszarów eksploatacji... nie są... – Thapelo unosi jedną z map jak flagę.

Temu gestowi towarzyszy rosnące zniechęcenie. Paul macha ręką nad stołem, jakby rozwiewał ten nastrój.

– Lobbying... to tylko część strategii. Jeszcze lepiej przysłużyć się im przekupstwo. Wariant rozwiązania, jaki przedstawili firmie mającej pełnomocnictwa tej samej czarnej społeczności, tradycyjnych przywódców, na których liczyliśmy, ludzi, na których to my wywieraliśmy nacisk, żeby protestowali przeciw niewłaściwemu wykorzystaniu ich ziemi, zagrożeniu dla ich egzystencji. Piętnastoprocentowy udział w transakcji, dziesięć milionów dolarów! Jak to podzielić między... ile osób? Nie da się, to będą akcje giełdowe. Nieważne. To niebotyczna suma.

Przewracając oczami, przez nieuwagę kieruje spojrzenie na Thapela, którego nie powinien wskazywać. Chęć usankcjonowania prawa do zarabiania pieniędzy cechuje również białych, przynajmniej pokusa czyha na wszystkich bez względu na kolor skóry. Różnica polega na tym, że biali tak długo mieli to prawo na wyłączność.

– Jak to wygląda w wypadku protestu przeciw płatnej autostradzie, która ma przeciąć ich siedlisko, przeciw wydobywaniu, które gotowe jest zniszczyć tamtejsze wydmy? A więc? Nie chcemy, żeby czarni na wsi mieli swój udział we wzroście potęgi gospodarczej? To nie dla nich? Nie ma dla nich miejsca w naszej mieszanej gospodarce? Co mamy zamiar na to odpowiedzieć?

Krzyżując ręce na piersi, Thapelo klepie się po bicepsach i zaciska na nich dłonie.

- Musimy się z tym pogodzić, bracie. Wrażliwość rasowa nie wchodzi w tym wypadku w grę, mój drogi. Chłopcy z dużą kasą wiedzą, jak zdobyć nad nami przewagę. Na pewno istnieje związek, układ, między zwolennikami płatnej autostrady i wydobywania. Niech Mineral Commodities i rząd temu zaprzeczają, krzyczą od rana do wieczora. Widzieliście, że krajowa agencja budowy dróg twierdzi, że autostrada obniży koszty transportu, to ważne dla wydobywanych metali, dla ich dostaw do huty.

- I w końcu na światowe giełdy.

- A także do właścicieli akcji o wartości dziesięciu milionów dolarów, rozproszonych w wyniku budowy autostrady. Którzy otrzymają dywidendy.

- *Makhosi.*

Paul przeszedł od debaty do decyzji.

- Zaledwie za kilka miesięcy mija nieprzekraczalny termin składania ostatecznych zastrzeżeń do projektu eksploatacji wydm. Skoordynuj działania wszystkich organizacji i grup, zmobilizuj poparcie z zagranicy – słownictwo Berenice, nieznana broń, okazuje się przydatne. – Z życiem, stary... Zmontujmy i sprowadźmy jako obserwatorów grupę uznanych obrońców przyrody – nie nasze gwiazdki, ale gwiazdy muzyki pop, które skomponują dla nas piosenki, *Chodźcie rapować dla tej planety*, dowiodą, że są porządnymi obywatelami świata... Dzisiaj jest w modzie, żeby ludzie sławni angażowali się w słuszne sprawy – by zobaczyli, o jaką stawkę idzie gra.

- Racja, bracie!

Może jej agencja reklamowa wiedziałaby dokładnie, jak pokierować tym, co teraz beznadziejnie upodobniło się do wszelkich innych kampanii reklamowych.

Wśród pozostawionych w poczcie głosowej jego telefonu komórkowego wiadomości jedna pochodziła od Lyndsay. Odpowiadając na te istotne, zapomniał o niej. Znowu zadzwoniła –

tylko po to, żeby powiedzieć, że chciałyby wpaść dziś wieczorem, gdyby on i Benni mieli być w domu, nie widziała się przecież z nimi od tygodnia. „Tak, zjedz z nami posiłek”. Nie, przyjedzie na kawę. „Wiesz, że nie pijemy kawy po kolacji, mamó, ty też nie”. Śmiech. W takim razie na drinka, świetnie.

Matka Paula przyjechała po dziewiątej, nie bacząc na nadspodziewanie późną porę swojej wizyty, z miną wskazującą na to, że pozbyła się jakiejś troski. Benni, w swoim wyrafinowaniu bywającej w świecie Berenice, zastanawiała się nawet pobłaźliwie, czy Lyndsay nie znalazła przypadkiem jakiegoś mężczyzny, któremu przypadła do gustu – przecież mimo upływu lat wciąż dobrze wygląda; to się zdarza. Matka i syn wypili po lampce wina, Benni z jakiegoś powodu zakrywa dłonią kieliszek postawiony przed nią przez Paula. Pewnie przeszła na jakąś nową, dobrze rozreklamowaną dietę.., W kredensie znajduje się jej ulubiony duński aquavit, ale to skandynawskie skojarzenie chyba nie jest zbyt taktowne.

– Miałam zamiar powiedzieć wam o tym od kilku tygodni, ale były komplikacje prawne, nadal zresztą są... Nie ma sensu czekać na ich rozstrzygnięcie. Pamiętajcie, jak przyprowadziłam na lunch pracownicę opieki społecznej, świadka w jednej z prowadzonych przeze mnie spraw. Osobę, która pokazała mi porzucone niemowlęta – dzieci w jednym ośrodku. Cóż, jeździłam do niego sama kilka... wiele razy. Czułam, sama nie wiem, było tam dziecko, dziewczynka, lekarz twierdzi, że ma mniej więcej trzy lata, w wypadku porzuconego dziecka nie da się tego dokładnie ustalić, która reagowała na moje wizyty... moją obecność. Policja przywiozła ją przed siedmioma miesiącami, to znaczy, że miała wtedy około dwóch lat. Została zgwałcona i jest nosicielką HIV Trzeba jej było... – Lyndsay, zawsze po prawniczemu niewzruszenie precyzyjna, poddaje się, nie wie, jak opisać to innym – zrekonstruować.., chirurgicznie... Wiele tygodni w szpitalu dziecięcym. Najwyraźniej operacja się powiodła, o ile można to stwierdzić w wypadku tak młodej dziewczynki. Wtedy oddano ją z powrotem do ośrodka. Oni... ludzie kierujący tą placówką... są szczęśliwi... gdy uznają, że jesteś godna zaufania, że chcesz sprawić jednemu z pensjonariuszy... dzieci...

przyjemność, zabrać na wycieczkę. Zabrałam ją do zoo, musicie pokazać Nickiemu maleńką fokę, która właśnie się urodziła... była zachwycona. Uznałam, że ona nie może dalej mieszkać w zakładzie, choć wcale nie jest zły. Dzieci zarażone wirusem HIV rzadko bywają adoptowane. Już ją wypuścili. Jest u mnie. Zaadoptuję ją.

– Coś ty zrobiła? – Paul natknął się na miejsce w życiu matki, do którego nie ma dostępu. Nie widzi jej w tej roli.

– Uczę się. To dopiero przeżycie. – Lyndsay unosi brwi, pogodna. – Możecie sobie wyobrazić, jak zachwycona jest Primrose. Zajmuje się małą, gdy jestem w kancelarii i w sądzie.

Matka Paula daje im czas na milczenie, pogodzenie się z tym, co zrobiła. Syn towarzyszy jej w ogrodowej kwarantannie, są posągami upamiętniającymi chwile, gdy tam zamieszkiwali.

– Jak Adrian to... A co z Adrianem?

Lyndsay jest sam na sam z Paulem, od czasu kwarantanny zawsze będą mogli skorzystać z tej możliwości, z dala od obecności innych.

Te słowa, rzucone przez niego.

– A co z Adrianem?

Wróciła do tego przytułku dla dzieci pewnej soboty, gdy przechodziła obok sklepu z zabawkami w centrum handlowym i zwabił ją widok ubranych w dżinsy, antropomorficznych niedźwiedzi, małp i lampartów na wystawie. Nickie miał takie przytulanki. Gdy towarzyszyła swojemu znakomitemu świadkowi w wędrowce po rzeczywistości przytułków, były tam drabinki, na których zauważyła jakieś wspinające się dzieci, ale czy były też takie zabawki, osobiste dziecięce skarby. Kupiła kilka i pojechała podrzucić je w podupadłej dzielnicy miasta, w której mieścił się zakład opiekuńczy. Jego wystarczająco duzi, by chodzić lub przynajmniej siedzieć, pensjonariusze jedli kolację przy stolikach odpowiedniej wielkości. Mała dziewczynka, którą zapamiętała z pierwszych odwiedzin, poderwała się z miejsca, zrzucając jakąś breję z talerza, i przybiegła do zabawek, nie do kobiety; niespiesznie przyjrzała się niedźwiadkowi, lampartowi oraz małpie i ostrożnie wybrała małpę. Inne dzieci podniosły krzyk.

Czy przyniesienie luksusowych zabawek do miejsca, w którym mieszkało – jaką liczbę podała Charlene? – ponad trzydzieścioro niemowląt i dzieci, liczba ta wzrastała i malała, gdyż niektóre umierały a kilkoro, tych zdrowych, mogło trafić do adopcji, było nierozsądne? Czy pokłóciłyby się o prawo posiadania? – rozpoznana przez Lyndsay dziewczynka odbiegła z małpą. Ludzie mający najlepsze intencje mogli się mylić.

Lyndsay wróciła tydzień później, już nie z prezentami, które najwyraźniej mogły spowodować kłopoty, stworzyć będący kością niezgody przywilej – trudno w demokracji niezbędnej w takim miejscu wyobrazić sobie dziecko niemające żadnego – żeby zapytać, czy może zabrać właścicielkę małpy do zoo, żeby zobaczyła te prawdziwe. Dowiedziała się, że dziewczynka przebywa w ośrodku opiekuńczym od wielu miesięcy, że znaleziono ją w zbyt młodym wieku, by mogła wiedzieć, czy ma imię; personel nazwał ją Klarą. Poznając cechy, dzięki którym dziecko stało się tym, kim było, Lyndsay (nie można by tego wyrazić mniej niezdarnie?) otrzymała

pod rozwagę wspaniała tajemnicę osobowości, to, jak może na nią wskazywać położenie nosa, zmieniająca się podczas mówienia linia ust (to małe stworzenie prawie nie milknie, niespójna koherencja jakiegoś afrykańskiego języka, którego znajomość zdobyła, ucząc się mówić, oraz angielszczyzna, w której nauczyła się być posłuszną od opiekujących się nią białych pracowników Armii Zbawienia). Oto mała, stwarzająca siebie istota. Dystyngowana kobieta – może polityk lub ktoś taki – która wróciła do ośrodka po pierwszej wizycie w towarzystwie Charlene, stała się dobrą znajomą major Armii Zbawienia i pozwolono jej zabierać szczęśliwą Klarę na weekendy, później zaś uznano za oficjalną opiekunkę małej. Łóżko, wolne miejsce dla jeszcze jednego dziecka, urodzonego nie w żłobie, ale w toalecie publicznej. Lepiej nie pytać, co czeka tę małą dziewczynkę, jeśli ta pani się nią znuży. Lyndsay bowiem również nie wiedziała, co dalej – z nią samą, z dzieckiem. Tymczasem zaś nie mówiła Paulowi i jego rodzinie o swoim gościu (podopiecznej?).

Własne motywy były dla niej samej podejrzane. Później przestały ją obchodzić, bo ona i ta obca istota o jaskrawo odmiennym „ja”, niebędąca już obcą, wiodły wspólne życie. Przyjęto ją do przedszkola, co rano Lyndsay podrzucała ją tam w drodze do kancelarii, a popołudniami Primrose dbała o to, by biegle władała językiem ojczystym. Lyndsay wspomniała nawet jednemu koledze, że opiekuje się czymś czarnym dzieckiem; tego rodzaju tymczasowa sytuacja nie zdarzyła się po raz pierwszy w społecznych dziejach ich prawniczej praktyki – przynajmniej zdarzała się w latach apartheidu, gdy klienci bronieni przed zarzutem zdrady stanu nie mieli czasem innego wyboru, niż zostawić dziecko bez opieki. Istniała spora szansa, powiedział lekarz pediatra, do którego Lyndsay zaprowadziła małą, że wkrótce organizm sam skoryguje wyniki testu na obecność wirusa; liczba krwinek rosła w obiecujący sposób. To odroczenie wyroku mogło nastąpić tylko u dzieci. Tak więc zapadła tymczasowa decyzja, nie wybiegaj dalej w przyszłość. Lyndsay napisała jeden z listów, jakie co pewien czas wymieniali między sobą, przypominający konwencjonalne listy do cioć i innych krewnych, których pisanie uczono w szkole. Informowała w nim, że

Paul lata helikopterem, kontrolując sytuację po okropnych powodziach w Okawango, i relacjonowała postępy Nicholasa pływającego kraulem zamiast pieskiem, zaczynającego liczyć do dwudziestu pięciu i rozpoznawać poszczególne słowa w historyjkach dla dzieci. (Sobie opowiadała, że Klarę, potrafiącą już nawlekać na sznurek na przemian czerwone i białe koraliki, trzeba powstrzymywać przed próbami wdrapywania się na palisander w ogrodzie, że w wieku dwóch i pół lub trzech lat upiera się również przy tym, że nabierze wprawy w posługiwaniu się widelcem.)

Dla kogoś, kto zajmował się tymi sprawami, pytania o procesy adopcyjne są normalną drogą, żeby się dowiedzieć, że dziecko lepiej oddać komuś, u kogo mogłoby dorastać w towarzystwie rodzeństwa, ojca i matki. Naprawdę nie pamiętała, w którym momencie, zaznajamiając się z procedurą, sama złożyła wniosek o adopcję. Proces adopcyjny nie jest prosty, nawet w wypadku dziecka nieznanego pochodzenia, porzuconego nie wiadomo przez kogo. Nadszedł jednak czas, by poinformować syna i jego rodzinę.

Czy matce Paula należało zaproponować, żeby przyjeżdżając do jego domu, gdzie był Nickie, przywiozła ze sobą dziewczynkę? Lyndsay ta wzbudzająca podziw racjonalistka z dyplomem prawnika (Berenice należy do osób zubożających język ojczysty, dzięki którym ten epitet tak samo nie jest w stanie wywołać skojarzeń religijnych, jak słowo „pieprzyć” nie jest w stanie szokować), nie tylko postanawia w swoim wieku i w swojej sytuacji adoptować małe dziecko, ale jeszcze musi mieć takie, które jest zarażone „tą” chorobą. Czy ktokolwiek naprawdę wie, czy może ona być przenoszona inaczej niż przez kontakty seksualne lub przez krew? Jeśli przez krew, to co się dzieje, gdy dwójka dzieci bawi się razem i dochodzi do zadrapań, kontaktu z krwią. Nickie, choć jeszcze mały, jest chłopcem dość nieokrzesanym. Benni/Berenice – wszystko trzeba brać pod uwagę – postanawia taktownie wstrzymać się od przyjmowania takich wizyt do powrotu Paula. Dzięki zmianie spowodowanej w pewien sposób kłopotami z Adrianem, zna Lyndsay na tyle dobrze, by sądzić, że zrozumie, że nie będzie tego komentować w rozmowie z Paulem.

– Dziecko przyjęto do przedszkola. – Paul przypomina swoją matkę, polega na materiale dowodowym, bez względu na to, czy chodzi o ochronę przyrody gdzieś na końcu świata, czy o ich życie osobiste.

– Nie wszystkie przedszkola to robią. Była nawet jedna sprawa... jakaś kobieta poszła do sądu, gdy nie przyjęto jednego dziecka. Dyrekcja przedszkola zwróciła uwagę, że bardzo małe dzieci gryzą, gdy wpadną w złość.

– Ile lat ma dziewczynka?

– To nie jest pewne, około trzech. Przypuszczam, że oceniają to po zębach, a przecież nie wszystkie wyrzynają się równie szybko. Nickiemu wyrzynały się wcześniej.

Paul widział, że Benni nie była szczególnie zaskoczona, speszona jak on, gdy matka wyskoczyła z tym tuż przed jego wyjazdem do zalanego Okawango, które teraz było sceną w niezatartej wyobraźni, powidokiem w jego świadomości. Nie potrafił ocenić tego czynu. Lyndsay chyba nigdy zbyt nie lubiła dzieci – zachowywała coś w rodzaju prywatności nawet w stosunkach z czworgiem – które urodziła (czy to nie Adrian właśnie potrzebował rodziny, a teraz zostawił je jej), i nie pożerała wzrokiem swoich wnuków ani nie przemawiała do nich pieszczotliwie, choć jej kontakty z Nickiem były dość sympatyczne, chłopak bardzo lubił tę szczególną przyjaciółkę.

Benni wydawała się rozbawiona jego konsternacją. Dzikie obszary są środowiskiem dziewiczym bez względu na to, co Paul tam odkrywa, nie wie, co się dzieje w prawdziwym świecie. Nie wie, że adoptowanie czarnego dziecka lub sieroty, na przykład z Sarajewa lub z Indii, stało się bardzo modne. Mogłaby go zapewnić, że to czegoś dowodzi, ale w wypadku Lyndsay nie potrafi odgadnąć, czego.

Widzi, że Paul nie będzie się sprzeciwiał – jest przekonany, że cokolwiek matka postanawia, jest słuszne. Z powodu Nicholas: Paul nie przesądza, ze względu na niego. Benni powinna, ma ochotę – pieprzyć go, jeśli nie stawia swojego dziecka na pierwszym

miejscu, ponad wszystkimi sierotami świata – zaatakować go ze złością, ale tego nie robi. W jego życiu poskładanym na nowo, odkąd trafił do starego domu, niedotykalny, między nim a kobietą, która jest jego matką, pozostaje, w głębi duszy, coś, co wyklucza innych. Paul jest tutaj, w sypialni, ale granice są wytyczone.

Bez względu na to, czego jego matka chciała dowieść, adoptując na starość, na własną rękę dziecko, które może umrzeć i które mimo biegłości chirurgów zapewne utraciło fizyczne możliwości dojrzewania z narządami przysługującymi z urodzenia kobiecie – lechtaczką, wargami sromowymi i pochwą – wybór Lyndsay nie należy do łatwych. Ta bystra i zniewalająca dziewczynka jest nad wiek i wzrost uparta, potrafi manipulować, popisywać się w blasku wymuszonej uwagi, po czym na następne pół godziny gniewnie zamknąć się w sobie.

– Po prostu niegrzeczna. – Opiekunka/babcia śmieje się nawet wtedy, gdy mała wyprowadza ją z równowagi.

Kto wie, czy wirus ukradkiem nie prześladowuje tego dziecka, podobnie jak wędrowne komórki mogą nadal ukrywać się w krwiobiegu Paula. Jego matka ma wyniesione z jego kwarantanny doświadczenie w interpretacji prognoz, sprawdzaniu, czy spełniają się w ich pozytywnym lub negatywnym sensie. I jak wtedy, w tej innej niepożądanym przemianie rodziny – Adriana nie ma, ktoś inny powiększa jej szeregi – jakoś ustanawia, tworzy znamiona zwyczajności z niewiadomej, z tego, co nierozwiązane. Co, jak z pewnością dowiedziałeś się na przykładzie rozwiązań ekologicznych, jest warunkiem istnienia? Nie jest? Czy wynagradza sobie brak, utratę jego, Adriana? Czy on wróci? Czy też karze go, pokazując, że dokonuje śmielszych niż on wyborów, posuwając się aż do demonstracji (po prostu) skrajnego wyboru moralnego, biorąc do siebie jakieś dziecko – nie osierocone, lecz, co gorsza, porzucone i (czyn jeszcze bardziej nieludzki) będące ofiarą gwałtu, zarażone chorobą, a jednocześnie całkowicie niewinne? Czy matka Paula się popisuje, żeby karać, tak jak popisywanie się i napady szału, nieposłuszeństwo tego zalotnego niby-dziecka o wielkich oczach i delikatnych ustach jest karą kogoś, kto ją spłodził, porzucił, wtargnął w jej małe ciało i rozerwał je, umieścił w nim wirus.

Lyndsay zabiera Nickiego i Klarę do ogrodu zoologicznego. Klara żąda: „Foga, foga”, i Lyndsay poprawia małą. Dwójka dzieci zaczyna skandować: „Foka, foka!” Inni zwiedzający uśmiechają się na widok tej scenki, przyjemnie łagodząc swoje poczucie winy z przeszłości, gdy zoo było otwarte dla czarnych tylko raz w tygodniu, a czarne i białe dzieci nie śpiewały razem.

Czy jego matka czuje na sobie wzrok Adriana patrzącego gdzieś z fiordu – gdziekolwiek jest – stratosfery, którą tworzy jego nieobecność? Czy on uważa te wydarzenia w jej życiu za wyzwanie?

Czy też Lyndsay w ogóle nie myśli o mężu, będąc w zoo z wnukiem i swoim dzieckiem? Nie wtedy, gdy razem z Klarą przyjeżdża w weekendy do domu syna – miło, że Nickie ma towarzyszkę zabaw, która oczywiście jest częścią rodziny. Adrian wyjechał z Meksyku. Nie po to jednak, żeby wrócić do domu. Kiedy siedzą razem przy stole, stole Paula i Benni, który teraz, gdy Lyndsay nie nakrywa do stołu w starym domu Bannermanów, stał się stołem rodzinnym, odsuwają od siebie myśl, że stoi przy nim puste krzesło. Najwyraźniej postanowili uszanować wybór ojca, osobisty wybór Adriana. Prawa człowieka wykluczają ckliwą sentymentalność jako bezużyteczną, a skrywanie, że to boli, jest bardziej uzasadnione. Adrian jest w Norwegii ze swoją byłą przewodniczką. Mieszkają w Stavanger – jednym z miejsc na północy, do których on i Lyndsay nie dotarli. „Hilde ma tam siostrę. Zajmuję mieszkanie w jej starym rodzinnym domu, mam widok na port” (Adrian pisze w pierwszej osobie liczby pojedynczej, nie używa słowa „my”). Oczywiście Lyndsay zapewne odpisuje mu w odstępach odpowiadających przerwom między jego listami. Czy powiedziała mu, czy pisze o Klarze? Poinformowała go chyba, że komisja sądowa powołała ją w szeregi sędziów? Niebawem ma otrzymać nominację. Syn gryzie się w język, żeby nie powiedzieć: „On byłby z ciebie taki dumny”. Usprawiedliwiona silnymi emocjami swoboda, która pozwoliła mu na słowa: „On zawsze tak bardzo cię kochał”, znikła. Adrian jest w Stavanger, przeszedł na emeryturę, przypuszczalnie zapisuje swoje refleksje po obejrzeniu – co to było? – wykopanych z

ziemi świadectw osiągnięć z zamierzchłej przeszłości, żyjąc w epoce broni, która mogłaby ją obrócić w nicość.

Nickie i Klara dobrze się dogadują, rywalizując ze sobą w sposób typowy dla małych dzieci, dziewczynka stawia twarde opór starszemu chłopakowi. A gdy on w odwecie ciągnie ją za coś, czym sam nie dysponuje, za jej ułatwiające mu atak dredy (Primrose upiera się przy ich splataniu, żeby przystroić modną małą Murzynkę), Klara piszczy żałośnie o pomoc jak kiedyś jego towarzysz zabaw, który przygwożdżony do trawy, wrzeszczał, że gryzie go robal. Paul i Benni nie rozmawiali więcej o „stanie” zarażenia dziewczynki wirusem, w istocie ten ogólnie przyjęty eufemizm usuwał niewielką – niedowiedzioną? – możliwość zakażenia przez krew wskutek zetknięcia się podrapanych kolan. Dopiero wtedy, kiedy zmagania kotłującej się i dokazującej dwójki stają się zbyt intensywne, w sytuacji bez wyjścia, gdy bokser zostaje przyciśnięty do lin ringu, Paul i Benni zderzają się ze sobą, spiesząc, żeby ich rozdzielić. Lyndsay przycina dziewczynce paznokcie bardzo krótko: czy to dla higieny, czy dla zabezpieczenia, do wiary w skuteczność, którego nigdy by się nie przyznała.

W porządku, zoo. Dzieci z miasta dowiadują się tam o swoim istnieniu – współistnieniu – ze zwierzętami innymi niż koty i psy. Gdy Nicholas będzie starszy, zabieraj go ze sobą na misje robocze. Minie jeszcze kilka lat, to nie są warunki dla małych dzieci, ale dla jedenasto- lub dwunastolatków, wtedy będzie odpowiednia pora. Dzieci czerpią szersze pojęcie o środowisku naturalnym z telewizji – czy Benni rzeczywiście sadza chłopca przed telewizorem podczas emisji programów przyrodniczych, jak powinna, zamiast pokazywać mu sagi o potworach i bohaterach, których bierze za swoje ożywione kosmiczne zabawki. To nie to samo, co oglądać żywe stworzenie, czuć zapach jego skóry i sierści; ogród zoologiczny zapewnia przynajmniej tyle. Ale dzieciństwo nie tylko w ogrodzie dostarcza sygnałów tego, co będzie decydujące w wieku dojrzałym. Paul pamięta niezwykle ponury obraz, podobny do obrazów z nocnych koszmarów, lecz nieznikający z nadejściem ranka i z upływem czasu – orzeł w tym samym zoo, w którym jego matka sprawia przyjemność następnemu pokoleniu, usadowiony w klatce o kamiennych ścianach i niskim stropie. Przerazająca wizja w przeczuciu czegoś, co dopiero po latach zrozumiał, poznał i co stało się jego udziałem: rozpacz. Uwięziony w klatce orzeł stał się metaforą wszystkich form odosobnienia, tego największego w więzieniu.

Benni wzrusza ramionami, co wprawia w ruch jej piersi. „Ponurak, nie wszyscy mogą korzystać ze swobody dzikich obszarów”. On w każdym razie milknie, w innym miejscu, gdy ona (ponownie) proponuje wyjazd do rezerwatu dzikich zwierząt prowadzonego przez jednego z klientów agencji – żadnych klatek, cudzoziemcy pokonują samolotami tysiące mil, by się nim zachwycać. Znowu zasugerowała pobyt w rezerwacie, tym razem w towarzystwie jego matki i Klary, podczas weekendowej ucieczki za miasto; te piękne, na wpół dzikie obszary są przedstawiane w materiałach reklamowych agencji. On z roztargnieniem odpowiada tylko, że dzieci są za małe, by spędzać wiele godzin w samochodzie terenowym. Do tego trzeba mieć wytrzymałość Japończyków. I

rozśmiesza tym Benni. Dzięki – jakich oni mają bogów? – za Japończyków, bo stanowią podstawowe źródło dochodów naszej branży turystycznej.

Istnieje jedno miejsce, w którym ten orzeł z jego wspomnień, jego gatunek, zachował wolność. To jest nieodległy cel wycieczki dla dzieci, dla rodziny, należnej im od zbyt często nieobecnego ojca – jego dzikie obszary.

Orzeł czarny, *Aquila verreauxii*, rozmnażał się przy urwisku nad wodospadem od tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Te obdarzone silnym instynktem terytorialnym ptaki o masie około pięciu kilogramów i rozpiętości skrzydeł do dwustu trzydziestu centymetrów są jednymi z największych i najwspanialszych orłów Afryki. Parę czarnych orłów zamieszkujących na obszarze Roodekrans widuje się przez cały rok. Spędzają czas, polując, szybując, odprawiając gody lub przesiadując na ulubionych grzędach, gdzie odpoczywają i czyszczą pióra. Żywią się górkami przyładkowymi, zającami i perliczkami. Ich okres rozrodczy zaczyna się na przełomie marca i kwietnia, gdy wybierają jedno z dwóch miejsc lęgowych. Z patyków jest budowany kielich gniazda, który zostaje uzupełniony ulistnionymi gałązkami. Tworzą one miękką wyściółkę przed złożeniem jaj, co zwykle następuje w maju. Podczas odnawiania gniazda samiec efektownie wabi samicę. Para orłów kojarzy się na całe życie, nowego partnera biorą sobie tylko wtedy, gdy pierwszy umiera.

Paul odczytuje tekst z ulotki zabranej przy wjeździe na teren parku, po części będącego ogrodem botanicznym dla rodzimych gatunków, a po części środowiskiem ochronnym dzikiej flory i fauny. Dwójka małych dzieci ani go nie słucha, ani nie rozumie – ta informacja jest dla niego, Lyndsay i Benni; Nicholas i Klara są po prostu podekscytowani, jak na początku każdej wycieczki. Czy wiedzą, co to jest orzeł?

– Zobaczycie baaardzo dużego ptaka.

Lyndsay próbowała nadać temu ekscytującemu przeżyciu szczególny charakter, ale zakres zainteresowania tej dwójki, dla której świat przyrody stanowi nowość, jest szeroki i przyziemny – uciekające przed nimi barwne motyle i wypatrzona przez Nickiego gąsienica, połączona przegubowo niczym wagony miniaturowego pociągu. Paul ostrożnie podniósł ją z liścia, rozchylił dłoń chłopca i na oczach protestującej Berenice położył na niej delikatnie. Zwrócił się jednak do Benni, matki chłopca. Nie wolno go uczyć obawy przed wszystkim, co nie jest ludzkie ani oswojone. „A gdyby to przypadkiem był skorpion?”. To element zdobywanej wiedzy: nauka rozpoznawania, co jest szkodliwe, a co nie jest.

„Umiejętności przydatne w życiu”, ten termin byłby dla niej zrozumiały. Paul nie oczekuje też – ani nie chce – by ktokolwiek zrozumiał, że to, co potrafi wyrazić w prosty sposób, nie posługując się swoim żargonem, jest (po prostu) zasadą jego profesji, nosi nazwę ekologii.

Okazuje się, że Lyndsay wie o dziwnych posagowych roślinach więcej od niego. O takich naroślach mawiano, że mają księżycowe kształty, teraz jednak wiadomo, że na Księżycu nic nie rośnie, nie ma porównania z nicością. Lyndsay potrafi wymienić nazwy liści przypominających pośladki – słoniowata szara kępa to pustynny gatunek z Namibii, który przechowuje wodę w swoim cielsku, żeby korzystać z niej podczas długich lat suszy. W okresie, gdy negocjowano warunki namibijskiej niepodległości, Lyndsay przebywała tam jako członkini zespołu prawników i Sam Nujoma osobiście załatwił jej wyjazd na pustynię (nie żeby Paul i jego żona wiedzieli lub mogli pamiętać, kto był pierwszym prezydentem tego niepodległego kraju).

W każdym doświadczeniu, zawodowym lub innym, zawsze jest jakiś oderwany od całości aspekt. Proces negocjacyjny podciągnięty pod kategorię „historii, która jest wspomnieniem”; zawiera się w niej tożsamość jakiejś dziwacznej narośli, dostępna, nazwana.

Gdy uczestnicy rodzinnej wycieczki wloką się ścieżkami prowadzącymi do wodospadu, który słyhać, ale którego jeszcze nie

widać, z jego szmerem dobiegają słowa: „Myślałem, że zamierzasz mi powiedzieć, że odchodzisz”.

(Goniące za sobą lub za motylami dzieci objają się o uda dorosłych jak o pnie drzew.)

Nic więcej nie wynika z tego stanu istnienia i to zrozumiałe, skoro wówczas był on tak ostateczny A do rozstania nie doszło. Skojarzeni na całe życie. Romans skończony Sprawa zamknięta, przez wiele lat nikt jej nie wznawiał. A teraz jest zupełnie inaczej – nie, daj spokój, przyznaj to – to samo, została ponownie otwarta. „Mam sześćdziesiąt pięć lat i nie przypuszczałem, że może dojść do tego, do czego doszło między Hilde a mną”. Dziecko wybrane jako czarna, zhańbiona, zarażona, bezimienna dziewczynka; doszło do czegoś jeszcze. Jeden ze stanów istnienia. Idąc, Paul bierze kolejno każde dziecko, żeby je huśtać. Jej syn wyszedł z kwarantanny i chyba zawładnął nim jakiś nowy stan.

Nagle ich oczom ukazuje się srebrzysty lambrekin spływający po ciemnej skalnej ścianie. Dzieciom nie wydawało się to tak zaskakujące, być może dla nich to woda do kąpieli tryskająca z olbrzymiego kranu. Gdy wszyscy podeszli bliżej, ściana stromego urwiska, pęknięta nierówno obok wodospadu, przesłoniła im niebo: koniec marszu. Między wzgórzami porośniętymi krzewami, przed stawem, do którego wlewała się cichnąca w nim woda, rozciągał się trawiasty płaskowyż. Teraz spadająca gwałtownie woda była biała i tworzyła bystre ciężkie pasma, gdzieś spływała cienkimi strugami, wokół błąkał się szyfon mgły, a narastający szum powodował zagłuszające wszystko dzwonięcie w uszach. Klara tańczyła, zakrywszy je dłońmi. Cóż, to nie Niagara, ale robi spore wrażenie. Pochwała Benni pod adresem Paula, jakby to on stworzył ten spektakl.

Paul musi znaleźć orła. Stada małych ptaków upstrzyły niebo nad urwiskiem. Co chwila badał je wzrokiem i odkrył dwa gniazda, o ile czarne gałązki beładnie ułożone na występach w skale były gniazdami. Benni poczekała na swoją kolej przy lunecie zainstalowanej dla zwiedzających i doniosła, że zgromadzeni wokół ludzie

potwierdzili, że to gniazda. W czasie, gdy Paul ustawiał ostrość na czymś, co wydawało się jedynie ogrodową zwietrzeliną, jego spojrzenie przyciągnął nagle obiekt zasłaniający lewe obrzeże pola widzenia. Orzeł – nie skulony daleko w rozpaczy, ale z połyskującym żaglem wielkiego czarnego skrzydła. Paul zawołał do pozostałych, matki, żony, i stojąc na ugiętych nogach, z głową wieńczącą łuk pleców śledził lot ptaka, wystarczająco potężnego, by rzucić wyzwanie niebu, dorównującego mu wielkością. Już to czarny, nierozpostarty płaszcz, już to ogromny, czarny szybujący latawiec, kreślił arabeski z drugim orłem; nurkowały w powietrzu i wzbijały się wielkim kręgami, przez chwilę jedno z rozłożonych skrzydeł, niczym przyłożona do czoła dłoń, zasłoniło nawet słońce. Gdy ukazało się podbrzusze tego fruwającego pocisku, błysnęła biel, ale upierzone ciało, ledwie widoczne, podobnie jak haczyk głowy, nie miało znaczenia, to skrzydła były istotą maestrii tego stworzenia. To Lyndsay zauważyła ulistnione gałązki, opisane w ulotce, w nieładzie – z punktu widzenia oglądającego, nie ptaka – gniazda z prawej strony. Skrzydła nocy nadal sunęły poziomo i raz po raz nurkowały na tle pobladłego od słońca nieba; później następowało lądowanie, przeobrażająca maestia orła znikwała, upadała w ptasim ciele. Gdy orzeł gotował się do lądowania na gnieździe, w którym z pewnością nie mógłby się zmieścić, wydawał się zbierać w sobie, niemal składać, została tylko głowa i sterczący dziób. W powietrzu głowa nie miała znaczenia. Liczyły się jedynie skrzydła. Kierowała nimi chyba tylko łatwość sterowania prędkością własnych ruchów, władza nad powietrzem i przestrzenią. Paul podstępnie zajął miejsce z przodu małego zgromadzenia przed lunetą. Głowa ptaka zwrócona prosto na niego, przybliżona przez szkło soczewki. Płaska i ciemna, mieszcząca wielkie, czarne, wypolerowane kule oczu w złotej oprawie, kule przedzielone szerokim białym bułatem z czarnym haczykiem na końcu. Nos, dziób – nie sposób w całości ogarnąć wzrokiem rysów jakiegokolwiek twarzy – jeśli to stworzenie w ogóle ma coś, co można by nazwać twarzą, jest widoczny jako pewien rys twarzy. (Usta, oto co Paul zawsze widzi u kobiety.) Istota ta, zwana orłem, obraca swój ptasi łeb. Widoczna z profilu, niemal wrośnięta w szyję i szerokie ramiona skrzydeł głowa potwierdza trafność tej definicji: wymowne

zakrzywienie nosa-dziobu, narządu zmysłu i broni. Jak to jest, że mocno zakrzywione nosy Semitów, Żydów i Arabów budzą pogardę u innych osób jako nieestetyczne, skoro łączy je pokrewieństwo z innymi gatunkami, z tym wspaniałym orłem? Złożywszy skrzydła, samooswojone stworzenie jakoś sadowi się na swoim prokrustowym łożu z gałązek, niektóre z nich spadają, gdy orle szpony (po raz pierwszy zauważone przez Paula) wysuwają się i cofają w poszukiwaniu oparcia. W spektrum gatunków przypominają one guzowatą, zakończoną wypustkami skórę rąk bardzo starych ludzi, zachowują jednak zdolności, których ręce nigdy nie miały.

Lyndsay sprowadziła dzieci do niskiej drewnianej barierki na skraju stawu. Czy szmer wodospadu jest głośniejszy, czy stłumiony przez nawis urwiska i obecność napierających wzgórz – ogarnia ją wraz z niedostrzegalną mgiełką raczej, niż dociera do uszu. W domu sędziego, którego koleżanką po fachu Lyndsay ma właśnie zostać, odbyła się kolacja, posadzono ją przy stole jako osobę stanu wolnego, tak jak umieszcza się takich gości, obok innego najwyraźniej samotnego gościa, w nakazanym przez protokół porządku mężczyzna-kobieta. On jest emerytowanym sędzią z innego regionu (omal nie wyznaczono jej za partnera kogoś młodszego). Rozmawiają o polityce, ostatnich wyborach i mianowaniu kobiety na ministra sprawiedliwości przez prezydenta. Jeśli mężczyzna zakłada, że jego sąsiadka przyjmuje tę nominację z zadowoleniem, ponieważ sama jest kobietą, to bez wątplenia czeka go niespodzianka. Oto jej wkład do zgodnego chóru komentarzy przy ozdobionym kwiatami stole:

– Chwałę tego ministra nie dlatego, że podobnie jak ja jest kobietą, ale dlatego, że ma wyjątkowo dobre kwalifikacje do kierowania tym resortem. Gdyby to był mężczyzna o takich samych referencjach, wznosiłabym toast za jego zdrowie.

Rozległ się śmiech i brawa kilku mężczyzn, a jakaś kobieta przeszła ją ostrzem spojrzenia. Nikt jednak nie mógł kwestionować poglądów tego sędziego-elekta na prawa człowieka.

Klara i Nicholas szarpią za listwy barierki i trzeba ich poskromić. Klara jest zła: „Pływać! Pływać! Pływać!”. Nowe słowo, przyswojone podczas nauki pływania w towarzystwie Nickiego. Dwaj mali chłopcy machają ciemnymi zwinnymi nogami, przebierając nimi w wodzie na skraju stawu, mimo że widać tam znak wskazujący, że jest to zabronione, zakaz zlekceważony przez trzy spokrewnione z nimi kobiety (dwie w hidża-bach). Nie miało sensu wyjaśnianie, nawet synowi Paula, że nie wolno niczym zakłócać spokoju tego siedliska. Klara zaczęła zbierać liście i wrzucać je do stawu, ale na szczęście ani razu nie trafiła.

Prawdopodobnie właśnie ta uwaga o nominacji ministerialnej sprawiła, że emerytowany sędzia bardziej zainteresował się swoją partnerką, z którą wdał się w luźną rozmowę, zanim temat ten ożywił gości. Pewnie się dowiedział, że Lyndsay niebawem ma zostać sędzią – zabezpieczenie ze strony pana domu przed zakłopotaniem towarzyszącym pytaniu: „A czym się pani zajmuje?”. Usłyszał coś jeszcze, jeden z tych użytecznych strzępów informacji, które pozwalają nawiązać konwersację. „I interesuje się pani archeologia, wszyscy w tym fachu potrzebujemy jakiejś ucieczki, wiem o tym aż nadto dobrze”. Nie, archeologia to konik jej męża, a ponieważ małżonka nie było na miejscu zajętych przez emerytowanego sędziego, rzuciła mimochodem wyjaśnienie: „Zwiedza teraz stanowiska archeologiczne w Meksyku”. Żywość trwającej nadal dyskusji o polityce położyła kres temu tematowi.

Z łatwością wyszło na jaw, że mają wspólne poglądy na sądownictwo w ich zmienionym kraju, a intrygującą okolicznością było to, że on oceniał swój udział w wymiarze sprawiedliwości w warunkach ustawodawstwa apartheidu, a ona miała właśnie wejść do zawodu w demokratycznym państwie. Miał zatem lat siedemdziesiąt lub siedemdziesiąt kilka; nie próbował zaczesywać ostatnich kosmyków siwoblond włosów na łysą głowę nad stromym czołem, był wysoki i wyprostowany, wyglądało na to, że nadal ma swoje zęby. Spotykali się przy innych stołach w restauracjach, gdzie później zapraszano ich na kolacje. Czemu nie. Jest kolegą, który poza z powodzeniem zakończoną pracą interesuje się teatrem i wystawami

dzieł sztuki, nie z powołania, ale po prostu dla rozrywki. Opowiada o żonie, która zmarła przed dwoma laty. Lyndsay, w przejawie wykluczającej poufałość otwartości wobec kogoś jej pokroju, swojego kolegi po fachu, uznała za stosowne powiedzieć mu, że rozstała się z Adrianem Bannermanem. On nie nagabuje jej pytaniami.

Teraz Lyndsay dowiaduje się od przyjaciółki, że chce się z nią ożenić. Zaledwie wczoraj, podczas rozmowy telefonicznej z kobietą, której telefon służy do spowiadania się z osobistych decyzji i interesowania się decyzjami innych. Mężczyzna „jest w niej zakochany”. W jego wieku, ponad sześćdziesięciu pięciu lat, kiedy to się jednak zdarza, może się zdarzyć. Nie poszli jeszcze do łóżka.

Lyndsay podnosi Klarę – ten swój wypadek, wybór – żeby odwrócić uwagę dziecka, pokazując jej dużego czarnego ptaka spokojnie usadowionego na skale.

Ożenić się z nią. Czy dla starzejącego się mężczyzny kobieta staje się znowu dziewczycą? Właśnie dlatego najpierw pojawia się pogłoska przygotowująca na niespodziewany, namiętny pocałunek zamiast kulturalnego cmoknięcia na dobranoc, wymienianego między świeżo zaprzyjaźnionymi ludźmi, który jakoś zniosła – daj spokój, sprawił ci trochę przyjemności – przypisując działaniu wypitego do kolacji wina. W jego wypadku nie należało tego przypisywać wpływowi alkoholu, ale chęci zademonstrowania przekonania o swojej – nieutraconej – sprawności miłosnej. Pomysł z małżeństwem to przejaw swego rodzaju subtelności, preludium (przecież oboje nie są już młodzi) do zbliżenia miłosnego.

Klara szarpie się, nie interesuje jej coś, czego nie można chwycić, co jest daleko.

Szum wody jest tak głośny, że zagłuszyłby ludzki krzyk. Nie można jednak krzyczeć tutaj, w parku przyrody, ani w Stavanger.

Szaleństwo wieku średniego – jak dawno, po czterdziestce. Ale później wspólnie przeżyty czas i ostatni raz w ogóle. Adrian.

Ostatni mężczyzna we mnie.

Skojarzeni na całe życie.

Klara uwalnia się z jej objęć.

Matka ponownie dołączyła do syna, odczytującego swojej żonie pozostałe informacje podane w leżących na ławce ulotkach. Tylko dwa jaja, to cały orli lęg. Nastąpi w przyszłym miesiącu, w czerwcu. Z pierwszego złożonego jaja wykluwa się pisklę, a mniej więcej po tygodniu lęgnie się drugie. Dwa pisklęta o imionach Kain i Abel. Pierworodny, Kain, jest już duży, gdy Abel wychodzi ze skorupy. Kain i Abel walczą ze sobą i na ogół to Abel ginie i zostaje wyrzucony z gniazda. Ocalały zwycięzca jest karmiony przez oboje rodziców mniej więcej do grudnia, gdy potrafi już latać... po pięciu latach osiąga wiek dojrzały i okrywa się czarnymi piórami... czas, by znaleźć własnego partnera i terytorium.

Kain i Abel. A co wtedy, gdy jedno z piskląt jest samiczką – bo chyba nie można nazywać jej samicą.

Benni/Berenice ma rację. Lyndsay próbuje odpowiedzieć:

– Przypuszczalnie ona też zostaje wyrzucona, to sposób na utrzymanie równowagi w naturze, Paul? Do reprodukcji zostaje dokładnie tyle samców i samic, ile potrzeba. Ale to okropne.

Gdy Paul opiera się na balustradzie nierównych stopni wyciosanych w urwisku, język trzymanej w dłoni ulotki nie jest w stanie opisać bytu oddalonej czarnej istoty na łożu z uschniętego drewna i tej drugiej, znikającej na niebie i powracającej pod postacią zagrożenia lub jako wybawienie za sprawą nieskończonej mądrości, tak jak mapy geodezyjne i raporty, które pisze, nie są w stanie opisać Okawango ani wydm Pondolandu. Nie chodzi o małość człowieka w zestawieniu z przyrodą. Idealizowanie tego, z czym zbyt trudno sobie poradzić. Kain i Abel. Stary Testament dostarcza lekcji pogładowej tutaj, w świecie zwierząt, u stworzeń, które są na zbyt niskim szczeblu rozwoju ewolucyjnego, żeby wykształcić etykę.

Z wyjątkiem etyki przetrwania.

Jeśli przecina się ośrodek endemizmu, wspaniały fenomen botaniczny, *n'swebu*, autostradą i wydłubuje z wyrzeźbionego przez morze wydmowego krajobrazu dziesięć milionów ton rud metali ciężkich i osiem milionów ton ilmenitu, czyż nie jest to etyka przetrwania? Czyż nie jest to industrializacja? I czyż uprzemysłowienie, eksploatacja (określana tym terminem tylko w jego pozytywnym znaczeniu) naszych bogatych zasobów nie służy rozwojowi gospodarki, poprawie sytuacji ludzi ubogich? Czym jest przetrwanie, jeśli nie położeniem kresu biedzie? Zobowiązano się do tego w dniu inauguracji trzeciego rządu demokratycznego państwa: do położenia kresu ubóstwu. A skoro Abel musi zostać wyrzucony z gniazda przez Kaina – czyż nie służy to doskonalszemu przetrwaniu? Orzeł pozwala, by do tego doszło, jego potężne skrzydła nie mogą temu zapobiec. Przetrwanie. Dziesięć sztucznych zbiorników w jednej delcie widocznej z kosmosu. Cywilizacja szkodzi naturze, oto kredo na to, co robię, czym jestem. Zabezpieczać. Chronić. Ale czy to jest prawo przetrwania? „Ty chronisz, Szefie, i to ty ufasz naturze?”. Współistnienie w przyrodzie jest brutalnie ograniczone – Kain wyrzuca Abła z gniazda – wśród stworzeń, do których grona należymy jako zwierzęcy gatunek. Wiedza zdobyta podczas kwarantanny w ogrodzie dzieciństwa – że być może na wszystko, co czyni cywilizacja, żeby zniszczyć naturę, natura znajdzie rozwiązanie w skali czasu, którym nie dysponujemy (ulotka informuje, że kiedyś, niezliczone wieki temu, zanim nastąpiło wypiętrzenie skał, na tym obszarze było morze) – ta wiedza nie sięga dostatecznie daleko. Wykret. Cywilizacja w kształcie, w jakim jawi się w twoim przeciwstawieniu natury planom wydobywczym Australijczyków, dziesięciu sztucznych zbiornikom w Okawango, staje się dziecinną igraszką, fantazją, gdy dopuścisz pragmatyzm w przyrodzie. Nie ma sensu powracać do reproduktowanej fotografii jakiegoś słabeusza, strzępu życia, jakim jest Abel, i szukać jakiegoś rozwiązania.

Rodzinna wycieczka dobiega końca. W poniedziałek powrót samochodem terenowym na dzikie obszary z Derekiem i Thapelo, zgodnie z ustalonym tygodniowym planem badań, w których nigdy,

przenigdy nie ma ostatecznego rozwiązania. To właśnie jest warunek, pod jakim są i będą kontynuowane prace. *Phambili*.

Zbliżała się do niego Benni, na jej twarzy malował się wyraz krytycznej jasności umysłu osoby, która zastanawia się, dokąd dotarł w swoich rozmyślaniach. Berenice ma zatem dość kontaktów z przyrodą, przychodzi zasugerować, żeby wracali do domu.

Kiedy jednak dociera do niego, milczy Uwagę Paula i Benni przyciąga głęboki cień nad drzewami, których jaśniejsze cienie oraz światło słońca zmiękczają kontury twarzy i ciał obojga. Na niebie widać wspaniałą akrobację orłów, może to zaloty opisane w ulotce.

Orły wzniosły się na większą wysokość. Gałęzie drzew przesłaniają widok. Berenice cofnęła się o krok.

– Paul.

To sygnał, żeby podążył za nią. Wręcza jej ulotkę, pamiątkę z wycieczki.

– Jestem w ciąży Będziemy mieli jeszcze jedno dziecko.

– Jak to się stało?

Benni kręci głową delikatnie, z poczuciem winy. Nie dlatego, że spróbowała z innym mężczyzną, Paul rozumie okrucieństwo tego rozwiązania.

– Nie mówiłam ci, ale nie stosowałam żadnych zabezpieczeń.

– Więc... od jak dawna?

Jeśli wędrowne komórki przetrwały w jego ciele, może zdążyły już zniknąć, światełko zabójczego promieniowania, które – jak sądził – nie odstępowało ich na krok, mogło zgasnąć.

– Tylko przez ostatnie dwa miesiące.

– Cóż więc chcesz zrobić?

– Chcę ci powiedzieć.

„Więc” oznacza, że istnieje pożądana przez niego alternatywa: aborcja.

O ile twarz Berenice wykrzywiłby płacz, skuteczny w stosowanym przez telewizyjnych imagistów rozwiązywaniu sporów, o tyle Benni czekała spokojnie, tylko jej ręce uniosły się do góry, palce się splotły, a podbródek spoczął na tej pięści... błagania, sprzeciwu.

Paul nie zeskoczył, żeby wziąć ją w ramiona. Wyciągnął rękę z rozpostartymi zakrzywionymi palcami, a dłoń Benni powędrowała jej na spotkanie, jakby miał ją ściągnąć z pokładu tonącej łodzi lub z osuwiska.

To żadne objawienie, że życie przemija wolniej i bardziej nieubłaganie niż wszelka wiara w nie. Pozostaje jednak pytanie, dlaczego wybrała ten moment i to miejsce, żeby ogłosić swoją nowinę. Cóż. Czy pomyślała, czy nabrała odwagi (jakim draństwem były słowa: „Znajdź sobie innego mężczyznę”), czy opowieść o usunięciu Abla z gniazda sprawiła, że czas i miejsce stały się odpowiednie dla właściwego zrozumienia sytuacji?

Powiedzieli o tym Lyndsay Brat lub siostra Nicholasa. Chociaż teraz, gdy pojawiła się Klara – niespodziewana, nienazwana, jak ona sama, forma więzi – nie był już w pełni jedynakiem. Lyndsay nie określa tej więzi. Dziewczynki nie nauczono nazywać ją mamą, może powinna być dla niej babcią – to jest pytanie, ale nie jakiś problem: dla dziecka jest Lyndsay i nie podważa to autorytetu, czy też tego, co najwyraźniej wygląda na miłość.

Benni jest niezwykle energiczna, pracuje na swoim coraz ważniejszym stanowisku w agencji, żeby wykorzystać lepszą koniunkturę gospodarczą, piękna jak zawsze, twarz nad coraz grubszym ciałem. Gdy skończy się ciąża (trudno nie myśleć znanymi kategoriami odnoszącymi się do innych ssaków, które należy uratować przed zagładą), nadejdzie czas oceny Czy to, co się narodzi, nie jest zaatakowane, zmutowane w jakiś sposób przez spernę wypuszczoną z ciała, które emitowało promieniowanie. Dopiero wtedy Tymczasem trzeba ufać. Czemu? Instynktowi Benni. Wnoszącej wkład w rozpoczęcie wszystkiego od nowa w nowym stanie istnienia. Zrobiono jej ultrasonografie, która ujawnia, że zwinięty w kłębek płód ma już uformowane męskie genitalia. Syn. Bądź zdolny myśleć o tej istocie jako o synu, gdy zostaną sprawdzone inne rzeczy Możesz być winien czemuś, za co nie byłeś odpowiedzialny Derek i Thapelo są pełni uznania, gdy zaproszeni na niedzielny lunch, zauważają wzgórek pod powłóczystą suknią jego żony (sprytna Berenice przekonała się do afrykańskiego stroju jako najatrakcyjniejszego odzienia w swoim obecnym stanie). Ich radość – czyżby sądzili, że mężczyzna nie może sobie z tym poradzić po

kwarantannie – jest zaraźliwa, wymaga wypicia kilku piw, które Thapelo stawia do posiłku z racji żywnościowych, przygotowywanego na dzikich obszarach. Matka Nickiego bierze go za rękę i kładzie dłoń chłopca na swoim brzuchu:

– Tam czeka twój młodszy braciszek.

– Nie będzie tak duży jak ja.

Wszyscy śmieją się z tej przedwczesnej próby udowodnienia własnej wyższości. Bije od niego jednak blask radosnego zaciekawienia i oczekiwania, które może na dobre przepędza wspomnienie palców odrywanych od żelaznej bramy, „Tatuś! Paul!”. Klara dowiaduje się, że ona też będzie miała braciszka. Czemu nie? Trzeba stworzyć rodzinę dla tej, która jej nie ma. Została przedstawiona Jacqueline, jedynej z sióstr Paula, która mieszka w mieście, a nie w Brazylii lub na strusiej farmie. Dorastające córki szwagierki rozpieszczają małą dziewczynkę, wsuwając jej bransoletki na ręce i zawiązując kokardy na dredach. W jednym z okolicznościowych listów do Stavanger Lyndsay przypuszczalnie napisała przyszłemu dziadkowi o nowym członku rodziny oczekiwanym przez jego syna. Paul i Benni nie otrzymali stamtąd żadnej odpowiedzi. Jeśli ojciec Paula pisuje do jego matki, ta nie przynosi już do nich jego listów. Ten brak nie zostaje odnotowany, może nie zwraca niczyjej uwagi; Klara i Nickie oddają się szalonej zabawie, ich rodzice spodziewają się wizyty przyjaciół. Lyndsay po raz pierwszy zasiadła na sali rozpraw w sędziowskiej tozde. Jeżeli wspomniała o tym w liście, Adrian zapewne jest z niej dumny Nadal.

Pewnego dnia Lyndsay znowu przyjechała z listem, bez dziecka, zadzwoniwszy wcześniej z pytaniem, czy jest sam. Owszem, jest, jego żona nie mogła zrezygnować z promocyjnego koktajlu, na którym Berenice powinna pełnić funkcję gospodyni mimo wyraźnej krągłości pod ozdobioną koralikami afrykańską suknią, zapowiadającą – w żargonie medycznym – że zbliża się termin rozwiązania.

Lyndsay nie zwróciła uwagi na wnuka, oglądającego program telewizyjny – czego domagał się z odziedziczonym po Benni wdziękiem. Wyciągnawszy kopertę z foliowego opakowania firmy kurierskiej, Lyndsay po raz kolejny przekazała list synowi. Ten stwierdził, że koperta jest zaklejona – nie rozumiejąc, bliski irytacji („Po co to, mam?”) odwrócił wzrok. Adres: nieznany mu charakter pisma.

Rozciął ostrożnie kopertę i wyciągnął z niej złożoną kartkę, równocześnie podając ją matce, ale Lyndsay stanęła tuż obok, z pochyloną głową, by przeczytać list razem.

Stavanger.

Rozpoznała charakter pisma z zestawienia wydatków, który przewodniczka przedstawiała pod koniec każdego tygodnia świadczenia swoich usług w Meksyku. Poczowała, że podczas wspólnej lektury porusza wargami, jak gdyby wodziła wzrokiem po tekście napisanym w obcym języku.

Droga Pani Bannerman. Nie chciałam Pani zaszokować tą wiadomością w rozmowie telefonicznej, informuję więc, że Adrian zmarł wczoraj w nocy. We śnie, lekarz przyjechał natychmiast, zadzwoniłam. Z powodu niewydolności serca. Nie cierpiał. Wróciliśmy z teatru. Popołudniu odbyliśmy przyjemny spacer nad morzem.

Było to wczoraj, czternastego. A więc tego właśnie dnia nastąpiła śmierć.

Oboje przestali czytać. Co się stało: został w Meksyku, poleciał do Norwegii. Odszedł. Trudno uświadomić sobie kolejne odejście. Czy gdyby był to list od Adriana, informującego w końcu, że nie wróci, że stan spoczynku, w którym się znajduje, Stavanger, jest ostateczny, sytuacja wyglądałaby inaczej? Cóż za szalona eskapistyczna myśl. Nawet jeśli oboje tak myśleli. Adrian nie żyje. Nie oznajmił o swoim ostatecznym odejściu. Nie wspomniał o tym. Razem z Lyndsay (w młodości czytali wiersze) pozostają sentencje: „Śmierć jest ciszą, wszystkim, czego nie ma”. Za niego przemawia, pisze, przewodniczka, dla której ją opuścił.

Jej syn – ich syn – porusza kartką; muszą czytać dalej. Jakby było coś jeszcze do dodania. Już wiadomo: zmarł we śnie, w łóżku, oczywiście u boku Norweżki, bez cierpień, ona wie o tym, bo była tam, po prostu wyczuła, że jego pierś nie wznosi się i nie opada przy oddychaniu lub że jego ciało jest zimne. Spacerowali razem po południu, po pięknej północnomorskiej plaży, Soli, teatr, gdzie ślad łez w świetle, które padło ze sceny na jego policzek, oznajmił o żalu innego rodzaju.

Czytaj dalej. Odstęp, chwila zawahania przy komputerze przed nowym początkiem tego listu.

Pani Bannerman [znowu, chociaż na pewno w myślach zwracała się do niej po imieniu, zakłopotanie, poczucie winy na myśl o przywłaszczeniu sobie czasu jego emerytury lub spóźnione zapewnienie, że prawa do tego małżeńskiego tytułu nigdy by sobie nie uzurpowała], dowiedziałam się wszystkiego, zrobię to natychmiast po otrzymaniu szczegółowych informacji o tym, gdzie mam go wysłać. Numer mojego telefonu i adres e-mailowy są podane u góry strony Mogę to załatwić. Wyślę jego ciało.

Uśmiechnięta.

Jakże inaczej. Przez łzy żalu, który pewnie także odczuwa.

Wchodzą w smugę wczesnowieczornego światła w ogrodzie domu Paula, do którego wrócił z tamtego ogrodu. W górę i w dół, powoli, nogi poruszają się, nawet jeśli umysł zastygł w bezruchu. Do

krzewów i akacji, gdzie wiszą splątane dziecięce huśtawki (jedna zawieszona dla Klary), i z powrotem. W szybko zapadających w Afryce ciemnościach Lyndsay potyka się o porzuconą na trawie zabawkę i Paul podtrzymuje matkę; sam też odzyskuje równowagę, żeby mówić. Milczenie przystoi tylko zmarłemu. Adrianowi.

– Wejdźmy do domu.

To wyłącznie ich decyzja, nikogo innego, tak jak ostatecznie tylko oni ustalili między sobą w kwarantannie warunki innego stanu istnienia. Paul przez grzeczność nie wskazuje: Do ciebie należy decyzja, do ciebie, do jego kochanki, na tę nieuchwytną relację nazwaną przez prawo i Kościół, do żony Czy chcesz go odzyskać, choćby martwego. Czy kiedyś wyraził to pierwotne pragnienie, żeby spocząć w rodzinnej ziemi. Myśl, że jego śmierć w logicznym ciągu zdarzeń po przejściu na emeryturę nastąpi gdzie indziej, nigdy nie przyszła im do głowy. Mógł dostać ataku serca i umrzeć na Arktyce pod aurorą borealis, podczas tej wyprawy emerytalnej z Lyndsay, tej, która nie doszła do skutku. Zakonserwowany w lodzie przed wysyłką samolotem do domu.

Do domu. Ze Stavanger. Zaczynaj jeszcze raz, z grobu. Lub z prochów z krematorium. Zamiast tego są nowe początki. To nie dom opuściłeś, żeby spełnić tak późno, na wykopaliskach archeologicznych, swoje powołanie.

Z uśmiechem.

Znalazłeś je.

Nie poinformowali innych członków rodziny, Jacqueline, Susan ani Emmy w Brazylii, o tej propozycji. Do norweskiej przewodniczki został wysłany odmowny e-mail z podziękowaniami. Matka poprosiła Paula, żeby obok jej imienia umieścił swoje. Na dzikich obszarach, wciąż potrzebujących jego i jego zespołu, Dereka, Thapela, stale nowe zagrożenia, którym trzeba zaradzić ludzkimi rozwiązaniami (czy gdy umiera twój ojciec, istniejesz na jego miejscu – to rozwiązanie natury?), Paul nosił w sobie poczucie straty Jeśli jest

możliwe zakazanie realizacji projektu eksploatacji wydm lub budowy reaktora jądowego ze złożem usypanym, dowodzi to, że w ograniczonym okresie swojej króciutkiej egzystencji, niewidocznej z kosmosu, warto zajmować się tym, co jest naszym powołaniem i profesją.

O to, co ona, Lyndsay, robi ze swoim smutkiem – pewnie go odczuwa? – nie sposób pytać i nie wolno też się w to wtrącać ani tego drażnić. Życie rodziców jest zagadką nawet wtedy, gdy sam tworzysz z kimś rodzicielską parę. Lyndsay ma swoje sukcesy, tak jak ewentualne zapobieżenie zniszczeniu wydm Pondolandu byłoby sukcesem, który przynajmniej w części można by przypisać Derekowi, Thapelowi i jemu. Została powołana w skład Trybunału Konstytucyjnego i z pewnością nie zawdzięcza tej nominacji polityce wspierania płci dyskryminowanej.

Adrian nie jest tematem tabu. Paul nie wie, że matka trzyma na biurku w swoim gabinecie zdjęcie ojca, które zrobiła, gdy byli na jakimś stanowisku archeologicznym w Meksyku. Rozmawiają o Adrianie, kiedy trzeba przypomnieć sobie jakąś jego uwagę, coś, z czego mógł się śmiać razem z nimi, i słuchając muzyki, wspominając o jego głębokim jej zrozumieniu, z którego Lyndsay również odnosiła pożytek i któremu Paul – a jakże! – zawdzięczał zapewne swoje wyraźnie rosnące zamiłowanie do twórczości nawet tych kompozytorów, których ona nigdy nie nauczyła się słuchać bez poczucia psychicznego wstrząsu: Stockhausena, Pendereckiego i innych. Być może jedyny sposób przerwania pośmiertnej ciszy to zarazić czymś. Czymś nieuchwytnym.

W końcu dostarczono dobrze zabezpieczoną skrzynię, zaadresowaną tym samym nieznanym charakterem pisma, zawierającą kilka drobnych znalezisk archeologicznych, kopię pióropusza w rodzaju tych, które na oczach turystów wykonują z subtelną wprawą przodków meksykańscy sprzedawcy przed muzeum antropologicznym, oraz coś, co najwyraźniej stanowiło szkicowy zapis przemyśleń, będących owocem oglądania wydobytych spod ziemi świadectw osiągnięć z zamierzchłej przeszłości przez

przedstawiciela epoki, w której toczą się wojny o to, kto posiada broń mogąca obrócić ją w nicość. Lyndsay przekazała znaleziska, pióropusz i rękopis wydziałowi archeologii na uniwersytecie, gdzie pracował jej przyjaciel. Zapytała również, czy wydawnictwo uniwersyteckie nie opublikowałoby szkicu.

RAJSKI OGRÓD AFRYKI
ZAGROŻONY ZATOPIENIEM
PRZEZ POWODZIE

To rodzaj dramatu lirycznego, w jakim autor gazetowego nagłówka obsadza wody, które zapewne widział Noe. Tyle że nie z kosmosu. Nie z pokładu śmigłowca. Zespół Paula wrócił z drugiej inspekcji Okawango w granicach objętych mapą, badacze rozłożyli zdjęcia lotnicze i filiżanki z niedopitą kawą. Co jest rzeczywistością? To, co tutaj, czy to, co tam. Życie w dwóch środowiskach nie jest normalne, wszyscy podróżnicy zaznali dezorientacji, niedowierzania zmysłom, które jest krótkotrwałą konsekwencją opuszczenia domu i wkroczenia na obcy teren dziesięć godzin później. Ale ta konsekwencja powrotu do domowych przedmiotów i czterech ścian domu z dzikich obszarów, ziemi lub wody jest warunkiem życia, a nie skutkiem zmęczenia długą podróżą samolotem.

Gdy rozpamiętują to i rozmawiają o tym, co było widać w dole, gdy wykrzykiwali do siebie na wpół słyszalne w zgiełku silników śmigłowca spostrzeżenia, pojawia się jeszcze jedno pytanie o to, co jest rzeczywistością: zagrożony rajski skarb czy ludzie ze śródlądowej delty, informowani, że muszą porzucić swoje domy w ucieczce przed wzbierającymi wodami. Co w ogóle z nimi będzie, jeśli powstanie dziesięć sztucznych jezior, które zmienią widoczny z kosmosu obraz świata?

Nie powinien myśleć o tym w ten sposób. Praktyka ochrony przyrody, uwalane błotem buty, sporadycznie uzupełnianie podstawowego prowiantu piwem przez Thapela, skupienie się na jednej sprawie naraz, pewien porządek w działaniu w czasie, gdy komisje nie przestają obradować za lub przeciw. Co kryje się w myślach innych – o tych ludziach?

Spojrzenie Dereka wędruje po wycinku z gazety, w którym przytoczono rozmowy z mieszkańcami delty o sztucznych jeziorach.

– Nikt nie usunie nas z ziem naszych przodków. To dar od Boga i ziemia naszych praojców.

Jakie wrażenie te wzruszające słowa, bez wątplenia autentyczne, tak jak autentyczne są liczne (daremne) mechanizmy obronne (czyż nie chodzi tutaj o poruszenie Amadiba informacjami o skutkach budowy płatnej autostrady), robią na Thapelu? Jest on jednym z tych, którzy dawno temu w całej Afryce zostali wyrzuceni z ziemi praojców. I nawet to, co im zostawiono, było „darem od Boga”, od Boga białych ludzi, nie od bogów odziedziczonych po przodkach. „Bóg” – pierwsze kolonialne prawo cywilizacyjne, symboliczna częśćka całego wywłaszczonego kraju.

Thapelo nie potrzebuje taktu swoich białych kolegów. W starych złych czasach spędził siedemnaście miesięcy w pojedynczej celi i żaden z bogów nic z tym nie zrobił. Thapelo uśmiecha się i delikatnie unosi palce spoczywających na stole dłoni, wyrażając szacunek dla przodków, ale nie negując realiów Jego pobratymcy tyle już razy musieli porzucać swoje domy, i to nie ze względu na zagrożenie powodzią.

– Przewodnicy safari donoszą, że potopiły się zwierzęta. Nie widzieliśmy żadnych pływających ciał.

– Nie lecieliśmy wystarczająco nisko. Mogły utknąć w zatopionych trzcinach.

– Słonie? Zatopione?

– Raport nie wspomina o tych dużych.

Istnieje pora powodzi, w oczekiwanej skali, element równowagi ekologicznej pozwalający co roku regulować stopień zasolenia gleby. Ale tym razem zalany obszar jest niezwykle rozległy; powstał wielki zalew. Zostają rozdane kopie dokumentacji uzupełniającej. Specjalista geolog, McCarthy, stwierdził (przewiduje?), że po około stu pięćdziesięciu latach toksyczne sole zniszczą wszystkie rośliny

(Derek zaczyna głośno czytać i dwaj pozostali uciszają go, gdyż sami czytają to samo) i wtedy wody powodzi powinny spowodować erozję wysp i uwolnić sole do bagien. Ale papirus i trawka hipotamia w górze rzeki wedrą się w kanały, powodując podniesienie się poziomu piasków i tamowanie przepływu wody. (Uciszony Derek unosi wzrok: „Stary, my to wszystko wiemy”. Pozostali nie pozwalają wyprowadzić się z równowagi: „Szefie, nigdy nie wie się wszystkiego”.) Woda zostaje skierowana w inną stronę i stare wyspy wysychają. Później, w ten zagadkowy sposób, zapala się torf na tych suchych obszarach (czyżby czyjś bóg zapalał zapalniczkę?), tworząc mozaikę lasów płonących do głębokości piętnastu centymetrów poniżej powierzchni... Te szerzące się w błyskawicznym tempie pożary potrafią trwać przez dziesiątki lat, niszcząc wszelkie życie na torfowiskach. Gdy wygasną, letnie deszcze spłukują trujące słone osady pod ziemię. Pozostałe po pożarach składniki odżywcze łączą się, tworząc żyzne gleby... w ten sposób przepływ wody i powstawanie wysp stale zmienia. .. cały organizm o nazwie Okawango się odnawia...

Wspaniałe, zwycięskie. *Wola! Cho! Jabula! Phambili!!* Tylko te okrzyki wybrane z języków, które zna Thapelo, są odpowiednie. Zemsta Okawango. Co roku z nadejściem wiosennych deszczów rzeki Cuebe, Longa, Custi, Cichi, Cubango, mające swoje źródła setki kilometrów dalej – nazwane tak, zanim biali obdarzyli je nazwami z tej innej rzeczywistości, odkrycie dla Europy – posyłają wodny impuls, nie, teraz wspaniałą powódź, wieczne bagna stają się krainą wód (jak to wygląda z kosmosu!). Torpeduje ona projekty, unicestwia pomysł stworzenia dziesięciu sztucznych jezior i niesie własną wiedzę o rozproszeniu, osiadaniu, wiedzę o własnych środkach regeneracji w czasie.

Czytają dalej. Jest jednak problem, któremu żyjące bagna nie zdały zaradzić: ludzie.

Zamiar zbudowania dziesięciu zapór nie został storpedowany.

Jak więc wygląda rzeczywistość? Rzeczywistość ludzka (szefie, bracie – jakkolwiek jesteś postrzegany lub postrzegasz siebie),

bezpośrednia, rynkowa rzeczywistość – to właśnie liczy się w tym, czego się dowiadujesz od matki swoich dzieci, jednego nienarodzonego, oto realny świat. Okawango, pozostawione samo sobie, będzie się wiecznie odnawiało. To znaczy – wolnego! – wieczność trzeba zdefiniować: dopóki istnieniu Ziemi nie położą kresu eksplozje nieodwracalnego promieniowania. Ludzie nie dożywają wieczności, żyją w ograniczonej teraźniejszości. Eksploatacja wydmy. Teraz Australijczycy dobili targu z firmą z większościowym udziałem czarnych. Czarni mają mieć piętnaście procent akcji w projekcie eksploatacji wydmy. Gdy współpracowaliśmy z International Rivers Network, World Conservation Union, Wild Life i Environmental Society, wszystkimi naszymi renomowanymi partnerami, Australijczycy spędzili dziewięć miesięcy – tyle samo, ile ludzka komórka jajowa zapłodniona nasieniem mężczyzny, który przeżył radioterapię – negocjując to porozumienie, które (z pewnością) pozwoli teraz otrzymać od rządu pozwolenie na rozpoczęcie robót poszukiwawczych za osiemdziesiąt dziewięć milionów randów, około ośmiu milionów funtów – międzynarodowe przedsięwzięcia mogą być wyceniane w wielu walutach. „Pozwoli otrzymać” to oficjalny sposób wyrażenia tego faktu. Stosowny bodziec nie jest łapówką, mój bracie. Nikt nie może kwestionować potrzeby wejścia czarnych do gospodarki rozwoju na dużą skalę, czy piętnaście procent to dobry początek? Do tego dochodzi to, że płatna autostrada, umożliwiająca transport wydobytych minerałów oraz ilmenitu (stosowanego w branży kosmetycznej, tekstylnej i modniarskiej) do huty i przetwórni w mieście, nazwanym przed wiekami przez stęsknionych za domem Europejczyków „Londynem Wschodnim”, mogłaby zapewnić tygodniowy zarobek wynagradzający złożoną ofiarę: dar od Boga w postaci kilku pól uprawnych, unikatowego ośrodka endemizmu oraz dwudziestu dwóch kilometrów wydmy, z których wyruszano na połów ryb, zamiast je eksploatować. Mogłaby zapewnić aparaturę stereo i samochody Tak! Łatwo szydzić z materializmu i pokus przedstawianych w reklamach agencji, gdy istnienie w materialistycznym świecie daje luksus niezadowolenia, a ochrona dzikich obszarów stanowi instrument sprzeciwu.

Kto ma zdecydować?

W tym pokoju, w obecności dwóch kolegów – po prostu tak się składa, że jeśli nawet nie jesteśmy rodzonymi braćmi, to wiąże nas braterstwo ziemi – Thapela i Dereka, z którymi dzieli coś, czym ludzkie „ja” zajmuje się jako rzeczywistością, nie ma miejsca na tego rodzaju badania. Ona. Benni, trzeba to uznać, jest inną rzeczywistością. Berenice. Jej rzeczywistość, wybrana lub zalecona przez swoją skuteczność w tym, co ograniczone. Znajdź w życiu cel! Zachęta z reklam agencji.

Tego rodzaju tematyka pozostaje w ogrodzie.

W kwarantannie.

Thapelo przechyla krzesło, widać zelówki uniesionych butów, ustawia je równo przed nimi z głośnym teatralnym stukiem o podłogę.

Wezwanie. Paul wyczuwa niebezpieczeństwo; brak skupienia.

Budzi go miękka dłoń Benni na szorstkim od porannego zarostu policzku, głos Berenice przymilnie wywołuje jego imię. Na wpół przytomny, na wpół w innym świecie snu, mimo woli rejestruje spokojną determinację, z jaką kobieta, jak wszystkie samice w naturalnym środowisku, podchodzi do stanu, który musi być dla niej kataleptyczną męką; odwrotnością wtargnięcia demonicznego światła w ciało, przeciwieństwem, porzuceniem przez to, co było jego delikatną częścią, karmiącą się wspólną życiodajną krwią. Naciąga na brzuch afrykańską suknię, gotowa do wyjazdu na porodówkę w mieście, do kliniki, a nie kryjówki w krzakach, tyle że cel schronienia na czas porodu jest taki sam. To coś, czego nie można dzielić z kimś innym. Ona przynajmniej rozumie, że on nie ma zadatków na widza obecnego przy porodzie. Nie jest już tym człowiekiem, który masował jej stopy przy narodzinach pierwszego dziecka.

A tymczasem.

Wody opadły W okresie oczekiwania na decyzję królowa Pondolandu MaSobhuza Sigcau powiedziała prasie, że pracownicy firmy zaangażowanej w projekt eksploatacji wydm nakazują ludziom w tym rejonie „opuścić” swoje domy ze względu na rozpoczęcie przygotowań do eksploatacji. Otrzymywali do podpisu umowy; wielu z nich to analfabeci i niektórzy w wyniku wymuszonej przeprowadzki stracili swoje bydło i owce. W tego rodzaju akcjach stosowano różne komendy. *Juden heraus!* Wybierajcie. A nasz kraj podpisał i ratyfikował międzynarodowy strategiczny plan działania na rzecz bioróżnorodności (cóż za ważne słowa, niemal tak samo trudne do wypowiedzenia jak ten plan do realizacji), jak minister zamierza poinformować uczestników konwencji światowej, że pozwolimy poprowadzić czteropasmową autostradę przez jedno z wyżej wspomnianych punktów zapalnych na mapie globalnej różnorodności? Niech pan odpowie na to pytanie! Pada odpowiedź. „

Vuka, panie ministrze! Litości...!”. Cóż, trzeba przynajmniej przyznać, że musieli ustąpić i zgodzić się na odwołanie od ich decyzji... „*Haai!* – gra na zwłokę”. Niech protestujący się zmęczą i stracą czujność. Póki co. Dziesięć sztucznych jezior? Teraz wszystko ucichło, ale takie kosmiczne plany nie trafiają do kosza, odkłada się je tylko na półkę. A Australijczycy? Wciąż szczęśliwi, że dostaną zgodę na wydobycie z wydm szesnastu milionów ton rud tytanu oraz ośmiu milionów ton ilmenitu, z pewnością gotowi dalej próbować. Reaktor ze złożem usypanym? Potrzeba około dziesięciu miliardów – ile to wynosi w dolarach, funtach, euro – od inwestorów zagranicznych na sfinansowanie inwestycji, jeśli ma zostać zbudowany, ale projektu nie zarzucono.

– Nie ma mowy stary!

„Wykonalność” i „bezpieczeństwo” inwestycji są „stale oceniane przez odpowiednie ministerstwo”.

– *Voetsek* nie chcemy was! Przeczytajcie to głośno z serwisu Stop Press.

Tak brzmiały ostre słowa obrońców środowiska, delegacji Nuclear Energy Costs oraz Earth Campaign zgromadzonej dzisiaj przed siedzibą British Trade Investment w Johannesburgu, aby przekazać memorandum potępiające British Nuclear Fuels jako „koszmarne” inwestora w spółce z Eskomem oraz południowoafrykańską państwową Industrial Development Corporation, konsorcjum mającym nadzorować komercjalizację projektu budowy modułowego reaktora ze złożem usypanym.

A tymczasem. Minał wyznaczony przez lekarzy termin badania tomograficznego, które zdecydowałoby o ewentualnej ponownej radioterapii. Na razie wszystko czyste, jeszcze jedna tomografia, być może, odroczone z powodu kolejnej decyzji.

Syn Paula pojawił się, żeby się zmierzyć ze światem, wyposażony we wszystko, co trzeba, całą niezbędną broń – dwie ręce, dwie dłonie, dziesięć palców, dwie nogi, stopy i palce nóg

(sprawdź, czy dziesięć), genitalia, które było już widać w badaniu prenatalnym, kształtna głowa i otwarte oczy nieokreślonej głębokiej barwy, które już wykazują zdolność widzenia. Nasienie ocalałego po radioterapii ojca nie spowodowało żadnych deformacji ani ułomności u spłodzonej przez niego istoty.

Niszcząca siła staje do walki z wieloma stanami istnienia; od tego stanu odwróciło się jej drapieżne spojrzenie. Trzeba znowu zaprosić Thapela i Dereka na kilka piw tam, gdzie uporczywie pojawia się nowe życie.

Rozentuzjasmowany Thapelo pierwszy spieszy z potwierdzeniem innych wieści, które docierały do czekającej trójki dzięki jej informatorom. Minister ochrony środowiska, van Schalkwyk, uchylił (dał za wygraną? wprowadził prawdziwy zakaz? – być może) podjętą na rok przed tym miesiącem narodzin decyzję o budowie płatnej autostrady przez Pondoland na Dzikim Wybrzeżu. A minister zasobów mineralnych i energetycznych oznajmiła, że budowa reaktora została wstrzymana. „W oczekiwaniu na dalszą ocenę wpływu na środowisko” (tak – ależ oczywiście).

– Tylko co z wydmami, tytanem, ilmenitem na makijaż dla ładnych dziewczyn, bracia moi?!

Ostatecznej zgody na zniszczenie nie wolno wydać. Tak brzmi kredo. Praca do wykonania. *Yona keyona*. O to właśnie chodzi. *Phambili*. Rozlega się zaraźliwy, na wpół triumfalny wybuch śmiechu.

– Opijmy pępkówkę! – Derek wznosi toast.

Słowniczek

<i>ayeye</i>	złośliwa reakcja na czyjeś błędy
<i>braai</i>	Grill
<i>bundu</i>	busz; nigdzie
<i>cho!</i>	powitanie, w którym zwraca się na coś uwagę
<i>eish</i>	wyraz niechęci
<i>jabula</i>	bądź szczęśliwy
<i>khan'da</i>	prorowadzić; knuć intrygę
<i>lalela</i>	Słuchaj
<i>makhosi</i>	wodzowie plemienni; tradycyjni przywódcy
<i>n'swebu</i>	Wspaniały
<i>phambili</i>	no, spróbuj
<i>sangoma</i>	tradycyjny uzdrowiciel
<i>shaya-shaya</i>	umyślnie fałszywe stwierdzenie
<i>tsotsi</i>	członek ulicznego gangu
<i>tuka</i>	dawno temu
<i>voetsek</i>	wyność się; zjeżdżaj
<i>vuka</i>	obudź się
<i>wola</i>	Cześć
<i>woza</i>	Wzbierać
<i>yebo</i>	pozdrawienie lub potwierdzenie
<i>yona keyona</i>	o to właśnie chodzi
<i>ayeye</i>	złośliwa reakcja na czyjeś błędy

<i>braai</i>	Grill
<i>bundu</i>	busz; nigdzie
<i>cho!</i>	powitanie, w którym zwraca się na coś uwagę
<i>eish</i>	wyraz niechęci
<i>jabula</i>	bądź szczęśliwy
<i>khan'da</i>	prowadzić; knuć intrygę
<i>lalela</i>	Słuchaj
<i>makhosi</i>	wodzowie plemienni; tradycyjni przywódcy
<i>n'swebu</i>	Wspaniały
<i>phambili</i>	no, spróbuj
<i>sangoma</i>	tradycyjny uzdrowiciel
<i>shaya-shaya</i>	umyślnie fałszywe stwierdzenie
<i>tsotsi</i>	członek ulicznego gangu
<i>tuka</i>	dawno temu
<i>voetsek</i>	wyłoś się; zjeżdżaj
<i>vuka</i>	obudź się
<i>wola</i>	Cześć
<i>woza</i>	Wzbierać
<i>yebo</i>	pozdrawienie lub potwierdzenie
<i>yona keyona</i>	o to właśnie chodzi